

Krzysztof Boruń

Ósmy krąg piekieł

Krzysztof Boruń

Ósmy krąg piekieł

*Takeśmy gwarząc przyszli na granicę  
Wału, skąd zajrzeć można było w głąbie  
Gdyby świt jakiś rozjaśnił ciemnicę.*

*(Dante Alighieri Boska komedia  
Piekło — Pieśń XXIX,  
Przekład  
Edwarda Porębowicza)*

Roku Pańskiego 1593 bogobojni mieszkańcy Kontwaldu na ciężką próbę wystawieni zostali. Jak jeszcze po wielu latach wspominało — zima owego roku była ponoć nad podziw łagodna, tak że już na Trzech Króli łąki pokryła zieleń świeża, a w Zaślubiny Najświętszej Marii Panny słońce prażyło jakoby na Boże Ciało. Mówiono też, że zaraz po Zmartwychwstaniu ptactwo wszelakie hurmem z boru Opatowego, później Czarcim nazywanego, uciekło, i to był pierwszy widomy znak, że jakoweś złe tam się szykuje.

Kiedy więc jasność niezwykła a czerwona jako płomień pożaru pojawiła się nad lasem, nikt nie ważył się na milę do onego dostąpić. Jeden tylko znalazł się śmiałek, a był nim medyk i alchemik Mateusz Rylus. On to, już drugiego dnia gdy ona jasność się pojawiła, do boru pośpieszył, aby — jak później wyznał na mękach — pokłon poddańczy piekielnikom złożyć. Ale o mistrzu Mateuszu od dawna szeptano, że w zмовie z czartem był i tylko dzięki wstawiennictwu Jaśnie Wielmożnego Pana Burgrabiego, któremu obiecywał ołów w złoto przemienić — nie szczeł wcześniej na stosie.

Kiedy więc, mimo nieustających modłów i bicia w dzwony, szatan boru Opatowego opuścić nie chciał, a nawet rozzuchwalony, począł spokojnych mieszkańców nocą, a czasem i dniem nawiedzać, postać ogromnego jak łeb wołu pająka przybrawszy, Jaśnie Wielmożny Pan Burgrabia dłużej zwlekać nie mógł i do Jego Ekscelencji Księdza Biskupa Ordynariusza wraz z ojcami duchownymi list o pomoc wystosował. Rychło też przyjechał do Kontwaldu ojciec Modestus Münch — najmędrzy ponoć z inkwizytorów w całym księstwie, który już niejednego czarta przepędził, a wiele wiedz, czarowników i kacerzy na stos zaprowadził.

Bez zwłoki też, wysłuchawszy przytomnych świadków diabelskich wizyt, a wieczorem na własne oczy jasność nad Opatowym borem ujrzawszy, ów mąż prawy całą noc na żarliwej modlitwie, krzyżem leżąc przed wielkim ołtarzem kościoła Św. Józefa, spędził, a nazajutrz nakazał onego mistrza Mateusza pojmać i przed swe oblicze sprowadzić.

Mistrz Mateusz próbował zrazu wdać się z Ojcem Inkwizytorem w dysputę, zaprzeczając, iżby był z szatanem w zмовie, lubo przyznał, że do boru Opatowego chadzał, ale że tamże jeno wielki i świecący grzyb z ziemi wyrosły ujrzął i zdjęty trwogą uszedł. Diabelskie pająki kręciły się też ponoć obok onego grzyba, przez powietrze jak osy latając, ale żaden na medyka baczenia nie miał, ni krzywdy, ni też protekcji jakowejś mu nie czyniąc. I dlatego ów heretycko dowodził, jakoby nie byli to wysłannicy piekieł, a tylko nie znane oku ludzkiemu dziwy natury. Ale ojciec Modestus na te wykrętne tłumaczenia nie zważał, jeno do prawdy opornego nakłaniał, wskazując jasno, że Mateusz z czartami się niechybnie pokumał, boć inaczej nie wypuściłyby onego z Opatowego boru.

Liznąwszy tedy, że już dość dowodów przeciw sobie mistrz Mateusz przytoczył — inkwizytor Münch jął raz jeszcze zaklinać go po ojcowski i prosić, aby do swych konszachtów z diabłem się

przyznał, innych współników jako też współniczki czarta powołał i Boga o miłosierdzie błagał, a gdy i to nie pomogło — z ciężkim sercem na tortury musiał zezwolić. Mistrz Mateusz swe winy na mękach wyznał, lubo współników ani współniczek nie powołał. Gdy zasię przed sądem stanął, począł się zapierać, heretyckie myśli głosić i szatanów bronić tak, iż innego wyroku trybunał wydać nie mógł, jeno na spalenie żywcem i rozrzucenie popiołów na rozstajnych drogach skazał.

A kiedy już mistrz Mateusz w rynku na stosie pod słupem stanął i kat ogień podłożył — nadleciały one diabelskie pająki znad lasu i widno chciały swego kumotra ratować, jako że krążyły długo nad rynkiem. Lud zgromadzony, straż miejska, a nawet sam Jaśnie Wielmożny Pan Burgrabia z małżonką w popłochu pierzchli i w kościele Św. Józefa się ukryli, a tylko nieustraszony ojciec Modestus pozostał i Krzyżem Świętym czarta odpędzał tak długo, aż tylko popioły po Mateuszu Rylusie pozostały, a diabelscy kumotrzy na powrót do boru odlecieli.

Wówczas to przez cały wieczór i noc bito w dzwony i we wszystkich kościołach lud się modlił o zwycięstwo nad szatanem, zaś skoro zaczęło świtać — ku boru Opatowemu ruszyła procesja. Prowadził ją Ojciec Inkwizytor w asyście przeora, wszystkich ojców i braci zakonnych. Im też głębiej w bór się zapuszczano, tym większy wszystkich lęk ogarniał, atoli większość wytrwała aż do skraju polany, o której Rylus sądowi mówił. W rzeczy samej, tak jak czarownik wspomniał, stał tam owy diabelski grzyb, z ziemi jakoby wyrosły. Ojciec Modestus rozkazał, aby się zatrzymano, a sam jeno z kropidłem i krzyżem wyszedł śmiało na polanę, znak święty Męki Pańskiej ku onemu czartowskiemu dziwu zwrócił i wołając: „apage” — pędzić czarta rozpoczął.

Strach ogarnął przytomnych, bo oto otwarła się jakoby gęba w owym grzybie i wyleciały z niej dwa diabelskie pająki ku inkwizytorowi przez powietrze zdążając. Zrazu wszystkich lęk straszny zmroził, że czarty ojca Modestusa rozedrą, alic stał on niewzruszony, a nawet począł postępować krok za krokiem, złemu naprzeciw, litanię w głos odmawiając i diabły nie tylko nie mogły go dosięgnąć, ale zaczęły z wolna cofać się ku onej gębie rozwartej. Ojciec Inkwizytor szedł za nimi dalej a dalej i był już chyba na rzut kamieniem od onego piekielnego dziwa, gdy na tę chwilę spode grzyba wypełznął ogromny bury obłok i ojca Modestusa otoczył.

Kto żyw salwował się ucieczką. Nikt by też nikogo nie wstrzymał, taka bojaźń ogromna ogarnęła ludzi. Nie dziw zresztą, bo nie upłynęło jednej „zdrowaśki”, a oto już potężny wichur uderzył w las. Wraz z nim rozniósł się daleko zrazu gwizd przeraźliwy, a później grzmot nieustający, jakoby sto gromów spadło na polanę diabelską.

Żaden z pierzchających w popłochu nie śmiał spojrzeć za siebie, ale ci, którzy pozostali w miasteczku, widzieli jak w onej chwili nad borem wzniosł się wielki wirujący obłok i znikł w niebiesiech, pozostawiając tylko długą, jasną smugę, widoczną jeszcze w południe, kiedy dzwoniło na Anioł Pański.

Ojciec Modestus nie powrócił. Zrazu mówiono, że sam Lucyfer porwał z zemsty inkwizytora Müncha do piekła, ale rychło jego Ekscelencja Ksiądz Biskup zapewnił, że widno ten mąż święty został, po przepędzeniu czartów, w nagrodę żywcem do nieba uniesiony.

Dopiero po wielu latach pierwsi śmiałkowie odważyli się zapuścić w bór Opatowy ku diabelskiej polanie. Jako jedyny ślad czartowskich odwiedzin pozostał tamże płytki, acz rozległy na kilka sążni wądół, porosły bujnie leśnym zieleciem.

# I. Spotkanie

Dzień był ciepły i słoneczny. Delikatny woal mgły, spowijający rankiem góry, ustąpił już zupełnie i tylko nad najwyższymi partiami Karkonoszy wisały nieruchomo w powietrzu pojedyncze białe obłoki. Po wczorajszej burzy zieleń nabrała soczystych barw, a parujący w słońcu las pełen był ptasiego świergotu.

Stefan Miksza postawił w trawie selektron i siadł na omszałym kamieniu. Prowadzone od świtu poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu, chociaż przeczesał dokładnie obszar wyznaczony namiarem radaru. Nie pozostawało nic innego jak zbadać teren leżący w teoretycznej elipsie rozproszenia, ale to wymagało przeprowadzenia dodatkowych obliczeń.

Właśnie sięgał po mapę, gdy szelest liści i trzask łamanych gałęzi zwrócił jego uwagę w innym kierunku.

W pierwszej chwili sądził, że za jego plecami przemyka jakieś zwierzę. Wstał, podszedł parę kroków ku pobliskim zaroślom i stanął.

Z odległości kilkunastu metrów, spoza krzaków patrzyło na Mikszę dwoje ludzkich oczu.

— Halo! — zawołał niepewnie, trochę zaskoczony niespodziewanym spotkaniem.

Gałęzie znów zaszeleściły i z zarośli wysunęła się dziwaczna postać z włosami opadającymi na ramiona i długą ciemną brodą. Mężczyzna ubrany był w powłóczystą, sięgającą do ziemi szatę. Zżółkła, postrzępioną suknię okrywał czarny, zabłocony płaszcz.

Obszarpany, zsunięty z głowy kaptur, gruby sznur opasujący suknię, sandały na bosych nogach — uzupełniały ten niezwykły, jakby wydobyty z rekwizytów teatralnych strój.

Nieznajomy milczał, wpatrując się w astronoma oczami pełnymi zdziwienia i jakby niepokoju.

Miksza również, nie wiedząc sam dlaczego, poczuł się nieswojo.

— Przyjechaliście tu nagrywać? — spytał po chwili przekonany, że ma przed sobą aktora lub statystę.

— Skąd jesteś, panie? Ktoś ty?... Powiedz mi, proszę... — odezwał się drżącym głosem nieznajomy. Ku ogromnemu zdziwieniu Mikszy słowa te były wypowiedziane po łacinie. Nie była to, co prawda, mowa Owidiusza — niemniej zdawały się brzmieć w niej echa jakichś odległych czasów.

— Przyleciałem z Radowa. Sześć godzin temu wylądowałem. Niedaleko stąd, na polanie.

Szukam meteorytu... Tu gdzieś wczoraj spadł w czasie burzy — odrzekł Miksza w języku inter, lecz z wyrazu twarzy nieznajomego łatwo było wyczytać, że nie rozumiał on ani słowa. Czy możliwe, aby człowiek dorosły, mieszkaniec Ziemi, nie znał międzynarodowego języka?

— Panie, skąd przybywasz? — padło znów pytanie po łacinie.

— No, przyleciałem! Sześć godzin temu...

Miksza uczynił ręką ruch wyobrażający lądowanie. Niestety, jego znajomość łaciny nie była aż tak gruntowna, aby potrafił posługiwać się tym językiem płynnie w mowie potocznej.

Twarz nieznajomego przybrała wyraz zachwyty.

— Chwała Panu na wysokościach! — zawołał z przejęciem.

Kolana ugięły się pod nim i padł w trawę pod nogi Mikszy, zanim ten zdążył go podtrzymać.

Nie omdlał jednak. Miksza wydobył z torby płaską butelkę z turystycznym napojem odżywczym i dźwignąwszy nieznanego przytknął mu ją do ust. Brodacz przełknął z trudem kilka łyków i w oczach jego pojawiło się wzruszenie.

Biedak... Musiał znajdować się gdzieś blisko miejsca upadku kosmolitu. Szok był zbyt silny — pomyślał Miksza. — Może błędził całą noc w lesie i osłabł z wyczerpania i głodu.

Wyciągnął pudełko z regionem i podał pastylkę brodaczowi. Ten przyjął ją z niezrozumiałym zachwytem. Widocznie jego stan psychiczny pozostawiał jeszcze wiele do życzenia.

Środki odżywcze działały szybko. Nieznajomy wyraźnie się ożywił, nabrał większej śmiałości i raz po raz jakby w radosnym oczekiwaniu spoglądał w twarz Mikszy.

— Chwała Panu! — wyszeptał ponownie.

— Chwała Panu! — powtórzył Miksza, sądząc, iż nieznanomy używa tego zwrotu jako pewnego rodzaju pozdrowienia.

— Panie, czy możesz mnie zabrać ze sobą? — zapytał brodacz po chwili, patrząc błagalnie.

Pozostawienie tego człowieka w tym stanie samego w lesie nie wchodziło w rachubę. Nie ulegało wątpliwości, że trzeba odwieźć go na jakiś punkt medyczny, a przynajmniej skomunikować się z jego towarzyszami.

— Skąd ty... tu? — zapytał Miksza po łacinie. — Zabłądziłeś?

Oczy nieznanomego jakby przygasły.

— Nie wiem, panie, czy zbłądziłem... — odrzekł cicho. — Zawsze starałem się służyć, jak umiałem najlepiej, chwale Boga Wszechmogącego...

— Tak, tak... — starał się go uspokoić Miksza. — Powiedz, gdzie, byłeś... zanim tu doszedłeś?

Nieznajomy zadrżał. W oczach jego znów pojawił się lęk.

— Byłem... Ja byłem... w piekle... — wyszeptał z wysiłkiem. — Panie, bądź miłościw mnie grzesznemu.

— Widziałeś ogień? Gdzie to było?

— Nie wiem, panie... Szatani przybrawszy pajęczą postać dręczyli moją nieszczęsną duszę... Widać zgrzeszyłem pychą, zem zbyt dufałem w swą siłę, a nie w pomoc Najwyższego. Ale Bóg miłosierny...

Nie ulegało wątpliwości, że dalsza indagacja do niczego nie doprowadzi. Brodacz z uporem wracał do urojeń. Tu przede wszystkim potrzebny był lekarz.

Znajomość średniowiecznej łaciny i ówczesnych wyobrażeń religijnych nie budziła szczególnego zdziwienia Mikszy. Ludzie miewali najniezwyklejsze hobby. Jeśli on sam próbował kiedyś tłumaczyć Owidiusza — ten człowiek mógł studiować historię wierzeń chrześcijańskich. Może był kiedyś księdzem?... Po cóż zresztą stawiać tak skomplikowane hipotezy? Po prostu pod wpływem wstrząsu nerwowego, wywołanego bliskością upadku meteorytu, biedak gra dalej odtwarzaną rolę.

— Niech pan tu zostanie! Zaraz wrócę — powiedział do brodacza i ruszył ścieżką ku polanie, gdzie stał „wróbel”. Nie miał przy sobie naręcznego telefonu, gdyż mógłby on zakłócać działanie selektronu. Musiał więc skorzystać ze stacyjki. Postanowił połączyć się z Informacją i nawiązać kontakt z towarzyszami nieznanomego.

Pomimo jednak, że łączono go kolejno aż z trzema grupami realizatorskimi pracującymi w promieniu 50 kilometrów — nigdzie nie stwierdzono, aby ktokolwiek z członków zespołu zaginął w górach. Więcej — żadna z ekip nie kręciła filmu kostiumowego. Zagadka — skąd się wziął wśród lasu człowiek w tak dziwnym przebraniu — pozostawała nadal nie rozwiązana.

Jedno zdawało się pewne: był on chory psychicznie i jak najszybciej należało przekazać go najbliższemu ośrodkowi medycznemu. Przywrócenie nieznajomemu pełnej świadomości mogło zresztą ułatwić zadanie Mikszy. Ten człowiek znał przecież miejsce upadku meteorytu.

Już miał nadać sygnał łączności z najbliższym punktem pogotowia lekarskiego, gdy odruchowo spojrzął na zegarek i nowy pomysł zrodził się w jego głowie. Kama powinna być w tej chwili w Instytucie. Dlaczego nie skorzystać z jej pomocy w nawiązaniu kontaktu z lekarzem. Może nawet sama zechce zbadać nieznajomego. To bardzo ułatwiłoby sytuację.

Najlepiej zresztą postawić ją wobec faktu dokonanego. Załedwie pół godziny lotu...

Brodacz klęczał w tym samym miejscu, gdzie go pozostawił i modlił się...

— No to polecimy! — Miksza ujął nieznajomego pod ramię i poprowadził ku ścieżce.

— Chwała Panu!

— Chwała!

Wyszli z zarośli na polanę. Nieznajomy teraz dopiero jakby dostrzegł maszynę i trochę się zawahał.

— Nie ma obawy. Uniesie nas obu! — uśmiechnął się zachęcająco Miksza.

Podeszli do „wróbla”. Astronom przesunął wiatrochronną tarczę, rozłożył zapasowe siodełko.

— Proszę usiąść tu!

— Ufam wam, panie...

Mimo jednak tego zapewnienia drżał nerwowo, gdy Miksza zapinał pas.

Silnik zawył przeciągle i maszyna uniosła się w górę. Nieznajomy kurczowo zacisnął palce na rękawie kombinezonu Mikszy. Usta jego szeptały modlitwę.

Polana znikła z oczu, a konary drzew wtopiły się w zwarty ciemnozielony obszar leśny, i on zresztą oddalał się szybko, stając się jedną z plam na zboczu widocznego teraz w całej okazałości masywu Szrenicy.

Ciemna plama lasu schowała się za górami. Maszyna mknęła nad kolorową mozaiką budowli wypoczynkowych, rozrzuconych wśród ogrodów i leśnych parków. Raz po raz poprzez zieleń błyskały w słońcu baseny kąpielowe i lądowiska aerobusów.

Zaraz za Jelenią Górą dotarli do radioszlaku Zachód–Wschód, gdzie Stefan przekazał prowadzenie służbie ruchu.

W powietrzu zaroilo się od maszyn. Górą przemykały cygara aerobusów i pękate wrzeczona transportowców. Nie one jednak budziły największe zdumienie brodacza, lecz poruszające się znacznie wolniej w „pieszym” pasie powietrznym na „latających podszwach.” pojedyncze sylwetki ludzi... Na policzki wystąpiły mu wypieki, a wpółotwarte usta i roziskrzone oczy przybierały wyraz to osłupienia, to znów niemego zachwytu, tak przebyli blisko sto kilometrów i zza widnokręgu poczęły wyłaniać się wierzchołki strzelistych budowli Radowa. Lecieli teraz nad szachownicą zbiorników przemysłowej hodowli glonów i zakładami przetwórczymi wielkiej syntezy spożywczej, o których sygnalizowały już wyrastające spod ziemi wysokie, podobne do ołówków wieże absorpcyjne.

Na pulpicie sterowniczym światelko sygnalizacyjne służby ruchu poczęło rytmicznie mrugać.

— 11 23... 11 23... Instytut Mózgu! — przekazał Miksza informacje automatowi prowadzącemu.

Pierścień wytwórczy dostarczający temu wielkiemu miastu żywności, wody i tlenu, ustąpił miejsca wysmukłym wieżowcom i blokom mieszkalnym. Błyskające w słońcu tęczowymi refleksami budowle mnożyły się i rosły, zdając się wspinać coraz wyżej i wyżej.

Poprzecinane wielopoziomowymi jezdniami i chodnikami pochłaniały stopniowo widoczny z góry krajobraz, aby wreszcie wypełnić go aż po horyzont.

Nieznajomy nie patrzył już teraz na maszyny powietrzne przelatujące w pobliżu, lecz rozszerzonymi szeroko oczami chłonał ten nowy widok.

Nagle gwałtownym ruchem pochwycił ramię Mikszy i wpatrując się z niepokojem w jego twarz zapytał:

— Czy... czy... ja umarłem?

— Myślę, że... był pan... nieprzytomny. Przez pewien czas. Ale to nic...

— A więc jestem żywym człowiekiem?

— Na pewno! — potwierdził Miksza zastanawiając się, do czego nieznajomy zmierza.

— A ty ktoś, panie?

— Jestem meteorologiem.

— Nie rozumiem.

— Jakby to panu wyjaśnić... Zbieram... takie... odłamki ciał niebieskich... Spadłych z nieba na ziemię.

— Panie, niełatwo mi pojąć, na czym to twoje zajęcie w Niebie polega — podjął po chwili milczenia brodacz. — Powiedz mi jednak, jeśli wolno ci to uczynić, gdzie ja jestem? Na Ziemi czy też w Niebie?

Miksza z trudem zachowywał powagę.

— Jeszcze jesteśmy... w powietrzu! Ale zaraz znajdziemy się na Ziemi.

— A to jest miasto?

— Miasto.

Twarz nieznajomego rozpromieniła się.

— Czy... to miasto... to miasto, co Święty Jan Ewangelista?...

— Tak! Tak! — Miksza nie chciał przeciągać rozmowy, bo maszyna weszła już w strefę przyziemną i światełka sygnalizacyjne wskazywały, że rozpoczyna się lądowanie.

Pod nimi zdawał się rosnać w górę gmach z błyszczącą elipsą lądowiska na szczycie.

Tymczasem nieznajomy w jakimś radosnym uniesieniu począł recytować:

— „I zaniósł mię w duchu na górę wielką a wysoką... I ukazał mi miasto wielkie... Ono Święte Jeruzalem, zstępujące z Nieba od Boga, mające chwałę Bożą, którego światłość podobna była kamieniowi najkosztowniejszemu, jako kamieniowi jaspisowi, na kształt kryształu przezroczystemu... I miało ono miasto mur wielki a wysoki, bram dwanaście, a na swych bramach dwanaście Aniołów, a dwanaście bram, to dwanaście pereł: a każda brama była z jednej perły, a rynek miasta złoto czyste, jako szkło przezroczyste. Ale kościoła w nim nie widział. Albowiem Pan Bóg Wszechmogący jest kościołem jego...”



## II. Człowiek znikąd

— Stefek!

Ocknął się raptownie. Kama Darecka stała naprzeciw niego, już w płaszczu, gotowa do wyjścia.

— Zdaje się, że zasnąłem... — skonstatował niepewnie i rozejrzał się po hallu. — Która godzina?

— Dochodzi pierwsza.

— Niemożliwe! — zdziwił się. — A więc spałem blisko cztery godziny?

Dziewczyna uśmiechała się.

— Czekales na mnie?

— Tak. Balicz mówił, że zaraz wychodzisz. Nie wiem sam, kiedy zasnąłem. Byłem bardzo zmęczony. Nie kładłem się spać od trzech dni.

— Balicz cię nabrał. A może nawet nie — zaśmiała się krótko. — Proponował mi „Żółty Krąg”. Jako dowód jego szczerze pokojowych intencji. Rano poprzytkaliśmy się trochę i widocznie doszedł do wniosku, że przeholował. Powiedziałam, że mam wieczór zajęty.

Dosłownie tak. Gdy cię zobaczył w hallu, pewno pomyślał, że wybieram się gdzieś z tobą.

— Uparty facet.

— Nie w moim guście. Zresztą nie mam czasu.

— Widzę, że jednak...

— Opowiadasz głupstwa. Po prostu gra mi na nerwach.

— Kto się lubi, ten się czubi!

— Gadanie.

Wyszli przed gmach Instytutu. Noc była chłodna. Ulica za dnia i wieczorem tętniąca życiem, teraz, w czterogodzinnym okresie nocnego odpoczynku, opustoszała niemal zupełnie.

Pogasły różnobarwne światła, tylko promieniujące zielonkawo ściany domów zdawał się spowijać przedwieczorny zmierzch.

— Jedziesz do domu? — spytał Stefan niepewnie.

— Nie. Nocuję w Instytucie. Wyszłam tylko na chwilę. Chcę się trochę przejść.

— Pozwolisz, że pójdę z tobą?

— Jak chcesz...

Zeszli z głównego ciągu pieszego w dół na bulwar. Było tu jeszcze ciemniej, bo szereg cienistych topoli, biegnących skrajem bulwaru, tworzył naturalną osłonę przed światłami miasta. Tylko w czarnym lustrze Odry odbijały się oświetlone żółtawo najwyższe kondygnacje wieżowców na przeciwległym brzegu.

Usiedli na ławce.

— Odnalazłeś już wreszcie ten swój meteoryt? — zapytała Kama przerywając dłuższe milczenie.

— Nie. Przepadł jak kamień w wodzie. Najmniejszego śladu... Jakby go w ogóle nie było.

— Mógł przecież wyparować w powietrzu...

— Nie sędzę. Pomiaru dokonane tuż przed samym upadkiem, gdy był na wysokości około trzystu metrów nad Ziemią wykazały, że miał średnicę ponad trzymetrową. To był kolos o masie rzędu kilkudziesięciu ton. Chyba, że pomiar był błędny...

— I to możliwe.

— Niemniej, powinien być jakiś ślad — zastanawiał się meteorolog. — Inna sprawa, że mamy z tym obiektem kłopoty od samego początku. Ze wstępnych obliczeń wynikało, że tor miał się przeciąć z powierzchnią Ziemi w rejonie północnego Atlantyku. Ale zaraz nadeszły dane poprawkowe, a za nimi jeszcze następne. Hipotetyczny punkt upadku przesuwno coraz bardziej na wschód... Mówiłem nawet Tomowi, że wygląda tak, jak gdyby obiekt zamiast zwiększać, zmniejszał prędkość. Ale to był chyba błąd w obliczeniach. Zresztą na zastanawianie się wtedy nie było czasu. Ostatnie dane otrzymałem na niespełna trzy minuty przed zetknięciem się bolidu z Ziemią. Prawdopodobny punkt upadku znajdował się na obszarze Karkonoszy. A więc w moim sektorze. Oczywiście, abym dotarł tam przed bolidem i dokonał osobiście zdjęć, nie było mowy. Połączyłem się więc z obserwatorium na Śnieżce, aby chociaż na ekranie śledzić to zjawisko. Okazało się jednak, iż gęsta mgła uniemożliwia obserwacje optyczne. Na rozpedzenie chmur nie starczyło już czasu. Musiano więc ograniczyć się do radaru i podczerwieni...

— Stąd te dane dotyczące średnicy.

— Tak. Ale wyniki obserwacji i pomiarów okazały się nadspodziewanie skąpe. Nie udało się zauważyć żadnych efektów świetlnych ani termicznych. Na taśmach nie ma najsłabszych śladów promieniowania podczerwonego. Stosunkowo najwięcej informacji przyniosły obserwacje radarowe. Prędkość opadania zmniejszyła się na ostatnich kilkudziesięciu kilometrach niemal do zera. Co dziwniejsze, niektóre dane zdają się wskazywać na ruchy poziome. Punkt upadku znajdował się, niestety, poza polem widzenia stacji na Śnieżce, tak, że udało się go zlokalizować z dokładnością tylko do trzech kilometrów. Ale chyba i w tym jest błąd. Stąd też moje kłopoty. Na domiar złego przyszła zaraz ta piekielna burza i jeszcze bardziej utrudniła poszukiwania zacierając prawdopodobnie wszelkie wyraźniejsze ślady.

Liczę tylko na ciebie, że potrafisz coś wyciągnąć z tego biedaka. Niechby choć w przybliżeniu określił, gdzie nastąpił upadek.

— Niestety, muszę cię zmartwić: on nic nie wie o meteorycie.

— Jesteś pewna? Przecież mówił o ogniu.

— Przeprowadziłam próbę fantowizyjną. Nie lubię stosować tej metody, lecz tym razem chciałam mieć pewność. Żadnej reakcji kojarzeniowej. Jak gdyby nigdy, nawet na zdjęciu, nie widział upadku bolidu.

— Ale może chociaż widział łunę? Może powie, gdzie był ten ogień?... Ujęła jego rękę i uściśnęła.

— Nie wiem, skąd wytrzasnąłeś tego człowieka, ale ci powiem, że jestem wdzięczna, żeś go do mnie przywiózł. To naprawdę niezwykły przypadek zespołu urojeniowego — powiedziała wstając.

— Znalazłem go w lesie. W Karkonoszach. Mówiłem ci przecież...

— No, tak. Chodzi jednak o to, że jak dotąd nic o nim nie wiemy. Pekoderu nie ma. Musiał zgubić... Może leży gdzieś w górach. Ale na to, aby stwierdzić jaki jest jego sygnał wywoławczy, trzeba wiedzieć, kim jest ten człowiek.

— Słowem: błędne koło!

— Dziś rano wezwaliśmy specja z SBS i sporządził cechogram. Dane już są w GIB-ie. Czekam właśnie na wiadomość.

— Widzę, że narobiłem wam kłopotu...

— Nie chodzi o kłopot. Identyfikacja jest raczej sprawą formalną i gdyby tylko szło o to, można przecież tego człowieka przekazać najbliższej placówce SBS. Jest to jednak tak interesujący przypadek, że chcemy koniecznie zatrzymać go w Instytucie. Jutro przylatuje z Warszawy Garda. Wyniki są tego rodzaju, że albo, co wydaje się mało prawdopodobne, mamy do czynienia z fenomenem, który spowoduje rewizję wielu zasadniczych poglądów dotyczących fizjologicznych podstaw pamięci, albo, co jest chyba niemal pewne, popełniam jakiś błąd. Nie potrafię jednak stwierdzić, na czym ten błąd polega!

Podeszła aż do samego brzegu i zapatrzyła się w ciemny nurt rzeki. Miksza wstał z ławki.

— Mówisz: fenomen — odezwał się po chwili podchodząc do dziewczyny. — Czyżby te jego urojenia?... Chyba zdarzały się takie przypadki?

— Urojenia są sprawą uboczną. Istota problemu polega na tym, że wyniki badania zdają się sugerować, iż... jakby tu powiedzieć... on jest niemal pierwotny. Tak pod względem fizycznym, jak i psychicznym.

— Pierwotny? W jakim sensie? Co prawda, jego zachowanie się... i wygląd... Myślałem, że to aktor, który pod wpływem szoku...

— Nie jest aktorem. Tego jestem pewna. Widziałeś jego skórę, zęby, włosy?... Tak jakby przez całe lata żył poza światem cywilizowanym, pozbawiony najelementarniejszych środków medycznych... Ale nie chodzi tylko o jego wygląd. Czy wiesz, że on nie potrafi zupełnie korzystać z urządzeń sanitarnych? Wszystkiego trzeba go uczyć. Już z kąpielą był kłopot. Nie chciał się rozebrać do naga. A brudny był potwornie...

— Czy nie bierzesz pod uwagę możliwości, że jest to jakiś człowiek chory psychicznie, ukrywający się przez dłuższy czas, może nawet lata całe, w zamkniętych dla ruchu turystycznego partiach rezerwatu? Może wydawało mu się, że jest pustelnikiem?

— Rozważaliśmy i taką możliwość, ale dokładniejsze badania zdecydowanie jej przeczą. Przeprowadziłam szereg prób testowych i sondaży.

— A może on po prostu udaje?

— Nie. Ja też początkowo podejrzewałam... Jego urojenia są konsekwentnie powiązane i stanowią logiczną całość. Nie jestem, co prawda, specjalistą w zakresie historii wierzeń religijnych, obyczajów i języka szesnastowiecznego, ale jak dotąd nie napotkałam na żadną reakcję sprzeczną z urojeniami. Wykluczam, aby człowiek normalny był w stanie z taką żelazną konsekwencją grać rolę fanatycznego mnicha z czasów Grzegorza XIII i Sykstusa V. To właśnie, moim zdaniem, przemawia za tym, że mamy tu jednak do czynienia z niezwykle fenomenem. Co więcej, sondaż podświadomości też nie wniósł nic nowego. Ten sam krąg pojęć, to samo słownictwo. Próbowalam skojarzeń kodowych... To samo. Reakcje takie, jakby rzeczywiście nigdy nie znał języka inter. Charakterystyczne zmiany krzywej powoduje tylko łacina i szesnastowieczny niemiecki. Reakcja na inter, włoski, angielski, francuski, polski czy rosyjski występuje tylko w przypadkach podobnego brzmienia wyrazów jak w łacinie i niemieckim. Przekazałam taśmy analizatorowi lingwo...

— No, i?...

— Wyobraź sobie, że on rzeczywiście mówi płynnie szesnastowieczną łaciną i niemieckim!

— To by sugerowało, że jest jakimś wybitnym badaczem tego okresu.

— Twierdzi, że nazywa się Modestus Münch.

— Modestus Münch — powtórzył Miksza i zamyślił się.

— Nadejdzie odpowiedź GIB-u i wszystko się wyjaśni — podjęła Kama i nie dokończyła.

Uczuła delikatne ukłucie w okolicy nadgarstka lewej ręki, gdzie nosiła bransoletkę telefoniczną.

Oparła dłoń na szyi tuż pod uchem.

— Zero, zero, zero, słucham — „wypowiedziała” w myślach hasło kontaktowe.

— O wilku mowa... Właśnie GIB mnie wzywa — rzuciła wyjaśniająco do Mikszy.

Patrzył z napięciem na dziewczynę, której twarz z minuty na minutę wyrażała coraz większe zdziwienie. Wreszcie Kama opuściła dłoń wyłączając telefon.

— Nic nie rozumiem... — powiedziała na wpół do siebie. — Trudno uwierzyć, ale poszukiwania dały wynik negatywny.

— Czy to w ogóle możliwe?

— Powiedziałam to samo. Przeszukali wszystkie rejestry. Takiego zestawu cechującego nie znaleźli.

— Ależ to niemożliwe! Żaden człowiek zamieszkujący Układ Słoneczny nie powinien znajdować się poza Pamięcią!

— A jednak... Okazuje się, że system jest zawodny.

— Może sztuczna zmiana parametrów? — podsunął Miksza.

Kama pokręciła przecząco głową.

— To zbyt skomplikowane. Wystarczą dwa parametry do identyfikacji, a rejestr zawiera ponad setkę.

— A może po prostu nie dopełniono obowiązku zapisu?

— Myślisz o „wolnych ptakach”?...

— Właśnie... Ile on może mieć lat?

— Trudno ocenić na oko, bez pobierania próbek. Twierdzi, że urodził się w 1500 roku, co oczywiście jest urojeniem, bo miałby dziś blisko pięćset lat. Wygląda na siedemdziesiąt, ale to może być skutek prymitywnych warunków życia. Nie sądzę jednak, aby miał mniej niż pięćdziesiąt.

— W czasie wprowadzenia pekoderów miał więc co najmniej dwadzieścia lat i mógł należeć do „ptaków” najbardziej nieprzejednanych. Może od tego czasu ukrywał się gdzieś w górach, w niewielkiej grupie?

Pokręciła przecząco głową.

— Nie sądzę, aby należał do „ptaków”. Chyba, że mamy tu do czynienia z pełną amnezją.

W ogóle nie reaguje na słowo „pekoder” i skłonna jestem raczej przyjąć, iż całkowita izolacja nastąpiła jeszcze przed światowym referendum w sprawie cechogramów.

— Czy mógłby żyć ponad trzydzieści lat jako pustelnik, w jakiejś pieczarze, nie kontaktując się zupełnie ze światem?... To nonsens. A jego habit, sandały?... Dawno by już z nich pozostały strzępy...

— Nie wiem, co o tym myśleć — wzruszyła ramionami.

— Faktem jest, iż ten nasz brat Modestus jest człowiekiem bardzo podejrzanym.

I uśmiechając się dodał:

— A może on naprawdę przywędrował do nas z roku 1593? Dzięki jakiejś cudownej maszynie czasu?

### III. Sensacje prasowe

#### „Życie Arkonu”

\* *Zagadka „człowieka znikąd” nadal nie rozwiązana. Co odkrył profesor Garda w Bibliotece Watykańskiej?* \* Jak donosi nasz warszawski korespondent, sprawa Modesta Müncha, odnalezionego sześć tygodni temu w Karkonoszach, nie schodzi z łamów tutejszej prasy. Według opinii kół zazwyczaj dobrze poinformowanych, badania nad rozwiązaniem zagadki „człowieka znikąd” posunęły się w ostatnim czasie znacznie naprzód. Niemniej pozostaje ona nadal nie rozwiązana. Kierownik zespołu naukowców zajmujący się tą sprawą, członek Światowej Akademii Nauk — E. Garda zgromadził podobno bardzo interesujące materiały zdające się wskazywać, iż historia, jaką z uporem powtarza Münch, nie jest tylko wytworem jego chorej wyobraźni. Okazuje się bowiem, iż w drugiej połowie XVI wieku rzeczywiście istniał dominikanin o tym nazwisku, występujący jako rzecznik oskarżenia w wielu procesach inkwizycyjnych. Wzmianki o nim można znaleźć w annałach kilku biskupstw, między innymi w Bambergu, a także w klasztorze w pobliżu Kontwaldu, o którym wspomina „człowiek znikąd”.

Otóż w miasteczku o tej nazwie, w roku 1593, w jakichś dość zagadkowych okolicznościach ów pater Modestus poniósł śmierć podczas — jeśli tak można powiedzieć — pełnienia obowiązków służbowych. Niestety, relacji naocznych świadków zdarzenia nie udało się odnaleźć, gdyż w okresie wojny trzydziestoletniej klasztor został spalony, a wraz z nim uległy zniszczeniu wszystkie dokumenty. Po blisko stu latach dopiero spisana została historia owych wypadków, z tym że nie ma tam nazwiska inkwizytora, lecz powtarza się tylko imię „Modestus”. Zestawiając jednak ów kronikarski zapis z raportem o zaginięciu inkwizytora Müncha, znajdującym się w Bibliotece Watykańskiej, prof. Garda stwierdził wyraźną zgodność zarówno co do miejsca i czasu wydarzenia, jak i niektórych jego szczegółów.

Nasuwa się stąd wniosek, iż ów tajemniczy „człowiek znikąd” musiał mieć w ręku wspomniane dokumenty. Okazało się jednak, że raport znajdujący się w Bibliotece Watykańskiej nie był od blisko stu siedemdziesięciu lat w ogóle przeglądany. Ostatni zapis w kartotece dokonany został przed 169 laty, tj. jeszcze w czasie, kiedy ta część archiwum nie była udostępniona badaniom religioznawczym.

Oczywiście, prof. Garda nie twierdzi bynajmniej, iż rzekomy mnich Münch odnaleziony w Karkonoszach ma coś wspólnego z szesnastowiecznym dominikaninem. Jest raczej zdania, że przed 169 laty musiała być sporządzona kopia dokumentu, który dotarł później w jakiś sposób do rąk „człowieka znikąd”.

#### „Wiadomości”

\* *Wokół sprawy M. Müncha* \* Z Radowa donoszą, że St. Miksza — meteorytolog, który w połowie marca br. odnalazł M. Müncha podającego się za XVI-wiecznego inkwizytora —

przeprowadził badania dotyczące czasu produkcji i pochodzenia niektórych przedmiotów należących do Müncha, a w szczególności: habitu, sznura, sandałów i drewnianego krzyża. Jakkolwiek przedmioty wykonane są z tworzyw naturalnych i do złudzenia przypominają wytwory rękodzieła z XVI wieku, z pomiarów przeprowadzonych metodami izotopowymi wynika, że wspomniany krzyż liczy 15 lat, habit około 4 lat, a sandały i sznur nie więcej niż trzy lata.

### „Problemy Nauki”

\* *Nie tolerować nieuctwa i dezinformacji!* \* Atmosfera niezdrowej sensacji, jaką usiłują pewne brukowe czasopisma i stacje telewizyjne wytworzyć wokół sprawy Modesta Müncha, zwanego „człowiekiem znikąd”, wskazuje, że nawet w naszych czasach nieuctwo i dezinformacja może liczyć na poklask pewnej części społeczeństwa. Jest to zjawisko niewątpliwie groźne i wszelka tolerancja wobec niego — jak najbardziej szkodliwa.

A oto fakty! Przytaczamy poniżej garść tytułów, jakie ukazały się w prasie i programach telewizyjnych: *Młoda uczona udowadnia: Modest Münch — to XVI-wieczny inkwizytor. — Człowiek znikąd liczy 486 lat. — Czy piekło, o którym wspomina Modest Münch, istnieje w rzeczywistości? — Czy mogą istnieć zjawiska nadprzyrodzone? Nauka nie wypowiedziała w tej sprawie ostatniego słowa.*

A oto fragment jednej z notatek prasowych, której autor bije rekordy ignorancji: „Prof. Barecka (autor notatki przekręcił nazwisko i zmienił tytuł naukowy — chodzi tu w rzeczywistości o dr Kamę Darecką — znaną uczoną, specjalistkę w dziedzinie psychosondażu i neurofizjologii, twórczynię teorii układów trójzbieżnych — przyp. red.) wykazała, że wszystko, co mówi M. Münch, jest prawdą. Nie ma bowiem żadnej sprzeczności między stwierdzonymi przez nią faktami a relacjami byłego inkwizytora. To stwierdzenie stanowi tryumf nauki, ale tryumf odniesiony... nad nią samą. Ostatnie dwa wieki bowiem, znaczone nieustannym postępem nauki i techniki, ugruntowały ślepą wiarę we wszechmoc rozumu ludzkiego. Teraz zaś okazuje się, że nie można ufać ani niezachwianym rzekomo prawom przyrody, ani zdrowemu rozsądkowi, ani nawet precyzyjnym przyrządom i wypróbowanym metodom badawczym”.

Chyba wystarczy. Można darować prymitywny styl wywodów, ale przecież z bełkotu tego nic w ogóle nie wynika. Gorzej — niezorientowany czytelnik tego piśmidła noszącego tytuł: „Aktualności naukowe” (sic!) nie tylko nie będzie wiedział, o co tu w rzeczywistości chodzi, ale gotów jeszcze pomyśleć, iż w związku ze sprawą „człowieka znikąd” dokonano odkryć, które zachwiały podstawami współczesnej nauki!

### „Teleexpress”

\* *Czyżby agent innej cywilizacji?* \* W czasie konferencji prasowej zorganizowanej przez Agencję CDK z uczonymi zajmującymi się zagadką „człowieka znikąd” nasz korespondent naukowy zapytał: „Czy nie może istnieć związek między tajemniczym meteorytem spadłym w rezerwacie karkonoskim i dotąd nie odnalezionym a pojawieniem się w tym rejonie owego nieznanego człowieka, podającego się za XVI-wiecznego inkwizytora?”

Odpowiedzi na to pytanie udzielił naszemu korespondentowi odkrywca „człowieka znikąd”, meteorytolog S. C. Miksza. Oświadczył on, że być może M. Münch został „podrzucony” na Ziemię z kosmosu w tym celu, by narobić kłopotu naszym naukowcom.

Miksza traktował to oczywiście jako żart, niemniej chyba i takiej możliwości nie należy

wykluczyć. W połowie XX wieku autorzy „science-fiction” wykorzystywali w swych dziwacznych opowieściach motyw inwazji na Ziemię agentów obcych cywilizacji, uformowanych dla niepoznaki fizycznie i umysłowo na podobieństwo Istot ludzkich. Brzmi to oczywiście jak bajka, ale czy nie warto rozważyć, choćby tylko w formie hipotezy roboczej, czy „człowiek znikąd” nie może być właśnie czymś w rodzaju sztucznie stworzonej kopii inkwizytora Müncha, podrzuconej na skutek jakiejś pomyłki czy błędów w obliczeniach w niewłaściwy okres cywilizacji ziemskiej. Czy stworzenie takiej kopii jest w ogóle możliwe? A jeśli nawet tak jest, to czy imitacja może sięgać aż tak daleko, że „zegar radioaktywny” wskaże, iż pater, Modestus liczy obecnie 34 lata, a jego krzyż — 15, zaś sandały tylko trzy lata? Odpowiedź na te pytania zostawiamy specjalistom.

## „STV 88”

\* *Tajemnica mózgu „człowieka znikąd” (Rozmowy przed kamerą)* \* W dzisiejszych naszych spotkaniach z młodymi naukowcami pozwoliliśmy sobie zaprosić do studia wybitną specjalistkę z zakresu psychofizjologii, dr Kamę Darecką. Mimo młodego wieku jest ona autorką szeregu cenionych prac naukowych, a w szczególności teorii dotyczącej granicy błędu w statystyczno—wybiorczej metodzie psychosondażu. Tym razem jednak tematem naszej rozmowy są wyniki badań, jakie dr Dareck prowadzi od trzech miesięcy w Instytucie Mózgu w Radowie nad rozwiązaniem zagadki słynnego Modesta Müncha, zwanego „człowiekiem znikąd”. Dr Darecka zajmuje się sondażem psychiki tego człowieka oraz eksperymentami z zakresu reedukacji i adaptacji.

STV: W ostatnim czasie w niektórych czasopismach ukazały się pod sensacyjnymi tytułami doniesienia, iż w wyniku badań przez was prowadzonych doszłście do wniosku, że odnaleziony w rezerwacie karkonoskim człowiek jest zaginionym w XVI wieku inkwizytorem Modestem Münchem. Czyż można w ogóle przyjąć, że takie zjawisko jest możliwe z punktu widzenia fizjologii?

K. D.: Chciałabym od razu usunąć pewne nieporozumienie, które, jak sądzę, było przyczyną pojawienia się szeregu fałszywych informacji prasowych. Przede wszystkim nigdy nie twierdziłam, że człowiek odnaleziony przez mgr. Mikszę i XVI—wieczny inkwizytor Modestus Münch to ta sama osoba. Problem ten — jakkolwiek z pewnością sam w sobie interesujący — nie wchodzi w zakres moich badań ani nawet kompetencji naukowej. Tą sprawą zajmowali się dr Balicz i mgr Miksza. Jak wiadomo — wyniki ich badań sugerują w zasadzie odpowiedź negatywną. Ja zajmowałam się i w dalszym ciągu zajmuję się obecnym stanem osobowości tego człowieka. Zasobem informacji, jakie — ujmując popularnie — zapisane zostały w jego mózgu w ciągu trzydziestu kilku lat życia. Otóż ten zasób informacji — począwszy od prostych wrażeń aż po najbardziej skomplikowane zespoły nawyków, wyobrażenia i pojęcia — nie zawiera nic, co by wskazywało, iż człowiek ten przeżył 34 lata w XXI wieku. Istnieje za to zadziwiająca zgodność między wynikami sondażu powyżej i poniżej progu świadomości a tym, co mówi o sobie. Chodzi nie tylko o to, że on wierzy w to, iż jest Modestem Münchem, ale że zawartość informacyjna jego mózgu jest taka sama, jaką według moich wyobrażeń powinien dysponować XVI—wieczny Modestus Münch. Nawet najgłębszy sondaż nie przyniósł nic, co mogłoby świadczyć, że jest inaczej. Nie twierdzą jednak, że to jest ten sam człowiek.

STV: Rozumiem. Istnieje zasadnicza różnica między sformułowaniami: „ten sam” a „taki sam”, ale słuchowo wydaje się ona tak minimalna, że łatwo o nieporozumienie. Jak jednak wytłumaczyć, że człowiek żyjący w naszych czasach posiada osobowość XVI—wiecznego Modesta Müncha? Bo chyba tak można określić istotę tego fenomenu?

K. D.: Użycie takiego określenia jest nieco ryzykowne, gdyż nie ma żadnych sposobów

stwierdzenia, jak ukształtowana była osobowość inkwizytora Müncha. Jeśli chodzi o ścisłość, to w ogóle nie można mówić o identyczności dwóch osobowości. Nawet u jednego i tego samego osobnika dwa zapisy dokonywane tuż po sobie różnią się między sobą, pomijając już to, iż zawsze obejmują one tylko pewien wycinek osobowości. Niemniej, w praktyce przyjmujemy dwa podobne zapisy jako dowód, że chodzi tu o tę samą osobowość. W omawianym jednak przez nas przypadku dysponujemy tylko jednym zapisem, gdyż zapisu osobowości Müncha z XVI wieku nie posiadamy, bo nie był, rzecz jasna, sporządzony. Ten stan rzeczy nie oznacza jednak, że tego rodzaju badania, a w szczególności sondáže osobowości tracą wszelki sens. Możemy bowiem w oparciu o materiały historyczne określić w przybliżeniu zawartość pamięci człowieka wychowanego w XVI wieku, będącego mnichem i członkiem trybunału inkwizycyjnego. Otóż zgodność takiego modelu pamięci ze stwierdzoną zawartością pamięci domniemanego Müncha jest zdumiewająca!

STV: Słyszałem jednak, że niektórzy socjohistorycy kwestionują tę zgodność.

K. D.: Różnice zdań dotyczą nie zasobu informacji, bo odpowiada on w pełni temu, co wiemy o XVI wieku, lecz sposobu interpretacji przez tego człowieka określonych zdarzeń, jego sposobu myślenia, rozumowania, kierunku aktywności intelektualnej, słowem — jego mentalności, która podobno nie pasuje do naszych wyobrażeń o mentalności człowieka XVI wieku. Niektórzy specjaliści z zakresu psychosocjologii schyłkowego okresu wieków średnich i początków ery nowożytnej, przede wszystkim prof. Glitz i dr Horak, są zdania, że obraz umysłowości człowieka XVI wieku, jaki na podstawie wynurzeń rzekomego Modestusa Müncha można nakreślić, jest naiwny i karykaturalny, że wiele w nim sztuczności i tendencyjnie wyeksponowanych elementów fantazji, psychopatii i zacofania intelektualnego, że za mało w nim śladów myśli renesansowej, a za wiele mroków średniowiecza. Inaczej mówiąc: obraz ten, ich zdaniem, jest zbyt czarny, aby mógł być prawdziwy.

STV: Skąd jednak ten wyjaskrawiony obraz znalazł się w umyśle człowieka odnalezionego w rezerwacie karkonoskim? Jeśli nie jest to Modestus Münch z Kontwaldu, to w takim razie kto?

K. D.: Dr Horak wysunął dość interesującą hipotezę. Uważa on, że — być może — mamy tu do czynienia z jakimś nielegalnym eksperymentem. Umysł tego człowieka mógł być specjalnie spreparowany, czy też raczej nasycony informacjami z XVI wieku. Może nawet nie sięgano tu do środków neurofizjologicznych, lecz po prostu wychowano go przez te trzydzieści parę lat w warunkach symulowanych. Eksperymentatorzy nie byli w stanie uniknąć pewnych sztuczności i przejawów, zwłaszcza że mogli należeć do starszej szkoły socjohistorycznej, która w dość czarnych barwach widziała wiek XVI. Ta sztuczność jest właśnie — zdaniem dr. Horaka — najlepszym dowodem, że mamy tu do czynienia z rezultatem nielegalnego eksperymentu. Otóż muszę ze swej strony stwierdzić, że chociaż — jak to już podkreśliłam z początku naszej rozmowy — nie zajmuję stanowiska w sprawie pochodzenia człowieka odnalezionego w rezerwacie karkonoskim, gdyż jest to z mego punktu widzenia sprawa nie najistotniejsza, daleka jestem od podzielenia zdania, że obraz wynikający z wypowiedzi naszego Müncha razi sztucznością czy karykaturalnością. Jest to obraz mroczny, ale zupełnie logiczny i moim zdaniem możliwy do przyjęcia. Model umysłowości fanatyka, wierzącego ślepo w sprawę, której służy i głuchego na wszelkie kontrargumenty, choćby nawet oparte o oczywiste fakty, w moim przekonaniu pasuje do tamtej epoki walk politycznoreligijnych i polowań na czarownice. Jest to zresztą model uniwersalny, pojawiający się w różnych epokach... Zaznaczam, że nie jestem historykiem i mogę się mylić.

STV: Muszę przyznać, że nie bardzo rozumiem, dlaczego to, jakiego pochodzenia jest rzekomy Modestus Münch, uważacie za kwestię nieistotną. Jest to chyba przecież sprawa zasadnicza!

K. D.: Tylko na pozór. Mnie interesuje, co dzieje się w mózgu tego człowieka: stan jego umysłu,



to, co on pamięta, co przeżywa, ciąg wrażeń, które ukształtowały jego osobowość. Trwałość tego zapisu i jego odmienność od tego, jaki nosi w swej czaszce każdy z nas — oto zasadniczy problem. Z tego punktu widzenia nie jest istotne, czy ten człowiek jest Modestem Münchem, przeniesionym jakimś niepojętym sposobem w naszą epokę, czy kopią inkwizytora Müncha przesłaną nam w podarku w wyniku jakiegoś nieporozumienia kosmicznego, czy też rezultatem eksperymentu symulacyjnego — efekt pozostaje taki sam. Jest to człowiek o osobowości bliższej XVI-wiecznemu Münchowi niż komukolwiek w naszym stuleciu, i to jest dla mnie najważniejszym stwierdzeniem.

STV: A więc zagadka pochodzenia tego człowieka pozostaje nadal nie rozwiązana. Na zakończenie jednak chciałbym prosić was, już zupełnie nieoficjalnie, o odpowiedź na pytanie spoza waszej specjalności. Odpowiedź już nie specjalisty–naukowca, lecz obserwatora. Odpowiedź wyrażającą prywatne poglądy lub może tylko odczucia. Chodzi o to, co sądzicie o pochodzeniu człowieka odnalezionego w rezerwacie karkonoskim?

K. D.: Uparcie wracacie do tej sprawy. Chyba jednak was rozczaruję. Przede wszystkim muszę stwierdzić, że nie potrafię dzielić swych poglądów na prywatne i oficjalne. Ale jeśli już chcecie wiedzieć, co sędzę o pochodzeniu tego człowieka — to wam powiem: nieustannie się waham. Wyniki sondażu przemawiają za hipotezą szesnastowiecznego pochodzenia. Jest to jednak hipoteza tak niezwykła, że rozsądek opiera się jej przyjęciu. Nie ma to jednak, jak już podkreśliłam, zupełnie wpływu na tok moich badań i eksperymentów.

STV: Pozwólcie, że inaczej sformułuję pytanie: traktując sprawę subiektywnie — potwierdzenie której hipotezy sprawiłoby wam największą radość?

K. D.: (śmieje się) Pytanie jest perfidne, gdyż odpowiedź jest z góry chyba do przewidzenia. Sądzę, że nawet ci, którzy bronią uparcie i konsekwentnie współczesnego pochodzenia naszego Müncha, woleliby jednak, aby to był... prawdziwy inkwizytor Modestus Münch. Ale to, czego byśmy chcieli — nie ma tu żadnego znaczenia.

### **„Jutro psychofizjologii”**

\* *W sprawie tzw. „człowieka znikąd”* \* W ostatnim czasie napłynęły do naszej redakcji liczne listy z zapytaniami, dlaczego na naszych łamach nie publikujemy informacji dotyczących losów sprawy tzw. „człowieka znikąd”. Jak wiadomo, pismo nasze było rzecznikiem powołania specjalnej komisji badawczej, w której skład mieli wejść nie tylko prowadzący aktualnie eksperymenty z M. Münchem pracownicy Instytutu Mózgu w Radowie, zainteresowani potwierdzeniem wysuwanych przez siebie hipotez, ale również obiektywni obserwatorzy i zdecydowani przeciwnicy teorii lansowanych przez IM. Niestety, do powołania takiej komisji nie doszło. Również popierana przez nas propozycja przekazania M. Müncha na pewien okres tym placówkom, które oceniają krytycznie metody badawcze i terapeutyczne stosowane w IM została odrzucona, jakoby z uwagi na to, iż badania w innych ośrodkach mogłyby rzekomo utrudnić rehabilitację tego człowieka.

Taki obrót rzeczy stanowi — naszym zdaniem — poważny cios dla sprawy. Trzeba dodać, że wiele szkody wyrządza atmosfera sensacji i reklamiarstwa towarzysząca sprawie Müncha, za którą w pewnej mierze ponoszą, niestety, odpowiedzialność także niektórzy pracownicy IM. Jest to tym bardziej przykre, że nie brak wśród nich uczonych mających na swym koncie liczący się dorobek naukowy.

Jednocześnie pragniemy tu podkreślić, iż odrzucamy zdecydowanie wszelkie próby insynuacji, że wokół sprawy tzw. „człowieka znikąd” toczy się w naszych kołach naukowych jakaś gra służąca wątpliwym celom. Zawsze byliśmy przeciwni intrygom i zaciętrzewieniu, a w propozycjach

wysuwanych na naszych łamach widzieliśmy drogę do przeciwdziałania tym szkodliwym zjawiskom.

Dlatego wstrzymujemy się ostatnio od publikacji wszelkich informacji i polemik dotyczących omawianej sprawy, stojąc na stanowisku, że w obecnej sytuacji nie należy dolewać oliwy do ognia.

Redakcja.

### „Fotogazeta poranna”

\* *Kosmolit czy kosmolot?* \* W wyniku bardzo drobiazgowych poszukiwań przeprowadzonych przez meteorologa dra St. Miksę udało się wreszcie natrafić na ślad obiektu kosmicznego, który w nocy z 16 na 17 marca spadł w rezerwacie karkonoskim. W niewielkiej kotlinie o zboczach porośniętych gęstym lasem, w odległości 300 metrów od miejsca spotkania rzekomego Müncha, znaleziono wyraźny ślad w postaci zniszczenia wegetacji roślinnej. Wokół pewnego punktu na małej, otoczonej lasem łące zaznacza się wyraźny krąg, gdzie spośród wyschniętej trawy przebija świeża zieleń. Krąg ma średnicę ok. 3,5 metra, a ziemia w jego zasięgu zasypana jest milionami maleńkich stalowych dipoli, tworzących jakby ślad jakiejś złożonej struktury.

Dipole, których zebrano ponad 2 kilogramy, odznaczają się bardzo wysoką odpornością na korozję. Dotychczasowe badania wykazały, że zniszczenie roślinności nastąpiło przed trzema miesiącami, a więc w tym samym czasie, gdy nastąpił upadek tajemniczego obiektu. Co ciekawsze, roślinność uległa zniszczeniu pod wpływem bardzo niskiej temperatury, nie zaś — jak początkowo przypuszczano — wysokiej. Zastanawiający jest również brak śladów mechanicznego działania obiektu. Wydaje się, że „gość kosmiczny” nie zderzył się z powierzchnią Ziemi ani też nie eksplodował w atmosferze, lecz opadł łagodnie na polanę i w ciągu kilku godzin wyparował niemal doszczętnie. Musiał więc składać się z substancji szybko parującej w naszych warunkach.

Trudno na razie osądzić, czy tajemniczy obiekt był pochodzenia naturalnego, czy też — jak niektórzy próbują sugerować — stanowił jakiś pozaziemski statek kosmiczny, którym Münch przyleciał na Ziemię. Co prawda, gdy go sprowadzono na to miejsce stwierdził, że tu właśnie odzyskał przytomność po rzekomym pobycie w „czyścicu”, zaś tajemnicze dipole zdaniem specjalistów zdają się być tworem sztucznym. Tym niemniej — trzeba uznać za dość wątpliwy sens takiego przedsięwzięcia, podjętego przez jakichś nie znanych nam inteligentnych mieszkańców kosmosu. Niemal doszczętnie wyparowanie owego rzekomego wehikułu kosmicznego wymagałoby przyjęcia, że technika, jaką dysponują te istoty, różni się całkowicie od ziemskiej. Sprawa pozostaje więc nadal otwarta.

## IV. „Wierzę tobie, Kamo!”

Na ścianach ukazywały się na przemian ilustracje i napisy: NARZĘDZIE... NARZĘDZIE... NARZĘDZIE... I TO TEŻ NARZĘDZIE... MŁOT TO NARZĘDZIE... CZŁOWIEK TRZYMA W RĘKU NARZĘDZIE... I TO RÓWNIEŻ MŁOT... MŁOT MECHANICZNY... MASZYNA... MASZYNA TO NARZĘDZIE CZŁOWIEKA... CZŁOWIEK KIERUJE MASZYNA... AUTOMAT... AUTOMAT... AUTOMAT TO MASZYNA SAMOCZYNNA...

Münch nacisnął guzik i napis na ekranie zamarł w bezruchu.

— Nie rozumiem, co to „samoczynna”?

— Działająca sama bez udziału człowieka — wyjaśniła Kama. — Człowiek nie potrzebuje kierować taką maszyną. Wykonuje ona wyznaczone przez człowieka zadanie samodzielnie.

Tak samo jak zegar mechaniczny. Tylko w sposób nieporównanie doskonalszy. Rozumiesz?

— Tak, jak zegar. A to... automat? — wskazał na pulpit dydaktomatu.

— Oczywiście. Kiedy naciskasz guzik, automat otrzymuje od ciebie polecenie. Przed chwilą kazałeś mu zatrzymać projekcję. To znaczy ruch obrazów — dodała wyjaśniająco.

— Tak. Ode mnie polecenie... Kto zrobił ten... automat?

— Zbudowały go inne automaty.

— Zbudowały... inne automaty? A kto zbudował inne?

— Ach, rozumiem, o co ci chodzi. Pierwsze automaty zbudował człowiek, bezpośrednio, własnymi rękami. Ale to było już dawno. Teraz maszyny budują inne maszyny. Ale plan ich budowy tworzy człowiek. Czasem zresztą wystarczy podać tylko zadanie i główne cechy, jakie powinna posiadać maszyna. Istnieją bowiem maszyny, które potrafią same opracować projekt innej maszyny. Zgodnie z instrukcją człowieka.

— Nie rozumiem.

— Nie ma w tym niczego cudownego. Powoli zrozumiesz i to, jak działają najbardziej skomplikowane automaty. Bądź cierpliwy.

— Cierpliwy jestem... I... wierzę tobie.

Uścisnęła przyjaźnie jego ramię.

— I to dobre, jak na razie — dorzuciła z uśmiechem. — Czy ciągnąć dalej ten temat?

Pokręcił przecząco głową.

— Może więc, dla odmiany, trochę historii? Naciśnij „czwórkę”.

— Czy muszę?

— Nie. Jeśli nie masz ochoty, możemy przerwać lekcję. Chcesz? Pójdziemy przez miasto.

Spacerem. Tak jak wczoraj.

— Nie chcę.

— Widzę, że nie masz dziś humoru. Źle się czujesz?

— Nie. Nie to... Przepraszam.

— Nie masz za co przepraszać.

— Nie chcę widzieć ludzi.

— No, to może polecimy za miasto? Pogoda wspaniała.

Nic nie odpowiedział.

Kama nacisnęła guzik pod pulpitem dydaktomatu. Pograżoną dotąd w półmroku salkę załąły promienie słońca.

— Nie. Nie. Nie rób...

— Dlaczego?

Była już trochę zaniepokojona.

W ciągu czterech miesięcy pobytu w Instytucie Mózgu Münch zmienił się ogromnie. Z zalęknionego starca, o twarzy pełnej bruzd i plam, o szerniałych, poszczerbionych próchnicą zębach, rozwichrzonej siwiejącej brodzie i łysiejącej czaszce — przeobraził się w młodego jeszcze mężczyznę o gładkiej cerze, zdrowym uzębieniu i gęstniejących ciemnych włosach.

Strój nosił biało-czarny, przypominający trochę habit, ale nie kontrastujący zbyt z aktualnymi wymaganiami mody. Brody nie zgolił całkowicie, lecz nosił ją krótko, podobnie jak włosy. Wygląd jego nie miał już cech teatralności, a przeciwnie — zyskał na powadze i godności.

Był to nie tylko rezultat zabiegów medycznych i kosmetycznych, ale także zasługa adaptacyjnego oddziaływania Kamy. Bowiem i w zachowaniu się Müncha wystąpiły wyraźne zmiany. Przede wszystkim stał się znacznie spokojniejszy, a spojrzenie jego nabrało naturalnego wyrazu. Nie przypominał już dziecka zagubionego w tajemniczym i groźnym świecie. Oswoił się nieco z nową sytuacją: zaczynał nabierać śmiałości, w pewnych momentach nawet pewności siebie, trochę zaskakującej tych, którzy zetknęli się z nim w pierwszych dniach pobytu w Instytucie.

Duży wpływ na przyspieszenie procesu adaptacji miało opanowanie przez niego języka inter, tak iż mógł już porozumiewać się z otoczeniem bez pośrednictwa automatów tłumaczących. Uczył się chętnie, wykazując szczególnie żywe zainteresowanie geografią i historią. Nie znaczy to, że przyjmowanie przekazywanych przez Kamę wiadomości przychodziło mu łatwo, mimo wyselekcjonowanych i odpowiednio dozowanych informacji.

Czasem odnosiła wrażenie, że usiłuje ukryć przed nią swe myśli, a w zapewnieniach, iż przekonany jest o prawdziwości tego, co słyszy i widzi, nie zawsze dźwięczała nuta szczerości.

Dziś w zachowaniu się jego zauważyła jakąś niezrozumiałą dla niej zmianę. Zdarzało się czasem, że nie miał chęci na spacer, ćwiczenia czy dyskusje, ale jak dotąd zawsze mówił w takim przypadku czego chce. Teraz inaczej. Trzeba było koniecznie dojść przyczyny.

Dotknęła palcami przycisku i polaryzatory ścienne zdławiły światło dnia.

— Czy tak dobrze? — zapytała.

— Dobrze.

— Czy chciałbyś zostać sam?

— Nie! — zaprzeczył pośpiesznie. — Chcę... — nie dokończył i odwrócił szybko głowę, próbując ukryć zmieszanie.

— Powiedz, czego chcesz?

— Chciałem prosić... — rozpoczął, zawahał się i dopiero po chwili dokończył: — Opowiedz... o ciebie.

Była trochę zaskoczona. Ale przecież tego pytania należało się spodziewać od dawna.

— Chciałeś powiedzieć: „opowiedz o sobie” — sprostowała błąd gramatyczny i jednocześnie pomyślała, że zawsze zaczynał się mylić, gdy coś silnie przeżywał. Ale dlaczego właśnie teraz?...

— Tak. Opowiedz o sobie — powtórzył.

— Bardzo chętnie. Cóż byś chciał wiedzieć o mnie?

— Wszystko.

Zaśmiała się krótko i trochę sztucznie.

— Myślę, że byłoby to równie trudne, jak i nieciekawe.

— Powiedz o sobie... Od początku.

— Rozumiem. Chcesz, abym opowiedziała o swym dzieciństwie?

— Tak — skinął głową jakby z pewnym wahaniem. — O dzieciństwie też.

— No, cóż... Byłam zupełnie przeciętnym dzieckiem. Takim, jakich wiele. Może trochę zbyt skorym do płaczu, ale jak widzisz wyleczyłam się z tego zupełnie — zaśmiała się znowu.

— Urodziłam się w Warszawie, w roku 2022. Moi rodzice tam jeszcze mieszkają. Oboje są lekarzami. Jeśli będziesz chciał — możemy ich odwiedzić. W Warszawie chodziłam do szkoły, a później studiowałam psychofizjologię. Po studiach rozpoczęłam praktykę u profesora Gardy. Potem przyjechałam do Radowa, do Instytutu Mózgu. I już tu pozostałam...

— Mówisz... uczyłaś się? Czego cię uczono? Powiedziałaś?...

— Studiowałam psychofizjologię. To nauka o mózgu, o układzie nerwowym, o zasadach jego działania; próbuje ona odpowiedzieć na pytania w jaki sposób odbiera się wrażenia, widzi, słyszy, odczuwa zapachy... Co się dzieje w mózgu, gdy myślimy, co to jest pamięć. Słowem — czym jest w istocie dusza.

— I ty wiesz? — zapytał z przejęciem.

— Wiem. Oczywiście jeszcze daleko do pełnego zrozumienia wszystkich zjawisk, które obserwujemy. Ale wiemy już bardzo dużo.

— Ale powiedzieć ci nie wolno? Prawda?

Nie zrozumiała pytania.

— Czego mi nie wolno powiedzieć?

— Jak wygląda... dusza.

Uśmiechnęła się.

— Byłoby trochę trudno powiedzieć, jak wygląda...

— Więc nie możesz? — powiedział z westchnieniem.

— Ależ mogę! Mogę ci wytłumaczyć, czym jest twoje myślenie, wola, uczucia — podjęła pośpiesznie. — Trzeba jednak na to sporo czasu. Muszę też przygotować odpowiedni materiał ilustracyjny.

— Ale powiesz?

— Oczywiście.

— Skąd ty to wiesz... wszystko?

— Uczyłam się.

— Tak, ale... Ty taka jeszcze młoda...

— W dzisiejszych czasach ludzie uczą się znacznie szybciej niż jeszcze, powiedzmy, sto lat temu. Kiedyś trzeba było poświęcać wiele czasu na samo zapamiętywanie różnego rodzaju wiadomości, nazw, określeń, liczb, wzorów matematycznych. Dziś prawie całe mechaniczne przyswajanie informacji odbywa się w tzw. transie elektrohipnotycznym. W sumie — godzina dziennie. W ten sposób pozostaje więcej czasu na rozwinięcie umiejętności posługiwania się zdobytą wiedzą, na wytłumaczenie wszelkich wątpliwości, na dyskusję i samodzielne przemyślenie wszystkiego. Ja ukończyłam studia podstawowe mając siedemnaście lat, a więc o rok później niż większość moich kolegów. Jednak dopiero praktyka kształci umiejętności zawodowe... Moim opiekunem był Garda. Przez cztery lata.

— Ale to nie było tu?...

— Nie. W Warszawie.

— Warszawa to... miasto? Takie jak to?

— Sześciokrotnie większe! Nie słyszałeś o nim?

— Słyszałem. Sigismundus... król polski, katolickiej wiary obrońca, dwór tam swój, mówiono, przenieść zamierzał...

— Tak. I przeniósł. Pozostało ono stolicą do dnia dzisiejszego. Jest nawet pomnik tego króla w najstarszej części Warszawy. Chcesz, pokażę ci film.

— Chcę.

— Kino! Blokada. Proszę GP 73. Warszawa. E4 start! — wypowiedziała hasło włączające aparaturę.

W sali zapanowała na moment ciemność. Potem ściany i czaszę sufitu zastąpiły jakby obłoki mgły, które z wolna rzednąc odsłoniły widok na otwartą przestrzeń. Gdyby nie fotele i pulpit sterowniczy dydaktomatu można by myśleć, iż znaleźli się oboje w powietrzu.

Przed nimi, jak okiem sięgnąć, rozciągało się wielkie miasto przecięte szeroką wstęgą rzeki. Na jej prawym brzegu, oddzielone wąskim pasem zieleni, ciągnęły się długim szeregiem, podobne do ogromnych plastrów miodu, wielopiętrowe bloki, zza których, jak gdyby dla kontrastu z poziomą zabudową bulwaru, wystrzelały w niebo, na kształt smukłych obelisków, niezliczone wieżowce. Głębiej ku wschodowi i północy, aż po niknący w mgłach widnokrąg, zwarta zabudowa ustępowała miejsca nieregularnie rozrzuconym obszarom bujnej roślinności, wśród której pięły się wwyż jeszcze potężniejsze, do gigantycznych wież Babel upodobnione, kompleksy zespołów wysokościowych — całe dzielnice o lekkich, choć wielopiętrowych budynkach zawieszonych nad ziemią i połączonych delikatną siecią jezdni i ciągów pieszych.

Również w zachodniej części miasta błyszczały w promieniach słońca liczne wieżowce i kompleksy budownictwa nadziemnego. Bliżej jednak lewego brzegu rzeki, zamkniętej w kamiennej ramie bulwaru, architektura budowli zmieniała się raptownie, przybierając kształty budzące w Münchu wspomnienie czegoś dawno utraconego...

Ta część miasta rosła szybko w oczach, jak gdyby mknąc w jakimś pojeździe powietrznym zniżali coraz bardziej lot. Oto na stromej skarpie jasny czworobok zamku z wieżą zegarową.

Tuż obok, wśród tarasowo rozłożonych ogrodów, kamienice o pochyłych dachach, stłoczone jak tłum ludzi na widowisku, spoglądają dziesiątkami okien na rzekę. Wieże kościołów i wąskie, jakby wciśnięte między domy uliczki... Münch nie znał starej Warszawy, ale jakże bliski i budzący ufność wydał mu się ten obraz w porównaniu z przerażającymi go ogromem i nierealnością kształtów nowoczesnymi dzielnicami miasta.

Lecz wrażenie to minęło szybko, ustępując miejsca nowej fali niepewności i niepokoju.

Znaleźli się na ulicy... Nie były to jednak ulice, jakie pamiętał ze swego minionego życia, lecz rażąca napotykaną co krok sztucznością imitacja tamtych ulic, coś, co jest przeszłością i nie jest nią zarazem... I nie tylko dlatego, że mijani przechodnie byli tak samo ubrani jak ci, których spotykał na ulicach Radowa, że panującej tu czystości i rzucającej się w oczy dbałości o każdy, najmniejszy fragment budowli nie można było porównać z tym, co widział na najwspanialszych dworach książąt i możnowładców. To uczucie niepokoju miało swe źródło nie tylko w oglądanym obrazie ulicy, ale gdzieś wewnątrz niego samego, w najgłębszych zakamarkach duszy.

Minęli czworokątny, strojny ściennymi malunkami rynek i skręcili w wąską uliczkę. Po lewej stronie ujrzał fasadę kościoła, potem drugą, znacznie większą. Przez otwarte drzwi świątyni widać było ołtarz i barwny trójdzielny witraż.

Münch zerwał się z fotela. Chciał pobiec ku tym otwartym drzwiom, lecz silny uścisk dłoni

powstrzymał go w miejscu.

— Gdzie? Gdzie chcesz iść? — usłyszał obok siebie głos Kamy. — Przecież wiesz... To tylko obraz.

Otrząsnął się jak ze snu, który zmógł go na moment, mącąc świadomość.

— Wiem... — skinął głową.

Uliczka skończyła się i ujrzeni przed sobą plac zamknięty z lewej strony ścianą zamku oglądanego przedtem od strony rzeki, z prawej — szeregiem kolorowych kamieniczek o stromych czerwonych dachach. Pośrodku placu, w najwyższym położonym jego punkcie, stała kolumna. Na jej szczycie postać z brązu z mieczem i krzyżem.

— To ten król...

Długo, w milczeniu patrzył na kolumnę. Gdy wreszcie zniknęła w oddali za nimi, powiedział:

— Chciałbym tam być...

Kama wyłączyła aparaturę. Znów otoczyły ich szare ściany okrągłej sali lekcyjnej.

— Możemy polecieć do Warszawy choćby jutro.

— I zobaczę... to wszystko?

— Oczywiście. Polecimy maszyną komunikacyjną. A może wolisz tylko w trójkę? Ty, ja i Miksza?

— Tak. W trójkę... Na imię tobie Kama? — zmienił nagle temat.

— Kama. Dlaczego pytasz? Przecież wiesz.

— Jakie to imię?

— Ach, rozumiem. To cała historia... Ojciec mojej matki urodził się daleko stąd. W mieście leżącym nad rzeką Kamą. Mama bardzo kochała dziadka. Ja słabo go pamiętam, gdyż widziałam go zaledwie kilka razy, i to jako dziecko. Zaginął w czasie szóstej ekspedycji marsjańskiej.

— Marsjańskiej?

— Tak. Poleciał z Ziemi na planetę Mars. I już nie powrócił.

— A twoje imię to rzeka?

— Tak.

— Twoje imię... pogańskie? — dokończył po łacinie.

— Istnieje zwyczaj nadawania dzieciom imion zapożyczonych od nazw rzek, jezior, gór, kwiatów... Kama może być też skrótem imienia „Kamila”.

— A ty nie poganka? — spytał trwożnie.

— To określenie straciło już dawno sens. Gdy poznasz lepiej nasz świat, przekonasz się. Dziwiło cię, gdy mówiłam kiedyś, że nie ma już ani królów, ani poddanych, nie ma bogaczy i nędzarzy. A przecież później zrozumiałeś, że tak jest dobrze. Że chociaż nasze życie na pewno jeszcze dalekie jest od doskonałości, ale wiele już poprawiono na Ziemi. O wartości człowieka decyduje nie jego pochodzenie i to jak się nazywa, ale przede wszystkim wiedza i praca, służąca nie tylko jemu samemu, ale i innym... Nie sądzisz, że tak być powinno?

— Tomasz Morus, święty męczennik jedyne kościoła bożego pisał o wyspie takiej... Chrystus Pan też nauczał... Ja to rozumiem... To nie przeczy wierze i przykazaniom Pana Naszego... Ale tamto... co innego.

— Czy o to chciałeś mnie zapytać?

Uniósł na nią wzrok i chwilę patrzył jej w oczy..

— Nie. Nie tylko to... Chciałbym, abyś mi powiedziała... o sobie. O twoim życiu. Dlaczego jesteś taka...

— Jaka?

— Taka... inna... niż...

— Inna niż kto?

— Niż ja. Ty nie jesteś... zwykła dziewczyna.

— Jeszcze nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi. Jestem takim samym człowiekiem jak ty. Tyle, że urodziłam się w innych czasach niż Modestus Münch. Inny jest świat, w którym się wychowałam. Mądrzejszy, lepszy, a przede wszystkim — wolny od strachu.

Poruszył się niespokojnie.

— Nie wiem... czy lepszy. Nie wiem... jeszcze — poprawił się. — Ale ty inna. Wiem. Wiem na pewno. Mówiłaś „byłam zwykłą dziewczyną”. „Zwykły człowiek... jak ty”, ja ci wierzę, ale... to nie tak. Ty nie chcesz się wywyższać. Rozumiem — grzech pychy. Nie możesz inaczej.

— Ależ, co ty pleciesz? Może wydaje ci się dziwne, że ja — kobieta — jestem uczonym, doktorem? Ale w naszych czasach takich kobiet są miliony. A zresztą, przecież i przed wiekami, w twoich, jak mówisz, czasach, też bywały kobiety wykształcone. A nawet wcześniej. Słyszałaś chyba o Heloizie?

— Heloiza? Ja... — urwał i patrzył w milczeniu na Kamę.

Nagle, jakby oślepiiony blaskiem, przysłonił oczy dłonią.

— Nie mów tak... — wyszeptał ledwo dosłyszalnie. — Ja nie dlatego... Nie dlatego, że ty mądrości pełna... albo, żeś piękna jak... anioł. To nie to. Wiem, że bywały piękne i mądre. Ale ty inna! Powiedz, dlaczego jesteś taka... dobra... dla mnie? Dlaczego?

Nie wiedziała co odrzec.

— Ależ... Ja jestem taka, jaka jestem.

W oczach jego pojawił się jakiś niezrozumiały dla niej błysk.

— Tak. Mówisz, a ja słucham. I wierzę. Wierzę tobie. Chociaż... nieraz mówisz rzeczy dziwne... Nawet straszne. Mówisz, a ja czuję, że to prawda. Patrzę na ciebie i... dobrze mi. Tak jakbym... — urwał i dopiero po chwili dodał: — Jak ciebie nie ma, źle mi. Profesor Garda, Stefan Miksza, Ava, San, nawet doktor Balicz, też dobrzy dla mnie. Ale to nie to. Powiedz, dlaczego właśnie ty?...

— Nie wiem, o co ci chodzi? Ja... po prostu pomagam ci przystosować się do życia w naszym świecie. Opiekuję się tobą. Takie jest moje zadanie. Staram się robić to najlepiej, jak umiem, i tyle.

— Kto ci rozkazał to czynić? A może o to pytać nie wolno? — stropił się nagle.

Uśmiechnęła się.

— Ależ tu nie ma niczego do ukrywania. Sama starałam się, by mi zlecono zajęcie się tobą. Rada Naukowa Instytutu wyraziła zgodę, więc...

— Tyś sama chciała? — podchwycił z ożywieniem.

— Chciałam. Niech cię to nie dziwi. Twój przypadek jest bardzo ciekawy... Wręcz niezwykły!

— Przypadek? Niezwykły? Tak. Niezwykły! I ty też...

Zabrzączał sygnał wizjofonu.

— Pięć! — podała Kama hasło wywoławcze i na ekranie ukazała się twarz doktora Balicza.

— Cześć ci, o Kamo, rzeko daleka!

— Nie wygłupiaj się! Czego chcesz?

— Czy szanowna koleżanka byłaby aż tak łaskawa i wypożyczyła mi na godzinę swego podopiecznego?

— Teraz?

— Jeśli można pokornie prosić?... Mogłabyś w tym czasie skoczyć na basen. Właśnie stamtąd wracam. Woda i słońce jak marzenie. Ponadto... — zawiesił głos znacząco — spotkałem tam



Miksę. Byłby zachwycony...

— Nie wiem, czy będę mogła.

Spojrzała na Müncha pytająco, ale on tylko spuścił oczy nie wyrażając ani akceptacji, ani też sprzeciwu. Pomyślała, że właściwie dobrze byłoby przerwać rozmowę wkraczającą na niewygodne tory i zastanowić się nad dalszą taktyką.

— Widzę, że wybrałem niezbyt fortunny moment — podjął z westchnieniem Balicz, traktując milczenie Kamy jako odmowę.

Mylił się jednak.

— Słuchaj, Mod! Czy możesz teraz porozmawiać z doktorem Baliczem? — zapytała zakonnika.

— Będzie tak, jak ty chcesz — odparł wymijająco. Nie darzył szczególną sympatią Balicza, ale bał się ujawniać to w jego obecności.

— Sądzę, że na razie moglibyśmy przerwać naszą rozmowę. Doktor z pewnością ma, coś ciekawego do zakomunikowania...

— Chciałbym podyskutować o... piekle — podjął zachęcająco Balicz. — A może nie masz ochoty, bracie Modeście?

Münch poruszył się niespokojnie.

— Mam ochotę — potwierdził pośpiesznie. — Czy możesz przyjść tu?

— Już idę!

— A może ja bym również została? — wtrąciła Kama, ale Balicz skrzywił się niechętnie.

— Nie. Lepiej nie. O piekle rozmawia się najlepiej w cztery oczy — dorzucił znacząco. — Prawda, bracie Modeście?

Zakonnik skinął głową, lecz bez większego przekonania.

Kama wstała z fotela.

— No, to cóż? Ja znikam na godzinę.

— Ale zobaczymy się dziś jeszcze?

— Na pewno. Zresztą, przy okazji omówię ze Stefanem sprawę wypadu do Warszawy. Możemy jutro we trójkę skoczyć na parę godzin.

— Tak. Jutro.

Balicza spotkała przed windą.

— Modest jest dziś w nie najlepszym nastroju. Staraj się go zbytnio nie męczyć.

— Nie obawiaj się, przewodniczko zbłąkanej duszy. Chciałbym tylko coś sprawdzić. Twoja obecność mogłaby zmienić reakcję Modesta. Rozumiesz więc, dlaczego?... On bardzo liczy się z twoim zdaniem. Jeśli mam być szczerzy: nawet za bardzo... Obawiam się, że to coś więcej niż autorytet.

— Zgadzam się z tobą. Mnie też to niepokoi.

— Cudnie, że sobie z tego zdajesz sprawę. Czy nie należałoby jednak energiczniej przeciwdziałać potęgowaniu się tego... afektu?

Udała, iż nie dostrzega ironii.

— Robię, co mogę... Ale to nie takie proste, jak ci się zdaje. Dlatego też, proszę cię, unikaj takich... „ozdobników” jak przed chwilą. On nie rozumie, że to żarty. Wszystko bierze dosłownie. Staram się, aby mnie traktował jak zwykłego człowieka. Aby zrozumiał, że tak jest. Proszę cię, pomagaj mi w tym, a nie przeszkadzaj!

— Zastosuję się w pełni do twych świątłych zaleceń! — zaśmiał się i skinął dłonią na pożegnanie.

— A więc za godzinę wracam.

- Powiedzmy, za półtorej, jeśli łaska...
- Dobrze. Za półtorej godziny.

## V. Cyrograf

Balicz otworzył drzwi do sali lekcyjnej i wszedł. Zakonnik siedział w fotelu i szeptał słowa modlitwy.

— Ciemno tu trochę — zauważył od progu lekarz. — A ja chciałbym ci pokazać pewien dokument.

— Jeśli trzeba, panie... — Münch sięgnął do przełącznika i rozjaśnił ściany.

Balicz usiadł obok niego w fotelu, otworzył płaską teczkę i wyjął z niej oprawiony w przezroczysty plastik arkusz pergaminu.

— Co ty na to? Powiedz, bracie Modeście! — zapytał podając arkusz zakonnikowi.

Münch chwilę przyglądał się pergaminowi, potem położył ostrożnie na pulpicie i przeżegnał się.

— To heretycki list, panie. Albo i nawet... układ z szatanem, odwrotnym pismem pisany... Kto nieświadomy — nie odczyta. Trzeba lustra.

— Wiem — skinął głową Balicz. Sięgnął do teczki i wyjął fotokopię dokumentu. — To rzeczywiście cyrograf. Masz tu odwróconą odbitkę. Data wskazuje, że był on sporządzony w 1639 roku. Przeprowadzona analiza potwierdza tę datę. Dokument pochodzi z nieco późniejszego niż „twój” okresu, ale to nie ma znaczenia w kwestii, o którą mi chodzi. Czy ty, jako fachowiec od tych spraw, jesteś pewny, że to prawdziwa umowa z diabłem?

Münch z uwagą przyjrzał się odbitce i przewyciężając odrazę sięgnął po pergamin. Długo, skrupulatnie porównywał oryginał z kopią, odcyfrowywał podpisy.

— Prawdziwy — odrzekł z najwyższą powagą. — Tu, na końcu napisano: „Jako zawarowane zostało w umowie niniejszej, będzie on, niżej podpisany Joachim von Gruenstein przez trzydzieści pięć roków szczęśliwie żył na ziemi wśród ludzi, a zatem przybędzie do nas, aby z nami pospołu Boga przeklinać”. A jeszcze niżej: „W piekle na diabelskiej radzie zatwierdzono”. I podpisy: Belzebub, Lucyfer, Astharoth... A tu widzisz, panie — wskazał palcem — potwierdzenie. Własną ręką Joachima Gruensteina dokonane. Że służyć będzie Lucyferowi przez całe życie, po wsze czasy...

— Widziałeś, Mod, w twoich czasach podobne cyrografy?

— Widziałem. Dwa razy. Rzadko się zdarza. Nie z każdym Szatan umowę spisuje. Niewielu pisać potrafi... A nawet jak potrafi... nie zawsze spisuje. Jakiś możniejszy pan... albo alchemik... A i to trudno znaleźć. Ten, co duszę diabłu zaprzeda, nie chce ukazać dowodu.

— Skąd więc w posiadaniu sądu inkwizycyjnego mogły znaleźć się takie dokumenty?

Münch uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie wiesz, panie? Są sposoby. Kto świadom, to wie... Czasem wśród ksiąg i listów się znajdzie. Czasem ukryte... w tajnym schowku. Szukać trzeba... Albo i instygator przyniesie... Jako dowód, że prawdę mówi.

— Kto?

— Instygator! Ten, co oskarżeniem proces wznieca.

— Aha. Ale skąd taki dokument w rękach oskarżyciela?

— Różnie bywa. Czasem przypadkiem znajdzie... Czasem i wykradnie wszetecznikowi...

— Czy były przypadki, że oskarżony wskazał sam miejsce ukrycia cyrografu? Czy możesz podać jakiś przykład?

Modest zastanawiał się chwilę.

— Nie. Nie przypominam sobie. Ale zdarzało się... czasem. Rzadko... ale zdarzało. Słyszałem...

— W jaki sposób sprawdzałeś, czy taki cyrograf nie jest sfalszowany? Przecież podpis oskarżonego mógł być podrobiony?

— Ja widziałem prawdziwy — zaakcentował, patrząc z napięciem w oczy Balicza. — Henryk von Bulendorf podpisywał. Sam się w końcu przyznał.

— W końcu... — powtórzył Balicz.

Münch nie zauważył ironii w jego głosie.

— Długo zaprzeczał. Zatwardziałym był wielce. Ale w końcu wyznał... Wszystko! Jak to spotkał się z wysłannikiem samego księcia piekieł... Jak mu ten dziesięć tysięcy funtów złota i długie życie przyobiecował... Część tego złota znaleziono.

— A czy nigdy ci nie przyszło do głowy, że dowody takie mogły być celowo, sztucznie spreparowane przez tych, którym zależało na śmierci oskarżonego? W celu zagarnięcia jego majątku, albo i zemsty osobistej? Tego Henryka kto oskarżył?

Niepokój pojawił się w oczach mnicha.

— Kto? — powtórzył retorycznie. — Imię instygatora tajemnicą przysięgi świętej otoczone...

— I cyrograf też przekazano pod warunkiem zachowania tajemnicy, kto go dostarczył?

— Tak, panie.

— Ale ty wiedziałeś, kto był właściwym oskarżycielem?

— Wiedziałem... Osoba... ze wszech miar zaufania godna.

— Rzeczywiście! — zaśmiał się sarkastycznie Balicz.

Oczy Müncha napełnił strach.

— Panie... dlaczego... śmiejesz się? Ty myślisz, że ja... kłamię?... Ale ja prawdę mówię.

— Chcesz mi wmówić, że każdy donos był prawdziwy? Że nie fałszowano dowodów?!

— Czasem... było i tak... Wiele zła w człowieku... Nawet czasem wśród tych, którzy Bogu służbę ślubowali... Ale najczęściej wśród pospólstwa bywało... Z chciwości... albo z zawiści. Nieraz takiego fałszywego donosiciela sądom przekazywałem. Wierz mi jednak, panie, kiedym czarownicę pytał, zawsze dojść mogłem... kto ona prawdziwie.

— W jaki sposób?

— Są różne sposoby... Spisano je też... w księgach... ojciec Alfonso de Spina w *Twierdzy wiary*, Joan Beaudin w *Demonomanii czarownic*, Jakub Sprenger... Jan Nieder... Ulryk Molitor...

— *Młot na czarownice*.

— Tak, panie. Słyszę, że znasz tę księgę. Przez profesorów i doktorów, ojców naszego zakonu, pisana...

— Więc twierdzisz, że ten dokument — Balicz wskazał na pergamin wracając do tematu — jest rzeczywiście umową z Szatanem?

— Tak, panie. Sam mówisz, że tyle lat liczy... Dziwi cię, że tego plugastwa razem z owym czarownikiem nie spalono? Ale widać zostawiono w aktach... jako dowód i ostrzeżenie... dla innych.

— Możliwe. Nie o to jednak chodzi. Ten dokument spisany został na pergaminie, z którego wywabiono dawny tekst. Z wyjątkiem podpisu Joachima von Gruensteina.

Balicz sięgnął do teczki i wydobyl dwa zdjęcia.

— Przyjrzyj się — podał zdjęcia zakonnikowi. — Są sposoby umożliwiające odczytanie zatartych napisów. Tu masz oba pisma, jedno na drugim. A tu samo tylko pismo pierwotne.

Podpis pozostał nienaruszony. Dlatego też nie jest odwrócony. Przyjrzyj się temu, co było napisane przed zatarciem tekstu, jest to list Gruensteina skierowany do...

— To diabelska sztuczka! — zawołał Münch zrywając się gwałtownie z fotela. Zdjęcia upadły na podłogę.

Balicz pochylił się. Podniósł odbitki, potem podszedł wolno do zakonnika i ujął go za ramię.

— Uspokój się. Możesz mi wierzyć, że w sposobie sporządzenia tych odbitek nie ma niczego cudownego ani tym bardziej diabelskiego.

Münch trochę się zmieszał, lecz nie zamierzał zrezygnować.

— Szatan mógł specjalnie użyć listu do przeora...

— Sądziś, że diabeł wykradł list, usunął dawny tekst i dopisał treść umowy? Byłby to więc dokument sfalszowany przez Szatana, a więc nieważny!

Niepewność malowała się na twarzy Müncha.

— Może to zrobił sam Gruenstein?...

— Po co? Mógł przecież sporządzić dokument na innym pergaminie.

Zakonnik poruszył się niespokojnie, ale nie odpowiedział. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

— Więc chyba jednak przyznasz, że ten cyrograf jest fałszywy?

Münch podniósł z wolna wzrok na Balicza i nagle, jakby pod wpływem nowej myśli, zawołał:

— Nie! Nie daj się, panie, zwieść pozorom. Szatan potrafi oczy nam przysłaniać. To może być tak... jak rzekłem: diabelska sztuka... Nie wtedy uczyniona, lecz teraz, gdyś te odbitki sporządzał. Ja wiem, co on potrafi! Czyż nie mógł listu tego teraz wypisać... Aby siać zwątpienie... w twojej i mojej duszy...

— Badania wykazały, że ów list do opata pisany był cztery wieki temu.

— Młody jesteś i łatwowierny... Bierzesz pozory za prawdę. Nie znasz Szatana i jego podstępów. A mówisz, że czytałeś *Młot*... Rozważ wszystko, a zrozumiesz naiwność swoją — dorzucił z tryumfem.

— Rozważę — skinął głową Balicz.

W tej chwili odeszła mu wszelka ochota do kontynuowania rozmowy z tym człowiekiem, tak obcym mu umysłowością. Kama miała rację: to nie był człowiek chory, a jednak jego myśli nie mogły wyrwać się z zakłętego kręgu pojęć, które ukształtował świat przed pięciu wiekami.

— Będę musiał już iść. Doktor Darecka wróci niedługo... — rzekł po dłuższym milczeniu.

— Chciałeś, panie, mówić ze mną o piekle... — przypomniał Münch.

— Miałem na myśli cyrograf. Ale nie tylko... — dodał pośpiesznie, gdyż rozczarowanie malujące się na twarzy zakonnika podsunęło mu pewien pomysł. — Chociaż... nie wiem, czy cię już zbytnio nie zmęczyłem.

— Nie, panie, słucham ciebie z uwagą.

— Jako inkwizytor i specjalista od spraw diabelskich, wiesz chyba dobrze, jak wygląda Szatan? Czytałeś niejedną książkę traktującą o tym przedmiocie, a z pewnością nieraz wiedźmy i czarownice mówili w czasie badań coś niecoś na ten temat?

— Mówili — potwierdził skinąwszy głową.

— Dlaczego więc ty sam, bracie Mod, gdy cię owe moce piekielne porwały, a także nieco wcześniej, gdyś palił swego alchemika Mateusza, widziałeś zamiast diabłów w ich zwykłej postaci tylko, jak mówisz, latające pająki?

— Szatan... różną postać może przybrać, panie.

— No, dobrze. Ale dlaczego nikt dotąd poza tobą w takiej postaci go nie widział?

— Widzieli go też inni... Dobrzy mieszczanie z Kontwaldu... I ojcowie zakonni... i braciszkwowie... I nawet pacholęta widziały!...

— Prawda. Ale wcześniej nikt diabła o takich kształtach nie widział?

— Czart nieraz postać różnego plugastwa przybiera...

— Ale czy jesteś pewny teraz, kiedy widziałeś różne maszyny, automaty, które przecież nie są dziełem szatana? Czy możesz zaręczyć, że tamte potwory latające to były złe duchy, a nie, powiedzmy, maszyny?

— Ludzie takich maszyn nie zbudowali... To nie maszyny... a jeśli nawet... Szatan postać maszyny przybrać może...

— Słuchaj, Mod, mówiła ci Kama, że nie tylko jedna Ziemia może być zamieszkaana. Istnieją bardzo daleko od Ziemi, w głębinach nieba, inne słońca i inne ziemie, może starsze od naszej... Tam mogą mieszkać istoty mądre, które takie maszyny dawno potrafiły budować. Kościół już w ubiegłym wieku przestał przeczyć takiej możliwości — dodał, aby usunąć wątpliwości doktrynalne.

— Słyszałem o tym. W głowie się nie mieści... Ale Kama mówiłaś. Tak być może... Ja nie przeczę...

— Opowiadałeś też, że kiedy cię porwano i zamknięto w pustej białej celi, we wnętrzu owego niby grzyba, więcej już owych pajaków nie widziałeś?

— Nie widziałem. Ale to męki nie umniejszyło... Na ścianach znaki—mamidła się ukazywały... kusić próbowały...

— Właśnie o to mi chodzi. Te ściany mogły być po prostu wielkim ekranem. Podobnie jak tu, w tej sali. Jakie to były znaki?

— Różne były: koła, trójkąty, zygzaki... ślimaki jakies dziwne... Ale to na początku... Potem były widoki. Jakbym wśród czarnego nieba był zawieszony... To znów góry jakies... doliny... A najwięcej dziwy piekielne — żółte i czerwone... do płomienia podobne. Potwory ohydne... czerwone, żółte, czasem brunatne i czarne... łapy o stu palcach do mnie wyciągające... Straszne widoki! Piekielne prawdziwie. Alem się modlił i krzyżem świętym zasłaniał... to pierzchały.

— Często powracały te widziadła?

— Nie, panie. Moc modlitwy i imienia bożego jest wielka. Musieli mnie zostawić w spokoju.

— A więc tylko początkowo pojawiały się te obrazy?

— Tak, panie. Tylko z początku. Potem, gdy na ścianach kreślić znak męki bożej zacząłem — już więcej się nie zjawiały.

— Czym te krzyże kreśliłeś?

— Krzyżem. Albo i samym palcem... A gdy jeden krzyż nakreśliłem, nieraz kilka się ukazywało podobnych...

— To ciekawe. Czy nie próbowałeś kreślić napisów?

— Tak było, panie! — potwierdził żywo. — Imię Pana Naszego Jezusa Chrystusa i Matki Przenajświętszej. I te napisy też się same powtarzały. Nawet później... Gdy już nic nie pisałem.

— Czy myślisz, że moce piekielne byłyby w stanie kreślić znaki krzyża i imię Chrystusa?

— To mogły być znaki od Boga dane.

— A jeśli to nie byli wysłannicy piekieł, lecz po prostu statek przybył na Ziemię z innego, nieznanego świata? I te istoty, nie znając ludzkiego języka, próbowały w ten sposób porozumieć się z tobą?

— Czy ona też myśli tak?

— Kto?

— Kama.

Balicz uczył, jak wzbiera w nim gniew:

— Nie wiem, co ona myśli — odparł wzruszając ramionami. — Chcesz, to ją sam zapytaj.

— Zapytam, panie, jak wróci.

— A jeśli ona potwierdzi moje przypuszczenie, to gotów jesteś uwierzyć, że tak jest?

— Tak. Gotów jestem, Tak wysoko cenisz jej mądrość?

— Nie tylko mądrość, panie. Ona święta!

Balicz odruchowo parsknął śmiechem. Co prawda, zreflektował się natychmiast, ale już było za późno.

— Śmiejesz się, panie? — wyszeptał Münch z urazą w głosie. — Dlaczego się śmiejesz?

— Ach, nic. Nic takiego — Balicz usiłował zbagatelizować incydent.

— Powiedz dlaczego? — coraz natarczywiej nacierał zakonnik. W oczach jego pojawiły się złe błyski.

— Tak... odruchowo...

— Nie rozumiem. Powiedz, dlaczego?

Balicz zdawał sobie sprawę, że im dłużej zwleka z odpowiedzią, tym sytuacja staje się poważniejsza. Właściwie nie miał potrzeby kłamać. Kama prosiła go przecież, aby pomógł jej przeciwdziałać przesadnemu afektowi, jakim poczynał darzyć ją ten człowiek.

— Pytasz, dlaczego się śmiałem? — rozpoczął retorycznym zwrotem, aby zyskać na czasie dla przygotowania odpowiedniej taktyki.

— Tak. Dlaczego się śmiałeś?

— Mówiłem ci już, że zupełnie nieświadomie. Odruchowo. Nie chciałem cię urazić. Wierz mi. Gdy powiedziałeś, że Kama to święta, wówczas... pomyślałem: jak by ona zareagowała na takie wyznanie.

— Ale dlaczego się śmiałeś?

Oględne wytłumaczenie okazywało się coraz trudniejsze.

— Nie wyobrażam sobie Kamy jako świętej — powiedział uświadamiając sobie jednocześnie, że w ten sposób dokonuje jakby skoku w ciemność.

— Dlaczego? — głos Müncha nabrał zimnego, złowrogoego tonu.

— Święta to przecież osoba poważna, dostojna, pełna cnót, stroniąca od radości ziemskich...

— A Kama? Ona taka!

— Niezupełnie. Znasz ją tylko z jednej strony, z Instytutu. W życiu prywatnym to wesoła, nie unikająca zabawy dziewczyna.

— Wiem o tym. Gdyśmy szli kiedyś... przez las... goniła motyle. Jak dziecko. Albo tu... Chciała mnie uczyć tańczyć... Ale to igraszka młodości. Święty Franciszek też igraszkować potrafił...

Rzecz w tym, aby... igraszki nie pierwsze były... przed Bogiem i duszy zbawieniem. Śmiech i wesołość... jeśli w umiarkowaniu... nie zawsze grzechu oznaka. Czasem chwale Pana Naszego służyć może...

— Na pewno. Ale to nie zmienia faktu, że Kama jest dziewczyną taką jak miliony innych.

— Nieprawda! — zawołał z gniewem Modest. — Ty kłamiesz! Albo... ślepotą oczy twoje zakryte!

Tego już było Baliczowi za wiele. Odczuł gwałtowne pragnienie, aby zburzyć za jednym zamachem mit zrodzony w umyśle mnicha.

— Czy byłeś z Kamą w Parku na Wydmie?

— Nie byłem.

— Chcesz? Pójdziemy do Kamy. Teraz, zaraz. Przekonasz się, że jest taka jak wiele innych. No, chcesz?

— Chcę.

Balicz spojrział na zegarek.

— Mieliśmy rozmawiać półtorej godziny. Minęło dopiero pięćdziesiąt minut. Zdążymy!



## VI. Diabelska sztuczka

Stacja Szybkiego Ciągu Podziemnego znajdowała się tuż obok Instytutu. Wzniesione prawie od podstaw w ostatnim dziesięcioleciu Radowo należało do najnowocześniejszych miast w kraju pod względem rozwiązania sieci komunikacyjnej. Ulice naziemne i estakady, łączące wysokościowe budowle, spełniały tylko funkcję pomocniczą jako teren spacerów i zabaw mieszkańców tego miasta. Właściwy zaś ruch miejski wprowadzony został do podziemi, gdzie rolę metra przejęły ruchome szlaki komunikacyjne.

Münch zwiedzał miasto wielokrotnie z Kamą. Zdążył już nie tylko oswoić się z barwnymi potokami przechodniów mknących na pasach chodnikowych przez jasno oświetlone tunele, pełne okien wystawowych i reklam, ale nawet nabrać pewnej wprawy w korzystaniu z urządzeń komunikacyjnych. Zręcznie przeskakując z pasa na pas Balicz wiódł teraz zakonnika przez labirynt podziemny najkrótszą drogą, tak iż po kilku minutach byli u celu.

Wyniesieni na powierzchnię szerokim eskalatorem, znaleźli się na niedużym skwerze, otoczonym sosnowym lasem. Z ukrytych wśród drzew budynków stacyjnych wysypywały się raz po raz grupki ludzi: dorośli, młodzież i dzieci, czasem całe rodziny. Wśród śmiechu i nawoływań podążali w głąb parku leśnego, znikając w cienistych alejach i ścieżkach wybiegających ze skweru we wszystkich kierunkach.

Balicz poprowadził Modesta wąską, mniej uczęszczaną alejką. Przed nimi szło dwoje młodych ludzi. Chłopiec obejmował wpół dziewczynę i znać coś zabawnego jej opowiadał, gdyż co chwilę wybuchała głośnym śmiechem.

Droga pięła się w górę, to znów opadała łagodnie w dół. Las zrzędł i teren stał się piaszczysty. Młodzi przyspieszyli kroku. Idąc teraz obok siebie rozprawiali z ożywieniem.

Jeszcze jeden zakręt i oto alejka skończyła się dość raptownie niską wydłużoną budowlą, biegnącą na kształt wstęgi pośród zieleni..

Chłopiec z dziewczyną zniknęli za szerokimi, dwuskrzydłowymi drzwiami budynku.

— Czy będziesz się kąpał? — odezwał się milczący przez całą drogę Balicz.

— Kąpał?! — Münch spojrział pytająco na swego przewodnika.

— W taki upalny dzień najlepsza kąpiel. To jeden z przyjemniejszych basenów w tym parku. Nie ma tłoku... O! Tu masz szatnię — wskazał budynek. — A może ty w ogóle nie umiesz pływać?

— Nie umiem.

— No, chodźmy.

Balicz pchnął drzwi przepuszczając przed sobą zakonnika. Z wąskiego tarasu, ocienionego dachem podobnym do liścia łopianu, roztaczał się widok na niedużą kolistą plażę. Żłocisty piasek tworzył szeroką ramę eliptycznego basenu, nad którym, na kształt wyciągniętej ręki, wznosiła się wieża skoczni.

Münch podszedł z wolna aż do skraju tarasu i stanął. Ujrzał ludzi. Byli prawie zupełnie nadszy, a ich spalone słońcem ciała i dziwaczne pozy, w jakich spoczywali na piasku, kojarzyły się w

wyobraźni zakonnika z oglądanymi kiedyś, dawno temu, malowidłami przedstawiającymi potępieńców skazanych wyrokiem Sądu Ostatecznego na wieczyste męki. Łatwo jednak było dostrzec fałsz tego pierwszego wrażenia.

Szmer ożywionych rozmów, radosne okrzyki i śmiech dolatywały zewsząd. Kobiety i mężczyźni, dziewczęta i chłopcy bez żadnych oznak wstydu czy zażenowania leżeli obok siebie, spacerowali, nawet gonili się i harcowali po piasku. Co pewien czas, z wieży lub wprost z brzegu basenu, jakieś brązowe ciało spadało z pluskiem w wodę. Ktoś inny, zażywszy kąpieli wspinał się zwinnie na kolorowe płyty obrzeża.

— No, chodźmy! — przynaglał Balicz.

Münch zszedł kilka stopni w dół i zatrzymał się. Poprzez piasek szła ku schodom prowadzącym na taras młoda kobieta w przezroczystym pływackim czepku. Była bardzo zgrabna, a każdym ruchem zdawała się to jeszcze podkreślać. Jej nagie ciało okrywała tylko niewielka przepaska na biodrach. Mokra po niedawnej kąpieli, opalona na migdałowy odcień skóra lśniła w słońcu.

Weszła na pierwsze stopnie i zrzuciła czepkę z głowy. Fale miedzianozłoty, bujnych włosów rozsypały się wokół jej twarzy. Dziewczyna odgarnęła dłonią pukle z czoła, uniosła głowę i spojrzała w stronę tarasu. Nietrudno było dostrzec, jak zadrżała, ujrawszy stojącego u szczytu schodów Müncha.

— Patrz. To Kama! — rzekł Balicz.

Lecz Modest już wcześniej ją poznał. Patrzył osłupiałym wzrokiem na dziewczynę i nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Jeszcze przed chwilą nie był pewien, jeszcze się wahał, teraz, kiedy oczy ich spotkały się, nie miał wątpliwości...

To była ona!

Zacisnął nerwowo powieki. Chciał odegnąć od siebie ten obraz, przywołany z pewnością jakąś szatańską sztuką.

Ale obraz nie znikał.

Uciekać! — to jedno mu pozostawało. Odwrócił się gwałtownie i przesadzając stopnie skoczył ku wyjściu. Balicz dopadł go dopiero w głębi alei.

— Mod! Co ty wyprawiasz?

Chwytał zakonnika za ramię, ale ten wyrwał je, jakby ręka Balicza parzyła.

— Odejdź! Odejdź! Nie zbliżaj się do mnie! — podniósł głos do krzyku.

— Ależ Mod! Spokojnie! Co ci się stało?

— Nie męcz mnie! Odejdź! W imię Ojca i Syna...

— Uspokój się! Usiądźmy tam, na ławce — Balicz znów wyciągnął do niego rękę.

— Nie! Nie! Precz! Precz! Odejdź! — Münch rozglądał się rozpaczliwie po ziemi.

— Ależ, Mod...

Zakonnik nachylił się raptownie i podniósł leżący u jego stóp kamień. Balicz nie zamierzał jednak rezygnować.

— Mod, to nie ma sensu...

— Odejdź! Bo... — krzyknął Münch ostrzegawczo i zamierzył się kamieniem.

Balicz cofnął się o krok. Sytuacja stawała się poważna.

— Co tu się dzieje?!

Obaj jednocześnie odwrócili głowy.

Od strony szatni szedł ku nim Miksza.

— Stefan — zawołał rozpaczliwie Münch i rzucił się ku niemu. — Zabierz mnie stąd! Zabierz!

- szarpnął nerwowo rękaw koszuli Mikszy.
- Dobrze. Chodźmy stąd.
- Nie spodziewałem się takiej reakcji — podjął Balicz, lecz Miksza mu przerwał:
- To był bardzo głupi pomysł.
- Chciałem...
- Lepiej teraz nic nie mów. Proszę cię! Porozmawiamy później...

## VII. Dwa światy

Miksza długo nie wracał. Darecka próbowała kilka razy połączyć się z nim, ale mikrotelefon nie reagował, zaś wizjofon w pokoju Müncha był wyłączony.

Balicz już nie próbował ukrywać niepokoju. Krążył po pracowni z tak strapioną miną, że Kama nie miała sumienia pogłębiać wyrzutami jego depresji.

Wreszcie, po blisko dwóch godzinach wyczekiwania, barczysta postać Stefana pojawiła się w uchylonych drzwiach...

— Nie jestem takim złym dyplomatą, jak myślałem — rzucił od progu.

I zamykając za sobą drzwi dodał:

— Chyba jednak coś z tego wyjdzie...

— Bardzo długo gadaliście...

— Wymęczył mnie piekielnie — westchnął Miksza i usiadł w fotelu. — Ale nie żałuję. Rozmowa była idiotyczna, lecz ostatecznie nie jest tak źle.

— Co mówi o mnie? — spytał Balicz niepewnie.

— Jesteś dla niego co najmniej uczniem diabła!

— Nie próbowałaś mu wytłumaczyć, że...

— No cóż, narobiłeś bigosu. Muszę cię jednak pocieszyć, że jak mówi przysłowie: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

— A więc jednak przyznajesz... — ucieszył się Balicz. — Kuracja wstrząsowa?

— Nie śpiesz się tak bardzo. Korzyść, jaka płynie z owego wstrząsu, nie jest taka, o jakiej myślisz. Otóż zdaje mi się, że dokonałem pewnego odkrycia: z rozmowy przeprowadzonej z Modem wynika, ponad wszelką wątpliwość, że dla niego świat, w którym się obecnie znajduje, a więc wraz z nim i my wszyscy, nie jest światem realnym.

— Nie realnym? — powtórzył pytająco Balicz.

— Jest to świat pozorów. Wszystko, co widzi i słyszy, jest nierzeczywiste. Jest stworzone przez dobre czy złe duchy. Jakie — tego on nie wie. I to go najbardziej gnębi.

— Nonsens! Przecież w jego zachowaniu się nie ma niczego, co by upoważniało do stawiania tak dziwacznej hipotezy. On wie, że jest na Ziemi w roku 2046. Nosi bez sprzeciwu pekoder, uczy się posługiwać automatami, rozmawia z nimi, pyta, próbuje rozumieć, mówi, że wierzy albo też próbuje zaprzeczać temu, co słyszy od nas. Zachowuje się normalnie. Oczywiście na swój sposób, ale normalnie.

— Skąd takie przypuszczenie?

— Powiedział mi to sam! Widocznie w przystępie szczerości...

— Powiedział sam? W jaki sposób?

— Trudno powtórzyć wiernie... Niestety, nie mogłem nagrać tej rozmowy. Prosił, abym wyłączył wszystkie aparaty, a nie chciałem prowadzić nieuczciwej gry.

— Zbytek skrupułów.

— Zależy od punktu widzenia. Ale to w tej chwili sprawa nieistotna. Otóż słowa jego można streścić mniej więcej tak: to, co ujrzał na plaży, było dla niego strasznym przeżyciem, ale tylko dlatego, że przez chwilę wydało mu się, iż to jest rzeczywisty świat. To była próba, z której chyba nie wywiązał się najlepiej. Najgorsze jednak jest to, że właściwie nie wie, jak powinien postąpić. Jednego jest pewny: był to znak, że złymi drogami biegną jego myśli. Musi pokonać w sobie słabość. Kiedy próbowałem go przekonać, że za tym, co widzi i słyszy, nie kryje się nic tajemnego i nienaturalnego, wysłuchał mych argumentów spokojnie. Ale później powiedział, iż on wie, że tak właśnie my tu wszyscy mówić musimy. Potem jakby się zreflektował, że palnął głupstwo, bo zapytał, czy wolno mu o tym w ogóle mówić. Oczywiście zapewniłem go, że absolutnie nikt nie będzie mu miał za złe szczerości. W dalszych wynurzeniach był już jednak ostrożniejszy. Dał mi tylko do zrozumienia, że mnie i ciebie, Kamo, uważa za coś w rodzaju aniołów stróżów...

— A mnie za wysłannika piekieł — dokończył z sarkazmem Balicz. — To, co mówisz, bynajmniej jednak nie świadczy, że ten facet wszystko, co widzi i słyszy, czego dotyka i wącha, traktuje jako fikcję. Raczej tylko pewne zdarzenia, pewne fakty pozostające w zbyt jaskrawej sprzeczności z jego wyobrażeniami o świecie, skłonny jest traktować jako złudzenia.

— I ja tak początkowo myślałem. Istota rzeczy polega jednak na tym, że nie znajdziesz tu żadnego wyraźnego rozgraniczenia tych dwóch światów...

— Nie bardzo chcę w to wierzyć.

— A jednak tak jest.

Kama wstała z fotela i podeszła do biurka. Sięgnęła po leżący między papierami notatnik. Otworzyła go, potem zamknęła machinalnie i położyła z powrotem na biurku.

— Coraz bardziej nabieram przekonania, że Stefan ma rację — powiedziała podchodząc w zamyśleniu do okna. — Świat odczuwany zmysłami: wzrokiem, słuchem, powonieniem, dotykiem — to dla Modesta tylko język, w którym przemawia do niego ktoś nieodgadniony, przepotężny. On języka tego nie rozumie, nie wie, czego chce od niego ten Nieodgadniony, gdy przemawia do niego zdarzeniami świata, w którym kazał mu żyć. Münch nie zna klucza do zaszyfrowanych poleceń i to go przeraża. Ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, że sam kod, w którym nadawane są owe tajemnicze polecenia, nie stanowi chaosu, lecz jest zbudowany według pewnych reguł. Jest logiczny, uporządkowany. Chociaż więc nie rozumie jego ukrytego sensu, poczyną się tym kodem posługiwać, przyswajają sobie reguły formalne, wynikające z jego logicznej budowy. Nieustannie jednak pamięta o tym, że jest to kod stworzony sztucznie przez Nieodgadnionego w zupełnie innym celu, niżby to wynikało z owej logicznej struktury. Do opisu zachowania się Modesta najlepiej zresztą nadaje się model strategiczny. Toczy się gra między Modestem, Bogiem a Szatanem. Wynikiem gry może być zbawienie lub potępienie. Modest próbuje czynić doświadczenia, poznać strategię Boga i Szatana. Stara się grać jak najlepiej, ba! — jeśli reguły tego wymagają — a jak mu się zdaje, właśnie tego wymagają — prowadzi tę grę tak, jakby świat, z którym się styka, był rzeczywistym światem. Trudności potęguje fakt, że inne reguły gry obowiązują w tym świecie, a inne w drugim świecie — prawdziwym, choć ukrytym dla oczu i uszu nieprzeniknioną zasłoną. I tu paradoks: reguły postępowania, zasadnicze reguły gry obowiązujące w owych zaświatach są Modestowi znane. Są dla niego zrozumiałe i bliskie, bo utrwalone zostały w ciągu długich lat życia. Reguły te są jednak sprzeczne z regułami gry stosowanymi w świecie, w którym teraz żyje. Czy możliwe, aby istniały dwa światy i dwie reguły? Nie! Tylko jeden ze światów może być prawdziwy. Czy ten, który dostrzega oczami? Ta myśl wydaje się Modestowi absurdalna. Prawdziwe mogą być tylko zaświaty. To tylko dlatego widzi on Sprzeczności między informacjami płynącymi z tego świata i regułami gry w zaświatach, że nie zna klucza, który pozwoliłby przekodować informacje z jednego języka na

drugi. Z języka pozorów na język prawdy — to znaczy — zrozumiały dla niego. W tym nieustannym miotaniu się usiłuje znaleźć jakieś punkty oparcia, stworzyć jakieś pomosty łączące oba światy. Ale pomosty załamują się i nie pozostaje mu nic innego, jak uznać owo załamywanie się za przejaw strategii Boga lub Szatana w podjętej grze.

Balicz wzruszył ramionami.

— I myślisz, że rozumowanie naszego Modesta biegnie aż tak zawiłymi ścieżkami? Te kody, szyfry, strategie, światy o różnych językach?...

— Rzecz jasna, że on sobie tego tak nie wyobraża. Próbowалаm tylko nakreślić abstrakcyjny model konstrukcji myślowych, tworzących się w jego mózgu. Model bardzo uproszczony, ale chyba odzwierciedlający istotę rzeczy.

— Czy zauważyłaś — podjął Miksza — że ten model pasuje nie tylko do człowieka znajdującego się w tak skomplikowanej jak Modest sytuacji? To jest chyba w ogóle model mistycznego pojmowania świata. Przecież tak samo tym przejściowym, pozornym światem był dla średniowiecznego mistyka jego świat ziemski. Tyle, że może mniej sprzeczny ze światem mistycznym.

— Mniej sprzeczny? Przeciwnie! Tyle tylko, że czasem siłą przekodowywany. Wbrew faktom! Wbrew wszelkim zasadom uczciwej gry!

— Wszystko to brzmi pięknie — westchnął Balicz. — Ale chyba czas pomyśleć o praktycznych wnioskach. Coś mi się widzi, że sprawa staje się beznadziejna. Bez terapii fizjologicznej o adaptacji mowy nie ma. Widzę już jak Nowak tryumfuje!

— Myślisz, że mogą nam zabrać Moda? — zaniepokoił się Miksza.

Balicz wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Po tym, co napisali w „Jutrze” widać, że nie rezygnują i wszystkiego można się spodziewać. Czekają tylko na okazję...

— Ale chyba Mod ma też coś do powiedzenia. Może się nie zgodzić na przeniesienie... Już moja w tym głowa. Przecież istnieją jakieś zasady, przepisy, że nie można narzucać nikomu, kto nie zagraża bezpieczeństwu otoczenia...

— Jesteś optymistą. Przypadek Moda łatwo można podciągnąć pod zespół urojeniowy. A między nami mówiąc, nie jestem aż tak bardzo pewny czy odpowiednio sprowokowany Modest nie może być niebezpieczny dla otoczenia. Na niego bym nie liczył.

— Więc dacie go sobie odebrać? — oburzył się Miksza.

— Ależ nie! A przynajmniej nie bez walki. Mamy silne argumenty. Co prawda, Nowak nie przebiera w środkach i ma dobre plecy w Akademii, ale myślę, że pole manewru ma ograniczone. Sam sobie zresztą winien. Już choćby fakt, że odkrył karty. Publiczną tajemnicą stało się, że bardziej zależy mu na pognębieniu Gardy niż rzeczywiście na przechwyceniu Modesta. Jeśli nas zaatakuje, będziemy się bronić. Kawa na łąkę wobec „wysokiego gremium”, dyskusja przed kamerami, w prasie... Jak kto woli.

— Słowem: „walka na noże”. Ja też myślę...

— Nie będzie „walki na noże” — Kama przerwała Mikszy w pół zdania. Powiedziała to, odwrócona twarzą do okna, a plecami do kolegów, jakby chciała ukryć przed nimi swe uczucia. — Nie będzie występów Moda przed żadną komisją, ani ustawiania go przez ciebie, Stefek. To oznaczałoby przekreślenie wszystkiego, co dotąd udało nam się osiągnąć. Nigdy bym sobie nie wybaczyła! Czy nie rozumiecie, że tu nie chodzi o rozgrywkę między Gardą i Nowakiem, ani o nasze ambicje czy nadzieje?... Tu chodzi o niego! Czy potrafi on żyć w naszym świecie... Czy zrozumie i uwierzy...

— Więc chcesz oddać go bez walki?... — podjął Balicz. — Zresztą, przecież nawet jeśli to, co mówisz... Jeśli chodzi o prymat celów... — mówił coraz bardziej chaotycznie, nie panując nad sobą. — Dla niego samego... Jeśli pozostaje terapia fizjologiczna, to tylko u nas, w połączeniu z tym, co się już osiągnęło... Nowak wszystko zmarnuje. Pozbawi go osobowości... Chcesz zrezygnować?!

Nie odpowiedziała. Patrzyła na obłoki gromadzące się na horyzoncie.

— A więc tak — powiedział z rezygnacją Miksza.

Kama odwróciła się z wolna od okna. Chwilę popatrzyła na Stefana, potem pokręciła przecząco głową. Podeszła znów do biurka i wzięła notatnik.

— Dziś z rana dzwonił do mnie profesor Gerlach ze Stuttgartu. Prowadził kilka lat prace archeologiczne na terenie klasztoru w Uhrbach. Proponuje, aby tam zawieźć Modesta. Chodzi, w zasadzie, o sprawdzenie, w jakim stopniu orientuje się on w topografii klasztoru. Inkwizytor Münch spędził tam pięć lat. Z budowli zachowało się, co prawda, tylko południowe i wschodnie skrzydło oraz ruiny skrzydła północnego, ale i tak powinno to wystarczyć do sprawdzenia, jakim zasobem wiadomości dysponuje Mod. Być może jednak nie tylko zdobędziemy w ten sposób dowód za lub przeciw identyfikacji tych dwóch postaci...

— Czego się spodziewasz?

— Może, bezpośrednio zetknięcie się z przeszłością, rzeczywistą przeszłością, pozwoli Modestowi zrozumieć, że glob, po którym stąpa, jest tym samym globem, po którym stąpał czterysta pięćdziesiąt lat temu. Jeśli, oczywiście, w ogóle wtedy stąpał...

## VIII. Cienie przeszłości

Miksza zaparkował maszynę tuż na skraju strefy ruchu, przed niewielkim pawilonem wypoczynkowym. Do klasztoru pozostało jeszcze około dwóch kilometrów drogi pieszej, wiodącej zakosami przez porośnięte lasem zbocze wzgórza. Uhrbach bowiem zaliczone było do terenów turystycznych klasy S — zamkniętych dla wszelkich pojazdów naziemnych i powietrznych.

Profesor Gerlach zaproponował, aby coś przekazali przed dalszą drogą. Ale Münch wypił tylko szklankę soku i opuścił pospiesznie bar, podążając ku ścieżce prowadzącej do klasztoru.

Darecka, Gerlach i Miksza musieli więc, nie zwlekając, ruszyć za nim, zwłaszcza że nietrudno było dostrzec, jak głęboko przeżywa wyprawę.

Kiedy trzy dni temu Kama zaproponowała mu lot do Uhrbach, wydawało się, że realizacja planu napotka poważne trudności.

— Czy tak trzeba? — zapytał wówczas, a w głosie jego było tyle tłumionego lęku, że Kama pośpiesznie wycofała się z propozycji i zmieniła temat rozmowy, nie chcąc pogłębiać komplikacji spowodowanych incydentem na plaży.

Nazajutrz jednak Münch sam wrócił do tej sprawy. Powiedział, że przemyślał wszystko i że nie ma teraz żadnych wątpliwości, iż „tak będzie najlepiej”. Jego początkowy lęk przemienił się w niecierpliwość oczekiwania na zapowiedzianą wyprawę. Raz po raz zachodził do Kamy wypytując się, czy Gerlach przybył już do Radowa.

Nie próbował też od chwili startu ukryć ogarniającego go coraz bardziej podniecenia.

Teraz, w czasie drogi pod górę, raz po raz wyprzedzał towarzyszy, to znów zatrzymywał się przy większych blokach skalnych, oplecionych fantastycznie powyginanymi korzeniami drzew. Na pytania odpowiadał niechętnie, czasem zdawał się nie słyszeć, co do niego mówią.

Takie zachowanie się wzbudziło nieufność Gerlacha.

— Najwyraźniej udaje, że rozpoznaje drogę — zauważył z przekąsem. — W rzeczywistości dojście do klasztoru przez las powstało dopiero w XIX wieku...

Miksza postanowił natychmiast sprawdzić przypuszczenie archeologa.

Dogonił Müncha, który stanął na chwilę nad jakimś strumieniem, i zapytał go wprost:

— No, co? Poznajesz?

Zakonnik spojrział na niego jakby przebudzony ze snu.

— Pytałeś?...

— Czy poznajesz drogę?

Poruszył przecząco głową.

— Nie... Nic nie wiem. Na początku myślałem, że poznaję. Ale nie... Teraz wiem na pewno! Pamiętam. Do klasztoru szło się prosto... pod górę.

— Słusznie! — potwierdził Gerlach. — Ale mówił pan, że sobie coś przypomina? — dorzucił podejrzliwie.

— Myślałem, że... nie poznaję dlatego, że... las wyrósł... Ale nie, tej drogi przedtem nie było!



...  
Znów przyśpieszył kroku.

— O tym mógł czytać... Choćby w mojej pracy — rzucił ściszym głosem archeolog.

— Zobaczymy, co powie na górze.

Ruiny klasztoru wyłoniły się dość niespodziewanie spoza zarośli, tworzących tu nieprzebyty gąszcz po obu stronach ścieżki. Poszczerbiona ściana straszyla pustymi oczodołami okiennych otworów.

Münch, który pierwszy dostrzegł ruiny, pobiegł w ich kierunku, lecz już w pół drogi zatrzymał się raptownie. Chociaż zbliżyli się do niego, stał dalej pochłonięty bez reszty widokiem, jaki się przed nim odsłonił.

Ścieżka biegła tu już przy samym murze i skręcała w wyłom.

— Poznajesz to miejsce? — spytała Kama.

Potwierdził skinieniem głowy.

— Ale brama... była... nie tu! — odrzekł urywanie. — To tylko furta do ogrodu — wskazał na wyłom. — Była furta... — dorzucił. — A tu — zakreślił w przestrzeni koło — był ogród!

Gerlach potarł nerwowo brodę.

— Jeżeli tu był ogród, to chyba musiał otaczać go jakiś mur?

— Tak! — podchwycił skwapliwie Münch. — Był mur! Wysoki...

— Czy pamiętasz gdzie był ten mur? — zapytał Miksza.

Zakonnik rozglądał się chwilę, potem niezdecydowanym krokiem podszedł do ściany, niedaleko miejsca gdzie stali.

— Tu! A dalej tam! — wskazał w głąb lasu. — Potem na prawo i z powrotem do klasztoru. Z tamtej strony! Niedaleko bramy.

— Nie ma żadnych śladów — zauważyła Kama.

— Nie ma... — powtórzył Münch zatroskany. — Nie wiem... A może nie tu?... Nie wiem... Nie! Tu był mur! Na pewno! Pamiętam.

— A brama, o której pan mówił... gdzie ma być? — zapytał archeolog, patrząc na niego z uwagą. — I co to za brama?

— Brama do klasztoru. Główna brama.

— No to proszę zaprowadzić nas do tej bramy — powiedział Gerlach, rzucając porozumiewawcze spojrzenie Mikszy i Dareckiej.

Münch podszedł do wyłomu i skręcił w ruinę. W przejściu między murami stanął jednak, rozglądając się z uwagą wokół.

— Co tu było? — zapytał archeolog.

— Sień. Tam kuchnia! — wskazał otwór drzwiowy zarosły krzakami. — A tam — pokazał na otwór po przeciwległej stronie — schody do piwnicy.

— Czytał pan Bergmanna?

Münch spojrział na Gerlacha pytająco.

— Nie rozumiem — powiedział po chwili.

— Myślałem, że czytał pan pracę Bergmanna: Raport z sondażu dawnego klasztoru dominikanów w Uhrbach.

— Kto to Bergmann?

— Historyk. Badał przed kilku laty te ruiny.

— I co?

— Nic. On też przypuszczał, że gdzieś tu musiało być wejście do piwnic.

— Było. Ja pamiętam. Tu były schody! — podszedł do otworu. — Wszystko zarosło krzakami...

— Chodźmy dalej.

Wyszli na obszerny czworokątny dziedziniec otoczony krążankiem. Dwie ściany tworzyły ruiny, dwie inne — dobrze zachowane, czy może raczej zrekonstruowane budynki klasztoru. Na środku wznosiła się studnia z wielkim kołowrotem.

— Tego nie było! — stwierdził Münch.

— To bardzo stara studnia — zauważył z powątpiewaniem archeolog.

— Nie było! Na pewno! Studnia była w ogrodzie. Niedaleko bramy wjazdowej.

— Na lewo czy na prawo?

— Na lewo. Zaraz pokażę — ruszył przez dziedziniec ku wielkim, okutym drzwiom w zachowanej części budowli. Umieszczone w nich były drugie, mniejsze drzwiczki, które otwały się same przed Münchem ukazując mroczną sień.

— Jeśli życzyście sobie głosu przewodniego, podawajcie w każdym pomieszczeniu hasło: „707” — popłynęły z głębi sieni ściszone, lecz wyraźne słowa.

Modest, który właśnie przestępował próg, zatrzymał się, a potem gwałtownie cofnął.

— Ktoś coś mówił... I otworzył drzwi... A nie ma nikogo! — spojrzał z niepokojem na Kameę.

— Nie obawiaj się. To tylko automat. Maszyna zastępująca przewodnika.

— Maszyna... — powtórzył zakonnik z wyrzutem.

Weszli do sieni. Po obu stronach znajdowały się drzwi prowadzące do dalszych pomieszczeń klasztornych. Uwagę Müncha przykuła jednak w tej chwili przeciwległa ściana, gdzie w płytkiej niszy bieliła się, oświetlona dyskretnie, figura Matki Boskiej. Podszedł bliżej, chwilę stał nieruchomo, potem odwrócił się do towarzyszy. Widać było, że jest czymś głęboko wstrząśnięty.

— Gdzie wyjście? — zapytał.

— Wyjście?

— Tu była brama. Dlaczego zamurowana?

— Chodźmy! Sam pan się przekona — powiedział Gerlach i ująwszy Müncha za ramię popchnął lekko ku najbliższym, bocznym drzwiom.

Za drzwiami znajdował się długi korytarz z wejściami do cel. Archeolog otworzył najbliższe drzwi.

Proste łóże, klęcznik, w głębi niewielkie otwarte okienko.

Zakonnik podszedł do okna. Widać było stąd rozległą dolinę, pogrążoną w przedwiecznym mroku. Tylko daleko, na przeciwległym wzgórzu błyszcząły jeszcze w promieniach zachodzącego słońca szklane ściany jakichś nowoczesnych bloków. Zarastający zbocza góry klasztornej las leżał w dole, tak iż wierzchołki drzew wystawały gdzieś zza krawędzi kilkumetrowej betonowej płyty, umacniającej fundamenty starej budowli.

— Co to? Dlaczego? — zwrócił się Münch do Gerlacha. — Przecież tu była droga!

— Nie ma drogi. Tu było kiedyś urwisko — wyjaśnił archeolog. — Część zbocza osunęła się. Chyba jeszcze w siedemnastym wieku. Osiemdziesiąt lat temu, aby zapobiec dalszemu obsuwaniu się gruntu, utworzono betonowe wzmocnienie.

— Kiedy to było? To obsunięcie?

— Jakies czterysta lat temu. Wtedy zamurowano bramę i chyba wykuto nową studnię, na dziedzińcu. Myślę, że tamta w ogrodzie uległa zasypaniu. Powinny jednak zostać jakieś ślady, które dadzą się wykryć sondażem.

Wyszli na korytarz.

— Gdzie była twoja cela? — zapytała Kama.

Podniósł na nią oczy, ale widocznie pytanie nie dotarło do jego świadomości, bo dopiero po chwili zapytał:

— Mówiłaś?

— Pytałam, gdzie była twoja cela?

Przez twarz Müncha przeszedł nerwowy skurcz.

— Co mówisz?

— Pytam o twoją celę.

Wreszcie oprzytomniał.

— Moja cela?... Nie tu. Z tamtej strony. Bliżej kaplicy.

\*

Obok pochylonej dzwonnicy, tam gdzie zbiegały się dwa ocalałe skrzydła budowli, prowadziły drzwi do kaplicy klasztornej. Münch zatrzymał się w progu i ukląkł na wielkiej, poszczerbionej przez czas płycie.

Nie chcąc przeszkadzać pogrążonemu w modlitwie, Darecka, Gerlach i Miksza usiedli przy studni rozmawiając półgłosem. Oczywiście, temat mógł być tylko jeden: jak wypadła próba.

— Albo to jest jakiś wybitny badacz tego terenu, o którym, dziwne, że nie słyszałem — rzekł z przejęciem archeolog. — Albo... nie wiem, co o tym sądzić.

— A więc? Wszystko, co mówił było zgodne z wynikami waszych badań? — pytał Miksza nie ukrywając zadowolenia.

— Wszystko. Orientuje się w terenie świetnie. Tak, jakby istotnie był tu przed czterema wiekami... W niektórych przypadkach jego uwagi rzucają nowe światło na sporne dotąd kwestie. Na przykład sprawa studni w ogrodzie. Trzeba będzie przeprowadzić badania.

— Więc sądzicie, że to rzeczywiście może być inkwizytor Münch?

— Tego nie powiedziałem, ale... — urwał, gdyż w tej chwili właśnie zakonnik skończył modlitwę, pochylił się, ucałował kamienną płytę i wstał.

Gerlach podszedł do niego.

— Co to za kamień? — zapytał wskazując na płytę.

— Tu leży opat tego klasztoru... Albert von Gradeck. W młodości był wielkim grzesznikiem. Ale Pan Nasz go oświecił... Gdy umierał, kazał się pochować tu, pod progiem. Żeby wszyscy deptali po jego grobie.

— Na płycie był jakiś napis. Teraz litery zatarte...

— Były tylko inicjały: A.v. G. R.I.P. A.D. 1583. Nic więcej.

— Znał go pan?

— Tak. Byłem tu, gdy umierał... Ten napis wykuł brat Hildebrandt. Płyta miała być większa, dużo większa... Ale pękła... Brat Hildebrandt z odłamka zrobił drugą... Taką małą... Z modlitwą za duszę ojca Alberta. Wmurowano ją w filar w kaplicy.

— Czy możesz pokazać to miejsce? — przerwał nerwowo Miksza.

Münch bez słowa wszedł do kaplicy.

Mimo panującego tu półmroku, niemal na ślepo, odszukał właściwy filar i tabliczkę.

— To tu! — nachylił się i dotknął płyty. — Zdawało mi się, że była wyżej — zauważył

zdziwiony. — A teraz tuż przy posadzce...

— Bo też istotnie tak było — potwierdził archeolog. — W osiemnastym wieku podniesiono posadzkę o sześćdziesiąt dwa centymetry.

Powiedział to szeptem, jak gdyby głośniejszą rozmową bał się zakłócić ciszę odległych wieków zamkniętą w starych murach świątyni. Mrok już zapadał, gdy schodzili ze wzgórza.

Gerlach z Mikszą — na przdzie — oświetlali latarkami drogę przez las. Za nimi Münch, na końcu Darecka.

Jeszcze przed zwiedzaniem klasztoru projektowano, że przenocują w pawilonie wypoczynkowym. Teraz zmieniono plan, zwłaszcza, że Gerlach chciał już nazajutrz wrócić tu ze swymi asystentami, aby przeprowadzić szczegółowe badania i sprawdzić ścisłość informacji Müncha.

Szli w milczeniu. Nikt nie miał ochoty do rozmowy. Zaledwie dwa czy trzy razy w ciągu dwudziestominutowej wędrówki Gerlach i Mikszą zamienili między sobą parę zdań.

Münch nie odezwał się ani razu, pochłonięty bez reszty myślami. Kama przez całą drogę starała się dotrzymać mu kroku i chociaż w ciemnościach nie mogła dostrzec jego twarzy, zdawała sobie sprawę, że toczy on z samym sobą jakąś rozpaczliwą dyskusję. Kilkakrotnie dobiegały ją urywki wypowiedzianych szeptem po łacinie zdań.

— Dlaczego? Dlaczego? Panie?... Przebacz słabości mojej... Daj znak. Panie mój... Czy zdołam... Bądź miłościw...

W samolocie jakby się uspokoił. Przez całą drogę powrotną odmawiał wieczorne modlitwy. Widocznie jednak powziął już jakąś decyzję, bo tuż przed lądowaniem w Radowie chwycił za rękę siedzącą przy nim Kamę i patrząc błagalnie w jej oczy zapytał:

— Czy możemy dziś porozmawiać?

— Oczywiście. Wpadnę do ciebie po kolacji. Czy Stefan też ma przyjść?

— Nie. Nie. Tylko ty.

Czuła, że proces zapoczątkowany, a może tylko ujawniony incydem na plaży, poczyną wkraczać w fazę decydującą.

## IX. Kryzys

W takim stanie nie widziała go dawno. Co prawda, już przed dwoma godzinami, po powrocie z klasztoru w Uhrbach, zdawała sobie sprawę, że czeka ją trudna rozmowa. Nie spodziewała się jednak, iż reakcja po spotkaniu z przeszłością będzie aż tak gwałtowna.

Teraz, gdy stał przed nią z rękami wzniesionymi w górę rozpaczliwym gestem, wydawał jej się znów tym samym dziwnym, na wpół obłąkanym mnichem, którego przed wielu miesiącami przywiózł do Instytutu Miksza.

— Powiesz mi? Przrzeknij, że powiesz! — powtarzał nerwowo.

— Oczywiście, że powiem. Jak tylko będę mogła...

— Przrzeknij!

Patrzył na nią z uporem.

— Przrzekam.

— Jeśli ci pozwoli... Tak... Tak... Wszystko od niego zależy...

— Powiedz wreszcie, o co ci chodzi?

— Niełatwo powiedzieć... Nie dziw się... Jestem nędznym, nierozumnym człowiekiem. Ułomny jest duch mój... Ja myślałem... Długo myślałem i... nic nie wiem... Nie rozumiem. Pewno nie powinienem pytać... Nie wolno pytać!

— Czego nie rozumiesz?

— Dlaczego? Po co? Po co tu jestem? Wiem, że źle czynię... Wyroki Najwyższego są niezbadane, i nie mnie ich dociekać. Ale ja ciągle myślę... Ja już nie mogę... Czy grzechem jest pytać? Na pewno jest grzechem!

Pot wystąpił mu na czoło.

— Nie jest grzechem, Modeście — podjęła łagodnie. — Pytać należy zawsze. Nie wiem tylko, czy potrafię odpowiedzieć na twoje pytania. Chcesz wiedzieć, skąd się tu wzięłaś wśród nas? Jak to się stało? Tego nie wiemy. Jeszcze nie wiemy. Istnieją pewne przypuszczenia, ale to jeszcze mało. Jestem jednak przekonana, że znajdziemy odpowiedź na to pytanie.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie! Nie! Nie to! Jak to się stało — ja wiem! Pamiętam... Złe siły... Ale ja pytam nie o to. Pytam dlaczego, po co tu jestem?

— Jak to po co? — ściągnęła brwi. — Nie rozumiem pytania? Spróbuj jaśniej wytłumaczyć.

— Pan Nasz nic nie czyni bez przyczyny — powiedział po łacinie. — Niezbadane Jego wyroki. Tak być musi. Pojmuję to, ale... Ty chyba wiesz, dlaczego? A mówiłaś: pytać nie grzech...

— Jeszcze nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi. Co ja mam wiedzieć?

— Ja widziałem dziś... tam... w Uhrbach. To było naprawdę Uhrbach. Te same mury... Tylko czas upłynął. To jest Ziemia... — usiłował chaotycznie wytłumaczyć. — To jest ten sam świat. Ale inny... Jakiś... nie ten... Ja nie rozumiem, dlaczego? Mówiłaś: świat się zmienił... I że to jest dobrze... Ale ja wtedy... w tamtym moim życiu... wierzyłem: prawda boża zwycięży. Królestwo

Boże... Czy to jest Królestwo Boże? Ja nie wiem... Nie rozumiem. Patrzę i widzę... Tak. To jest ten świat! Te same mury, ten sam dom boży, wirydarz, krużganki... Te same kolumny w kaplicy... kamień na grobie ojca Alberta... To nic, że napis zatarty. Ja to rozumiem, że czas płynął, że minęły wieki... Ale jest przecież Bóg! Chrystus Pan, Jego nauka... A teraz widzę i nie mogę zrozumieć. Myślałem, że to Królestwo Boże. Ale — nie. Potem myślałem, że to omam... że demonów sprawa... kuszenie szatańskie... Ale nie. Chyba nie... To, co dziś widziałem, to było naprawdę... Kto ty jesteś? — wpatrywał się z napięciem w jej twarz. — Ja nie wiem, kto ty jesteś! Kto jest Stefan, a kto Balicz doktor? Kto Garda i inni mężowie czcigodni? Jesteście dobrzy dla mnie... Ale... wy nie mówicie... nigdy nie mówicie... o Nim!

— O kim?

— O Bogu. O Panu Naszym. Gdzie on? Jeśli to jest świat bez Boga, to... — urwał, a oczy jego napełniały się przerażeniem.

Kama od dawna spodziewała się tego pytania. Nie łudziła się, że proces adaptacji ma, w gruncie rzeczy, jak dotąd tylko zewnętrzny, formalny charakter. Traktowała go też jako przygotowanie do podjęcia zasadniczej próby przeobrażenia psychiki tego człowieka. Teraz jednak uświadomiła sobie, jak trudne czeka ją zadanie. Nie chciała kłamać, a przecież nie mogła ukazać od razu całej prawdy.

— Uspokój się — powiedziała jak najłagodniej. — Świat, w którym żyjemy, nie jest jeszcze doskonałym światem. Wiele jeszcze popełniamy błędów, w wielu sprawach szukamy dopiero drogi... Ale jest to z pewnością świat lepszy od tego, w którym żyłeś przed pięciu wiekami. Bliższy on jest na pewno tym ideałom, które zawarte są w nauce Chrystusa, niż tamten twój świat. Przecież nauka ta mówi o tym, aby ludzie nie czynili sobie wzajem krzywdy, aby się kochali, aby pomagali jedni drugim, aby sprawiedliwie dzielili się owocami swej pracy. To staje się coraz bardziej realne w naszym świecie. Za krótko jeszcze żyjesz wśród nas, za mało jeszcze widziałeś, abyś mógł sądzić.

— Wiem. Ja staram się zrozumieć, ale to niełatwo. Powiedz! — chwycił ją za rękę. — Powiedz, jaki cel?

— Cel? Czego?

— Że... ja tu. Co chciał Bóg? Czy to nagroda? A może kara?

— Ani nagroda, ani kara. Zostałeś przeniesiony w nasze czasy. Kto to zrobił i dlaczego — nie wiemy. Ale wierz mi, z pewnością nie ma to nic wspólnego z żadną karą czy też nagrodą.

— A jednak... Te diabły... demony...

— W naszym świecie nie ma demonów. Mówiłam ci już.

— No tak... — przytaknął niepewnie. — Chwała Panu, ale...

— Słucham cię.

— To niemożliwe!

— Co niemożliwe? Że nie ma tu diabłów?

— Nie. Nie. Wierzę ci. Staram się wierzyć... Ale to niemożliwe, że nie ma celu. Wszystko ma cel. Jeśli nie kara i nie nagroda, to... zadanie. Powiedz. Co mam robić? Jak służyć Najwyższemu?

— Staraj się zrozumieć...

— Tak! — przerwał gwałtownie. — A ty? Jak ty służysz? — wpił w nią oczy. — Komu służysz?

— Ludziom.

— Człowiek jest prochem. Prochem jest jego ciało. Czy ty troskasz się o jego duszę?

— Właśnie — skinęła głową. — To właśnie jest moje zadanie. Mój zawód.

Pomyślała jednocześnie, jak fałszywie może rozumieć sens tych słów.

— I o moją też? — zapytał z przejęciem.

— Od chwili, gdy zjawiłeś się tu, przede wszystkim o twoją.

— I walczysz z Szatanem?

— Można to i tak nazwać — uśmiechnęła się do swoich myśli.

— Nie! — potrząsnął gwałtownie głową. — To nie jest tak... jak mówisz! Ja czuję... To nie tak!

Ten świat... to świat grzeszny! Widziałem...

— Co widziałeś? — spojrzała na niego uważnie.

— Pytasz się? Przecież wiesz... Tam... w tych ogrodach, nad wodą, na piasku... Czy to, co tam widziałem, to nie było naprawdę? Powiedz!

— Naprawdę. No i cóż z tego, że to, coś tam ujrzał, nie było ani snem, ani szatańskim mamidłem? Dlaczego to ma być dowodem grzeszności dzisiejszego świata? Że widziałeś mnie zbyt skąpo, jak ci się zdaje, ubraną? A cóż w tym złego? — postawiła sprawę otwarcie i jednoznacznie.

Na chwilę jakby się zmieszał.

— Nie o tobie chciałem mówić... — odrzekł unikając jej wzroku. — Ty musisz być taka... jak inne. Ja już pojąłem... Tak widocznie trzeba... Miksza mi tłumaczył...

— Nie wiem, czy właściwie zrozumiałeś to, co mówił Stefan. Rzecz w tym, iż wiele się w ostatnich wiekach zmieniło i to, co tobie wydaje się grzeszne, dziś nikogo nie gorszy. Odślanianie ciała podyktowane jest przede wszystkim troską o zdrowie człowieka. Musisz się z tym pogodzić.

— To nie tak, jak mówisz. Ciało jest źródłem wszelkiego złego. Czy godzi się oglądać je obnażone?

— Gdzie widzisz owo zło?

Pochylił się jakby pod nadmiernym ciężarem i nie patrząc na Kamę powiedział:

— Złe myśli się budzą...

— Zapewniam cię, że we mnie żadnych złych myśli ciało ludzkie nie budzi. Jeśli jest do tego młode, zdrowe, harmonijnie rozwinięte, zahartowane na wietrze, słońcu i w wodzie — może budzić tylko dobre myśli. I tak być powinno. Jeśli w kimś budzi złe myśli, to znaczy, że źródłem tych myśli jest nie owo nagie ciało, lecz chora dusza tego, który nie potrafi na nie właściwie patrzeć.

Poruszył się niespokojnie.

— Myślisz, że... moja dusza jest chora — wyszeptał trwożnie, pojawiając sens aluzji.

Potwierdziła skinieniem głowy.

— A jeśli nie jest tak, jak mówisz? — wyrzucił z siebie z wysiłkiem.

— To znaczy jak?

— A jeśli te czasy, to czasy upadku? Ja patrzę i widzę. Chodziłem z tobą, próbowałem nawet sam... Ci ludzie: dojrzały wiekiem, młodzież, nawet nieletnie dzieci... nawet starcy... Czy to są dzieci boże?!

— Od twoich czasów zaszło wiele zmian, ale przekonasz się: człowiek stał się lepszy. Jest wolny od lęku... Częściej się śmieje, raduje...

— Lepszy? Nie wiem. A ten śmiech... ta radość?... Wszędzie: na ulicach, w tych salach, ogrodach... Dlaczego radość?! Z czego się cieszą? Dlaczego się śmieją? Czy ty tego nie widzisz? Czemu się radują? Czy oni myślą o Panu Naszym? Nie! Tylko o sobie! O ucieście ciała! Nikt się nie modli, nikt nie chwali Pana! A ty? — patrzył na nią badawczo. — A ty się modlisz?

— Mówiłam ci, że świat się zmienił — próbowała wybrnąć z trudnej sytuacji. — Sam zresztą widzisz, a jeszcze więcej zobaczysz... Kiedyś, przed wiekami, ludzie dużo się modlili. Stale mówili o Bogu i miłości bliźniego. Ale powiedz, czy naprawdę mieli ją w sercu? Czy nie było zła, nieprawości, zbrodni? Gorzej — czy w imię Boga nie mordowali się wzajemnie? Nie grabili, nie prześladowali jedni drugich? Dziś nie ma wojen między ludźmi, nie ma prześladowań, nie ma tortur i strachu.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

— Mówisz... A co myślisz? Wiesz przecież: wszystko zło od diabła pochodzi. Człowiek jest słaby, ciało słabe... Duszę trzeba ratować! Mówisz, jakbyś nie wiedziała... Przecież, kiedy trzeba było pytać przez tortury, skazywać na ogień... to... przecież dlatego, że dusza... dusza najważniejsza! To dlatego właśnie... Żeby odebrać zdobycz Szatanowi i zwrócić Bogu.

— I nie odczuwałaś nigdy współczucia? Nie nękały cię wyrzuty sumienia?

— Co mówisz?! — patrzył na nią z lękiem. — Nie rozumiesz?! Myślisz, że nie mam serca? Że nie cierpiałem wraz z nimi?! Ale przecież... Przecież właśnie dlatego! Dla zbawienia ich duszy!... Przecież to z miłości dla nich, a nie z nienawiści. Nie było we mnie nienawiści. Nienawidziłem tylko Szatana. Tylko jego!

Nie była w stanie znaleźć wspólnego języka z tym człowiekiem. Pozostawało tylko traktować go jak chorego.

— No, dobrze — podjęła pojednawczo. — Rozumiem cię.

Pogładziła delikatnie jego dłoń, ale on szarpnął ją gwałtownie, odskakując na środek pokoju.

— Nie! Nie! — krzyknął histerycznie.

Nagle jakby odzyskując przytomność, opanował się.

— Przepraszam — wyszeptał pokornie.

Podszedł do fotela, usiadł ciężko i ukrył twarz w dłoniach.

— Powiedziałam, że cię rozumiem — odezwała się po chwili Kama, usiłując nadać głosowi jak najłagodniejszy ton. — Staraj się o tym nie myśleć. Jeszcze nie wszystko potrafisz pojąć, ale nie przejmuj się tym zbytnio. Powinieneś lepiej poznać nasz świat.

Uniósł wolno głowę. Miał łzy w oczach.

— Chciałbym pojechać — do Rzymu.

— Oczywiście. To prosta sprawa. Możemy polecieć choćby jutro.

— Tak! Tak! Jutro! — uczeplił się nerwowo terminu. — I spotkam tam prawdziwych kapłanów, zakonników... Mówiłaś...

— Ależ, oczywiście! Interesują się tam tobą. Kardynał Lorca chciałby z tobą porozmawiać.

— Kardynał! — Niepewność malująca się na twarzy Müncha przeobraziła się w zachwyt. — Jutro!... Jutro!

— No, teraz chyba czas spać — powiedziała kierując się ku drzwiom.

— Odchodzisz? Jeszcze chwila — zatrzymał ją w progu. — Ja cię... przepraszam.

\*

Podróż do Rzymu, po której Modest tak wiele sobie obiecywał, uległa niestety zwłoce. Kama i Stefan następnego ranka zostali wezwani do Nowego Jorku, gdzie na światowy kongres historyków dotarła wiadomość o niezwykłym zachowaniu się Müncha w Uhrbach. Rozpoczęła się ostra dyskusja i profesor Gerlach nie tylko sam musiał tam polecieć, lecz wezwał na pomoc Darecką, aby rzucić na szalę ważne argumenty w postaci wyników badań psychofizjologicznych.

O przywiezieniu Modesta do Nowego Jorku nie było mowy. Stan psychiczny Müncha pozostawiał wiele do życzenia, a podchwytliwe pytania oponentów w czasie publicznej dyskusji mogły wywrzeć ujemny wpływ na jego samopoczucie.



Tak jak zresztą było do przewidzenia, teza Gerlacha, że człowiek odnaleziony w rezerwacie karkonoskim jest XVI-wiecznym inkwizytorem Münchem, spotkała się z powszechnym sprzeciwem. Planowany na jeden dzień pobyt Dareckiej i Mikszy w Nowym Jorku przedłużył się w tych warunkach o dalsze kilka dni, a i tak końca dyskusji nie było widać.

Trzeciego dnia obrad wysłano do Uhrbach specjalną komisję, która przeprowadziła na miejscu szczegółowe badania. Wszystkie fakty podane przez Müncha zostały w pełni potwierdzone. I to jednak nie wystarczyło, aby przekonać oponentów. Wysłano przypuszczenie, że być może rzekomy Münch czytał jakieś nie znane historykom zapiski z XVI wieku, dotyczące owego klasztoru. Domagano się nowych dowodów i komisyjnych badań na innym terenie obfitującym w zabytki, z jakimi stykał się w swym życiu inkwizytor Münch. Kama połączyła się więc z Radowem wzywając zakonnika do wizjofonu.

Wygląd Modesta zaniepokoił ją bardzo. Podkrążone, biegające niespokojnie oczy, twarz blada i nerwowo zaciśnięte wargi świadczyły, że stan jego pogorszył się znacznie.

— Kiedy... do Rzymu? — zapytał bez wstępu patrząc błagalnie na Kamę.

— Już niedługo tam polecimy — usiłowała go uspokoić. — Niestety, zaszły pewne okoliczności, które wymagają mojej obecności tu, w Nowym Jorku. Ale mam do ciebie prośbę. Z tego co kiedyś mi opowiadałeś wynika, że w 1586 roku przez kilka miesięcy przebywałeś w klasztorze przy kościele Dominikanów w Augsburgu. Obecnie prowadzone są tam prace renowacyjne. Profesor Gerlach i kilku innych profesorów chcieliby zasięgnąć twojej rady w pewnych kwestiach spornych. Tak jak w Uhrbach... Stefan przyleci jutro po ciebie.

— Nie — pokręcił przecząco głową. — Ja nie chcę. Nie polecę.

— Zrób to dla mnie — starała się przemawiać do niego jak najserdeczniej. — Bardzo cię o to proszę. Zależy mi ogromnie na twojej obecności.

— Ile... dni? — zapytał z wahaniem.

— Niewiele. Jakies dwa, może trzy.

— Trzy, dni... — powtórzył zdławionym głosem. — A... do Rzymu?

— Postaram się jak najprędzej załatwić wszystko w Nowym Jorku. Ale twoja obecność w Augsburgu jest konieczna. Stefan przyleci po ciebie jutro wieczorem. Dobrze?

Zacisnął nerwowo powieki. Wydało mu się, że tuż przed nim otwarła się nagle jakaś otchłań, bez światła, bez isierki, która mogłaby wskazać drogę. Usta jego poruszyły się bezdźwięcznie.

„Panie mój! Ile jeszcze prób?... Daj siłę... Daj znak! Daj znak, abym wiedział jak postąpić...”  
— modlił się w myślach.

Nagle jakby ocknął się ze snu.

— Dobrze — powiedział z wysiłkiem do Kamy.

## X. Fakoni

Münch patrzył dłuższą chwilę na martwy już ekran, jakby oczekując, iż pojawi się na nim ponownie twarz Kamy. Wreszcie wstał z fotela, podszedł do tapczanu i ukląkł przy nim, wbijając wzrok w zawieszony na ścianie krzyż. Próbował skupić myśli na słowach modlitwy, ale mąciło je raz po raz wspomnienie Uhrbach i niedawnej rozmowy z Kamą.

W końcu udało mu się odegnąć te obrazy; uwaga jego zwrócona została jednak niespodziewanie w innym kierunku: usłyszał za sobą trzepot skrzydeł, a potem nieregularny, przyspieszony tupot ptasich nóg. Odwrócił głowę i spojrzał z niepokojem ku otwartemu oknu. Po parapecie spacerował biały gołąb, zaglądając bez obaw do wnętrza pokoju.

Münch podniósł się z klęczek i zamarł wpatrzony w gołębia. Od razu zauważył, iż nie był to zwykły ptak: jego szyję otaczał srebrzysty pierścień, w którym osadzony był mały trójkąt z wystającym szmaragdowym „okiem”. Gołąb dostrzegł stojącego nieruchomo człowieka i zatrzymał się także.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale koniecznie chcemy się z ojcem spotkać — Münch usłyszał wyraźny, choć przytłumiony szept. — Przepraszamy też, że tą drogą próbujemy porozumieć się z ojcem, ale cerber na dole nie chciał nas wpuścić, ani nawet połączyć telefonicznie.

— Kim jesteś? — wyszeptał z lękiem Münch.

— Jestem prezesem „Caelestii”, stowarzyszenia poszukiwaczy kosmicznych kontaktów międzywilizacyjnych metodami niekonwencjonalnymi.

— Nie rozumiem.

— Szukamy po prostu prawdy o życiu poza Ziemią i Układem Słonecznym. Chcielibyśmy ojca zaprosić na nasze zebranie. Czy może ojciec wyjść? Przed Instytutem czeka na ojca nasz przedstawiciel...

Głos męski, nieco schrypnięty, zupełnie nie przypominał ptasiego, choć jego źródłem był niewątpliwie gołąb. Dlaczego jednak, mówiąc, nie otwierał on dzioba? Czyżby znów był to sztuczny twór? Ani w wyglądzie, ani też w zachowaniu się gołębia nie dostrzegał Münch żadnych cech owych przedziwnych maszyn, z którymi dotąd się zetknął. Ptak miał „zwyyczajne” pióra, skrzydła, ogon; poruszał się także w sposób naturalny.

— Nie zajmujemy ojcu zbyt wiele czasu — podjął znów głos. — Gdyby ojciec wyraził zgodę na spotkanie z nami, byłby to dla nas ogromny zaszczyt. Wiele słyszeliśmy o ojcu. A to, o czym mówiła dr Darecka na kongresie nowojorskim, to naprawdę rewelacja. Zwycięstwo tego, o co walczyliśmy bezskutecznie od lat... — Czy zgodzi się ojciec?... A może ojciec ma jakieś wątpliwości?

— Nie wiem...

— Rozumiem ojca. Ale mogę zapewnić, że jesteśmy w pełni legalnym, oficjalnie zarejestrowanym stowarzyszeniem. Utrzymujemy też stałą łączność z podobnymi stowarzyszeniami w wielu krajach świata...

— W Rzymie?...

— W Rzymie też. Działa tam bratnie stowarzyszenie, nawet o takiej samej nazwie „Caelestia”.

Przyjdzie ojciec?

Münch wahał się.

— Mówisz, że wasz wysłannik czeka przed wejściem?... Czy twoje przybycie... ten gołąb... to... znak?

— Oczywiście! To nasz gołąb. Czy coś nie w porządku? — głos zaniepokoił się.

Ale Münch już się zdecydował. Wychodził już parę razy sam na spacer nad Odrę, ale zawsze zawiadamiał o tym Kameę. Była to jednak jego dobra wola, a nie obowiązek. Teraz Kama była daleko, zaś Balicza zawiadamiać nie miał zamiaru. Jeszcze by tego brakowało! I tak, jeśli będą chcieli go odnaleźć, to przecież ma przy sobie dekodery, a — jak Kama mu tłumaczyła — nosi się go po to, aby nie zaginąć i aby drzwi domu, w którym mieszka otworzy się przed nim same... Może więc wrócić w każdej chwili.

Nie wszystko to, co mówił gołąb było dla Müncha jasne, lecz w tym świecie co krok napotykał zagadki. Jedną wątpliwość chciał jednak wyjaśnić przed wyjściem.

— Mówiłeś o Cerberze... — podjął ostrożnie.

— Miałem na myśli automat przy wejściu — w głosie znów pojawiło się zaniepokojenie. — Ojciec wybaczy pytanie, może nie na miejscu: chyba nikt ojcu nie zabrania wychodzić?

— Nie... nie... Zaraz będę.

W windzie znów opadły go wątpliwości. Mówiący gołąb, Cerber–automat?... W tym świecie, co prawda, wszystko było możliwe, jednak... Ogarnął go niepokój. Nie zapytał, jak będzie wyglądał ów wysłannik poszukiwaczy Prawdy. Musi być przygotowany na wszystko.

Na schodach przed Instytutem czekała go jednak przyjemna niespodzianka: podszedł do niego młody, wysoki mężczyzna o jasnej czuprynie i uśmiechniętych niebieskich oczach.

— Ojciec Modest Münch, prawda? Jestem z „Caelestii”. Prezes Janas rozmawiał z panem... I zgodził się pan? To cudownie! — mówił tak szybko, nie czekając odpowiedzi, że Münch z trudem nadażał za jego słowami. — Przepraszam, że mówię do księdza „pan”, ale to z przyzwyczajenia. Prezes też przypominał, prosił, ale jestem tak podniecony... Jest pan, to znaczy ojciec jest pierwszym w dziejach ludzkości człowiekiem, który zetknął się z Nimi, naprawdę, oko w oko... A ja zawsze marzyłem... Już jako mały chłopiec wierzyłem, że Oni są. Nawet wówczas gdy przytaczano argumenty, rzekomo świadczące o tym, że niebo jest puste... Gdy wyśmiewano takich jak ja, gdy nazywano nas „fakonami”, to znaczy „fanatykami kontaktów”... I oto potwierdziło się, że my mieliśmy rację, że Oni są! Że niebo nie jest milczące! Ksiądz to potwierdził! Swym przybyciem! Czy to nie cudowne?!

Umilkł na chwilę, ale zanim Münch zdołał się odezwać, znów zaczął mówić, zmieniając temat:

— Przepraszam za gołębia... To był mój pomysł. Mamy w stowarzyszeniu bardzo zdolnego kolegę bioelektronika... Cały układ sterowania to jego robota. Nie było innego sposobu.

Próbowaliśmy już od miesiąca nawiązać z księdzem kontakt... Ale ja tu mówię i mówię, a tam czekają — zreflektował się nagle. — Ksiądz pozwoli... ja poprowadzę!

Ujął Müncha pod ramię.

— To niedaleko. Nawet nie trzeba ciągiem. Pan sobie nie wyobraża, jaki to dla nas wielki dzień. Wczoraj jeszcze rozmawialiśmy w klubie, że gdyby się udało księdza namówić, gdyby pan zechciał spotkać się z nami, wówczas i u nas wiele by można zmienić...

Münch nie odczuwał już lęku. Ten młodzieniec budził zaufanie. Ze słów jego przebijała szczerłość i młodzieńczy entuzjazm, a niekłamany szacunek, czy nawet coś w rodzaju uwielbienia, z jakim odnosił się do Müncha, sprawiał mnichowi wyraźną przyjemność. Nikt dotąd, nawet Kama, nie

przemawiał do niego w ten sposób. Co prawda, treść tego, o czym mówił młody mężczyzna nie była jasna, ale nie ulegało wątpliwości, że Münch jest kimś na kogo czekano, że niesłusznie zwątpił we własne siły, że zbliża się chwila największej próby i być może jemu przypadnie w udziale podjąć czy choćby zapoczątkować dzieło naprawy tego świata...

Skarcił się natychmiast za tę myśl znaczoną grzechem pychy. Począł się modlić o cnotę pokory, aby mógł być godzien udziału w takim dziele.

Młody przewodnik przez całą drogę opowiadał coś Münchowi, lecz niewiele z tego, co mówił, docierało teraz do świadomości zakonnika. Skręcili na bulwar i przeszli przez most spacerowy na drugą stronę rzeki. Nad jej brzegiem, wśród zieleni, wznosił się, podobny kształtem do odwróconego winnego grona, gmach centrum klubów i instytucji kulturalno-rozrywkowych.

W ogromnym hallu było rojno i gwarno, lecz na dwudziestym siódmym piętrze, w bocznym segmencie budowli gdzie się wkrótce znaleźli, korytarze pogrążone były w ciszy i spokoju. Żaden też dźwięk nie dochodził zza mijanych drzwi, na których świeciły niezrozumiałe dla Müncha znaki i napisy.

— To już tu — odezwał się młodzieniec, milczący i jakby skupiony z chwilą wejścia do gmachu.

Zatrzymał się pod drzwiami opatrzonymi napisem „Klub Caelestia” i podniósł w górę rękę. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie i oto Münch znalazł się w niedużym, prostokątnym hallu o przyćmionym świetle. Nie było tu drzwi ani okien, tylko na ścianach jaśniały duże, barwne hologramy jakichś niezwykłych, chyba niezziemskich krajobrazów.

Przewodnik poprowadził Müncha do przeciwległej ściany.

— Sześćset sześć — powiedział cicho.

Ściana rozstąpiła się i potok blasku zalał wnętrze hallu.

Münch uczył nagły przypływ lęku. Ujrzał zwrócone ku sobie ze wszystkich stron twarze ludzkie.

Stali na progu obszernej, okrągłej sali. Przypominała ona miniaturowy amfiteatr, którego stopnie, wypełnione siedzącymi ludźmi, otaczały półkolem niedużą estradę, połączoną teraz z hallem. Przeważali starcy i młodzież, ale nie brak było również kobiet i mężczyzn w średnim wieku.

Na estradzie przy stoliku siedział jakiś dostojny starzec, tłumacząc coś zebrany. Głos jego wydawał się Münchowi znajomy. Tak, poznał ten głos — był ten sam, którym przemawiał do niego gołąb.

Szmer przeszedł po sali. Starzec urwał w pół zdania i podniósł się pośpiesznie z krzesła. Zwrócony twarzą do Müncha a plecami do zebranych, stał chwilę, rozłożywszy ręce w powitalnym geście i zdawało się, że nie potrafi wymówić ani słowa.

— Witaj ojcze! — odezwał się wreszcie tonem uroczystym. — Witaj wśród nas, którzy walczymy o prawdę! Przedstawiam wam, koledzy — zwrócił się do zebranych — ojca Modesta Müncha! Człowieka, który pierwszy podał rękę naszym braciom w Kosmosie, i którego obecność tu, na Ziemi, przełamie wreszcie barierę nieufności i sceptycyzmu, jaką oficjalna nauka odgrodziła się od naszych badań.

Rozległy się oklaski, podjęte natychmiast przez całą salę. Starzec, klaszcząc, podszedł do Müncha, odczekał chwilę, potem uciszył zebranych podniesieniem ręki.

— Ojcze czcigodny! — zwrócił się do Modesta. — Niech mi będzie wolno, w imieniu zarządu „Caelestii” prosić ciebie o przyjęcie godności honorowego członka naszego stowarzyszenia!

Zapanowała cisza. Dziesiątki oczu wpatrzyły się w Müncha z przejęciem, zaś on, oszołomiony owacją, odczuwał ogromną radość a zarazem niepokój. Wiedział, że powinien teraz coś odpowiedzieć i jednocześnie zdawał sobie sprawę, iż od tego, co powie, może zależeć wszystko... Począł modlić się w myślach, prosząc Boga aby wskazał mu właściwą drogę. I wtedy właśnie

uświadomił sobie, że w rzeczy samej sprawa jest prosta. Istnieje zasada, której nie może złamać: nie wolno mu kłamać!

— Nie wiem... — powiedział z ulgą.

Starzec się zmieszał.

— Przepraszam, to nasza wina. Przecież pan, chciałem powiedzieć: ojciec nic nie wie o naszym stowarzyszeniu.

Siedząc na skraju estrady jasnowłosy młodzieniec spuścił głowę, skrywając uśmiech.

— Nie wiem — powtórzył Münch.

— Zaraz to naprawimy. Otóż jesteśmy ludźmi, którzy wierzą iż poza życiem ziemskim istnieje inne życie, doskonalsze, potężniejsze, piękniejsze. Szukamy na to dowodów i w starożytnych księgach, i w tym, co odkrył dotąd ludzki rozum... Kiedyś, jeszcze w ubiegłym stuleciu, prawdy o tym życiu szukała również nauka oficjalna, akademie, instytuty... Ale niebo milczało, więc sceptycyzm począł brać górę nad rozsądkiem. Owi uczeni, lecz ludzie małej wiary, powiedzieli sobie: jeśli nie ma dowodów, jeśli nie ma sygnałów ani wyraźnych śladów bytności istot pozaziemskich, to albo są to istoty tak potężne, tak dalece doskonalsze od ludzi, że ich działalność jest niedostępna naszemu rozumowi, albo po prostu nie istnieją. A nawet jeśli istnieją i potrafilibyśmy ich pojąć, to są tak daleko, że nigdy z nimi nie będziemy się mogli porozumieć. Tak czy owak na jedno wychodzi: zachowują się jakby ich nie było. Nie ma więc sensu zajmować się czymś, co może być tylko przedmiotem wiary. Na szczęście, nie wszyscy tak myśleli. Nieprawda, że nie było dowodów, trzeba ich jednak umieć szukać. Próbować różnych sposobów, nawet takich, które odrzuca i wyśmiewa dzisiejsza nauka. Na przykład widzenia transowe albo interpretacja mitów... Prawda, że i w naszych szeregach metody te budzą czasem wątpliwości. Możemy się zresztą zgodzić, że są to dowody kruche, niejednoznaczne, ale ich suma, ich różnorodność, nawet jeśli wśród nich są i fałszywe, umacnia nas w przekonaniu, że warto walczyć o prawdę. Dlatego założyliśmy przed laty nasze stowarzyszenie. A teraz ty przybyłeś i wiemy, że nie sceptycy lecz my mieliśmy rację. Teraz rozumiesz, ojcze czcigodny, dlaczego tak ogromną wagę ma twoja obecność wśród nas?!

— Rozumiem... Chyba rozumiem — poprawił się natychmiast. — Ale powiedzcie mi... dlaczego nie mówicie wprost o Bogu?

Starzec patrzył z uwagą w oczy Müncha.

— Nie brak wśród nas ludzi wierzących w Boga — powiedział nie spuszczając wzroku z zakonnika. A po chwili dodał: — Choć może nie wszyscy jednakowo Go pojmują...

— I chcecie abym ja... wam pomógł... odnaleźć prawdę? — zapytał Modest z przejęciem.

Starzec na moment jakby się zmieszał, ale zaraz pośpiesznie potwierdził:

— Tak, ojcze. Czy przyjmujesz godność honorowego członka naszego stowarzyszenia?!

— Przyjmuję!

Znów burza oklasków ogarnęła salę. Owacja trwała kilka minut, w końcu prezes podniósł rękę.

— Pozwólcie, że wręczę naszemu wielce czcigodnemu gościowi i nowemu członkowi honorową odznakę „Caelestii”. Jest to odznaka nowa, z nowym emblematem naszego stowarzyszenia, po raz pierwszy wręczana. Nie ma z pewnością nikogo godniejszego...

Dalsze słowa zagłuszyły oklaski. Prezes wziął ze stołu rulon z dyplomem i błyszczącą metalową płytkę.

— Jesteśmy tradycjonalistami — powiedział z uśmiechem, wręczając Münchowi dyplom. Do płaszcza na piersiach przycisnął mu błyszczący krążek, który wczepił się silnie w materiał.

— Na tym kończymy nasze uroczyste zebranie — zwrócił się do sali, lecz natychmiast z

wszystkich stron odezwały się głosy protestu:

— Jeszcze nie!... Pytania!... Pytania!... Miała być dyskusja!

— Nie wiem, czy ojciec Modest nie jest już zmęczony — próbował perswadować prezes. — czy w ogóle dziś ma czas. Może kiedy indziej...

— Nie! Nie! Miały być pytania!

Münch przerwał oglądanie dyplomu i rozejrzał się po sali. Czuł, jak wzbiera w nim siła i pragnienie porwania tych ludzi mocą swego słowa. Podniósł dłoń dając znak, aby się uciszono.

— O co chcielibyście mnie zapytać?

Prezes już mu podsunął krzesło.

— Niech ojciec spocznie! A więc otwieram dyskusję! Proszę zgłaszać pytania!

Uniosło się kilka rąk.

— Koleżanka była pierwsza! Proszę!

Wysoka, chuda dziewczyna podniosła się z miejsca.

— Jestem studentką medycyny. Chciałabym dowiedzieć się czegoś bliższego, bo nie znalazłam tego w opublikowanych dotąd materiałach, jak w czasie pobytu pana w obcym statku kosmicznym przebiegały niektóre procesy fizjologiczne. Czytałam, że pokarmów żadnych pan nie pobierał. I nie odczuwał głodu. A wydalanie? Czy też zanikło? Chyba nerki jednak pracowały? Czy może pan, w przybliżeniu, określić ilość wydalanego moczu?

Modest dopiero po chwili uświadomił sobie treść pytania. Twarz mu spąsowiała.

— To nieprzystojne pytanie... — odrzekł, patrząc gniewnie na dziewczynę. — Jak możesz, dziecko, pytać o to publicznie?

Prezes z wprawą przeciął dyskusję.

— Uchylam pytanie. Następne proszę.

Podniósł się starszy, barczysty mężczyzna.

— Chodzi mi o to, czy w czasie pobytu w tym zamkniętym pomieszczeniu, gdy księdza porwano, czy ksiądz nie odczuwał, że próbują wpływać telepatycznie na tok jego myśli?

— Kto?

— No... ci przybysze. Przecież gdyby ksiądz czuł, że mu narzucają swoje myśli, byłby to dowód nie tylko ich potęgi, lecz i podobieństwa do nas, ludzi.

Münch zamyślił się.

— Tak chyba w rzeczy samej było... — odpowiedział po chwili. — Ale Bóg czuwał nade mną i wysłannicy Szatana dostępu do mej duszy nie mieli.

Prezesowi wyraźnie było spieszno kończyć zebranie.

— Następne pytanie. Kto?

— Interesuje mnie sprawa stosunku gości z kosmosu do ludzi — odezwał się siedzący w pierwszym rzędzie brodacz. — Czy pańskim zdaniem odnosili się do pana jak do przedstawiciela obcej cywilizacji, czy jak do zwierzęcia doświadczalnego?

— Nie rozumiem.

— Po prostu: czy nie traktowali pana jak zwierzę?

Münch spojrział podejrzliwie na mężczyznę.

— Nie! Z pewnością nie! To były złe siły, ale ich władza była ograniczona.

— Dlaczego pan twierdzi, że to były złe siły?

— A czyż dobre moce mogą tak ohydny kształt przybrać?

W głębi sali ktoś zachichotał.

— Czy ktoś jeszcze chce zadać pytanie? — prezes nie dopuścił do dalszej indagacji. —

Koleżanka inżynier? Proszę!

— Z tego co nam wiadomo, ojciec nie miał okazji zetknąć się oko w oko z przedstawicielami pozaziemskiego Rozumu, można powiedzieć, we własnej osobie, a tylko z jakimiś ich tworam technicznymi. Nie jest jasna dla mnie sprawa napędu tych urządzeń. Czy może pan coś zaobserwował, co pozwala porównać te twory z jakimś znanym panu obecnie urządzeniem latającym?

— O czym mówisz, pani?

— Przede wszystkim mam na myśli owe „latające pająki”. Niech zresztą pan weźmie swoją honorową odznakę... Czy słusznie zaznaczono na tym rysunku strumień materii odrzutowej? Bo ja mam wątpliwości.

Münch sięgnął do piersi i odchylił blaszkę, tak aby mógł się przyjrzeć umieszczonemu na niej rysunkowi.

Raptownie zerwał się z fotela. Twarz jego pokryła się bladością, a dłoń, przytrzymująca metalowy krążek, poczęła drzeć. Gwałtownym ruchem oderwał odznakę od płaszcza i rzucił ze wstrętem na podłogę. Nie wyrzekł ani słowa i wśród ciszy, jaka ogarnęła skonsternowane audytorium, począł wolno cofać się ku ścianie, która rozstąpiła się przed nim samoczynnie, otwierając przejście do hallu.

Münch obejrzał się za siebie i dostrzegłszy przejście pognął w głąb hallu ku wyjściu. Za nim biegł jasnowłosy młody człowiek, próbując go zatrzymać.

— Co się stało? Dlaczego?

Modest szarpnął się.

— Precz!

Młody człowiek nie mógł pojąć reakcji Müncha. Był przerażony i zrozpaczony.

— Ale dlaczego?

Münch nie odpowiedział. Pozostawiając chłopca w niemym osłupieniu poszedł korytarzem ku windom. Ale zanim drzwi windy zdążyły się zasunąć, do wnętrza dźwigu wskoczył za Modestem jakiś mężczyzna ubrany w ciemny kombinezon, podobny do tego, jaki nosił Miksza.

— Na dół... — powiedział mężczyzna tonem raczej twierdzącym niż pytającym.

Münch skinął potakująco głową.

— Coś nie tak? — zagadnął nieznajomy gdy winda ruszyła. — To było do przewidzenia...

Münch już się opanował.

— Co... było do przewidzenia?

— Że się to zebranie tak skończy.

— Pan byłeś tam? — Münch spojrzał podejrzliwie na nieznajomego.

— Byłem. I szczerze mówiąc, czuję niesmak.

— Więc jesteś jednym z nich... — rozpoczął Münch, ale nieznajomy nie dał mu dokończyć.

— Nie należę do „Caelestii”. Zaprosił mnie Janas... Abym był świadkiem jego tryumfu... i odpowiednio zareklamował.

— Kim jesteś?

— Dziennikarzem.

— To znaczy chyba, że piszesz o tym, co dzieje się w świecie — przypomniał sobie wyjaśnienia Kamy.

— Mniej więcej...

Winda zatrzymała się.

— Chce pan wrócić do Instytutu?

— Tak.

— Odprowadzę pana.

Münch chciał w pierwszej chwili zaprotestować, ale pomyślał, że nie zaszkodzi dowiedzieć się czegoś bliższego o dziwnym stowarzyszeniu. Zdążył już bowiem nie tylko ochłonąć z gniewu, lecz nawet zaczął żałować zbyt gwałtownej reakcji. Jeśli bowiem ci ludzie błędzą, jeśli ulegają podszeptom Szatana, on, Münch, nie powinien ich tak zostawić.

Zaczęli schodzić po stopniach ku Odrze.

— Słyszałem wiele o panu... — podjął nieznajomy. — Ale kontakt osobisty to zupełnie co innego, jak im się udało pana ściągnąć?

— Ściągnąć?...

— No, w jaki sposób, przez kogo dotarli do pana? Jak pana zaprosili na to zebranie?

Nieznajomy zdawał się odgadywać myśli Müncha. Przecież ta sprawa była dla niego szczególnie niejasna i niepokojąca. Postanowił jednak zachować ostrożność.

— Przysłali do mnie gołębia... — urwał czekając jak zareaguje nieznajomy.

— Z radiofonem?

— Nie rozumiem.

— Mówiącego gołębia? — zaśmiał się nieznajomy, a Münch spojrzał na niego podejrzliwie.

— Tak — potwierdził niepewnie.

— Stara sztuczka... — nieznajomy machnął ręką lekceważąco.

— Sztuczka?

Przechodzili obok małej, samoobsługowej winiarni, mieszczącej się tuż przy moście spacerowym.

— Może wstąpimy na szklaneczkę? — zaproponował nieznajomy. — Przy winie lepiej się rozmawia. Ma pan przy sobie peko?

— Peko?

— Pekoder.

— Mam. Ale dlaczego pytasz, panie?

— Niewola, bracie, niewola, jak mawiają pijący — zaśmiał się nieznajomy. — A może pan nie pije?

Münch wyobraził sobie smak wina. Jakże dawno nie czuł go w ustach.

— Wino nie grzech, byle z umiarem — powiedział sentencjonalnie, zaglądając w otwarte drzwi winiarni. Urządzone po staropolsku wewnątrz nie odpychało obcością nowoczesnego świata!

— Z umiarem... — powtórzył nieznajomy. — Taka jest właśnie intencja tych, którzy ten kaganiec nałożyli. Możesz, bracie, wypić szklaneczkę, ale jak zażadasz drugiej tego samego dnia, to już dostaniesz pół na pół z wodą. Następna to aż trzy czwarte wody, potem siedem ósmych, i tak dalej... Czyli nawet dwóch szklaneczek do końca dnia nie wypijesz...

— Dlaczego?

— Automat znakuje na pekoderze gdy przyciskasz do kontrolera, a zarazem sprawdza czy są znaki poprzednie, to znaczy: Ileś już wypił. Te znaki, co prawda, nie są trwałe, ale czysty jesteś dopiero na drugi dzień. Byli tacy, co próbowali różnych sposobów aby te ślady na pekoderze szybciej zniknęły, ale nic z tego nie wyszło, a nawet odwrotnie — trzymają się dłużej. Jest tylko jeden sposób dla tych, co chcą się zabawić lepiej: ciułać przez wiele dni, odlewać pierwsze szklaneczki, a pić tylko te drugie — rozcieńczone. Ale to wymaga silnej woli... Zresztą wino tak zlewane kwaśniej... To już raczej wódka, koniak... Widzisz więc, bracie, do czego może też służyć pekoder. Niby wszystko wolno, wszystko można dostać, ale, bracie... z umiarem.



Lokal był prawie pusty — tylko w głębi przydługim stole siedział jakiś mężczyzna i popijał wino.

Podeszli do automatu w kształcie wielkiej beczki. Nieznajomy począł czytać spis trunków, lecz nazwy niewiele mówiły Münchowi. Poszedł więc za przykładem towarzysza, naśladowując wszystkie jego czynności. Po chwili siedzieli już przy stoliku w zacisznym kącie salki.

— Tak oto peko stał się narzędziem swego rodzaju reglamentacji — powiedział nieznajomy podnosząc do ust czarkę.

Münchowi chodziło jednak przede wszystkim o wyjaśnienie niezrozumiałych zdarzeń, których był uczestnikiem.

— Mówiłeś, panie, że ten gołąb to sztuczka...

— To pan nie wie?! Racja. Skąd ma pan wiedzieć. To prosta sprawa. Bioelektronika. Wiadomo, dlaczego gołąb zawsze odnajduje drogę do domu. Kieruje się polem magnetycznym. Ma, można rzec, kompas w głowie. I to działający bardzo precyzyjnie. Wystarczy więc odpowiednio zmieniać to pole, aby kierować gołębiem. Oczywiście, nie na ślepo, wystarczy gdzieś mu podwiesić kamerę telewizyjną. Reszta to już drobiazg: mikrofon, głośnik, układ nadawczo-odbiorczy...

— Bardzo to dziwne...

— To stary sposób. Swego czasu próbowano to nawet wykorzystać do celów wojennych. Na szczęście, nie było jeszcze wtedy odpowiednich modyfikatorów pola, a później, kiedy je już skonstruowano i ulepszono, przyszło powszechne rozbrojenie i pozostało tylko hobby... A z panem kto rozmawiał przez gołębia?

— Chyba... ten, który przewodniczył.

— Janas. No, oczywiście. To w jego stylu. Wszelkie chwytły dozwolone. Świetnie przy tym umie czarować...

— Czarować? — zaniepokoił się Münch, ale nieznajomy, podniecony winem, nie zwrócił na to uwagi.

— Co oni tam naknócili?

— Naknócili?

— Pan się obraził o tę odznakę. Chyba dobrze zrozumiałem? O co właściwie szło?

— To nie obraza... — zaprzeczył Münch gwałtownie. — Ja wiem, postąpiłem źle, że odszedłem. Trzeba było zostać i wytłumaczyć im, że to bluźnierstwo, że grzech czcić taki znak.

— Nie rozumiem... Jaki znak? Na tej odznace?

— Tak. To znak szatański!

— Ten pająk? Rozumiem... Niech ci będzie... — nieznajomy kiwnął głową i skrzywił się lekceważąco.

— Nie wierzysz, panie?

— W co ja wierzę to wierzę i nic nikomu do tego — odparł zaczepnie, lecz zaraz zmienił temat. — Janas wie najlepiej w co wierzyć należy... Hi! Hi! Hi! — zaśmiał się do swych myśli, wyraźnie już podniecony winem. — Tyle, że tym razem przedobrzył!... Myślał, że sobie pana tym zjedna, że owinie około palca. A tu masz! Odwrotnie! Takie głupstwo i już fiuu... po całej misternie tkanej sieci. Pajączek mu wszedł w drogę... Hi... hi... — znów się zaśmiał.

Münch wiedział, że powinien zaprotestować, wytłumaczyć, że ten znak, znak diabła, to nie głupstwo, lecz sprawa wielkiej wagi. Rozsądek nakazywał jednak nie hamować lecz skłaniać nieznajomego do wynurzeń, tak aby dowiedzieć się jak najwięcej.

— Czego oni naprawdę chcieli ode mnie? — zapytał, przysuwając się bliżej do nieznajomego.

— Oni? Jacy oni? To zależy kto. W „Caelestii” jest sporo ludzi uczciwych, rzeczywiście

szukających prawdy. I to w oparciu o rzetelne badania i solidną wiedzę. Choćby ci, którzy pytali... Ale są inni, którzy tylko albo gonią za sensacją, albo mają mistyczne ciągoty... Albo też tacy jak Janas. Jemu pan jesteś potrzebny po to, aby mógł powiedzieć komu trzeba: „On jest z nami” i odpowiednio to zareklamować. Za parę tygodni odbyć się ma światowy zjazd „fakonów”. Wyobraź sobie bracie, co by było, gdyby Janas tam oświadczył: „Naszym członkiem jest Modest Münch, pierwszy, realny, namacalny dowód kontaktu!” Prezesura światowej organizacji tych stowarzyszeń murowana! A to się bardzo opłaci! I zaszczyty, i podróże, i koneksje... A tymczasem pajęczek mu wszedł w drogę... i nici. Istna komedia...

— Więc mówisz, panie, że tych ludzi, to bractwo, jeśliby nie ten Janus... można by poprowadzić drogą prawdy? Że to ludzie uczciwi, choć błędzący? — podjął z nadzieją.

Nieznajomy patrzył na Müncha jakoś dziwnie — ni to ze współczuciem, ni to z ironią.

— Ot, co ci powiem, bracie: ty sobie nimi głowy nie zawracaj — odrzekł, niemal zupełnie trzeźwy. — Oni tam innej, niż ty myślisz, szukają prawdy.

— Ja im właściwą drogę wskażę! Są wśród nich tacy co wierzą w Boga... Janus chyba nie kłamał?...

— Naiwny jesteś, bracie. Jeśli nawet są tam tacy, co szukają Boga we wszechświecie, nie jest to ten sam Bóg, o którym pan myśli.

— A ty, panie, czego szukasz? Jakiej sprawie służysz? Czego pragniesz?

— Widzisz, bracie... — zamyślił się. — Gdybym mógł, rzuciłbym to wszystko... I poszedł z „wolnymi”... Ale nie mogę. Szkoda mi tego i owego... I ludzi, którzy na mnie liczą, i żony, i dzieci... A nawet domu z klimatyzacją i tej lampki wina wydawanej przez automat za okazaniem pekodera... Jestem za wygodny...

— Kim są ci „wolni”?

— A tam... Tacy wariaci... Myślą, że jak zniszczą pekoder i ruszą w świat na własnych nogach, to już są wolni jak ptaki... Ale czy ptaki są rzeczywiście wolne?... A peko to dobra rzecz! Nie zgubisz się, bracie. Śmierć ci nie straszna, bo cię szybko odnajdą i reanimują.

Łatwo też stwierdzić kto zacz. Można nawet dowiedzieć się ile kto dziś wina wypił, jak my na przykład... Pekoder to znak, żeś społeczności przypisany i opatrność czuwa nad tobą. Że cię nic złego na drodze nie spotka...

— Opatrność? — Münch znów stwierdził, że nie rozumie o czym mówi nieznajomy.

— Opatrność, ale inna niż pan myśli. To opatrność nasza, rodzima, ziemską. Nie niebieska, choć po niebie lata...

Podniósł się z ławy.

— Napijemy się jeszcze? Rozwodnionego! Rozwładniajmy się bracie!

— Nie będę już pił wina — odrzekł Münch. — Wystarczy.

— Szkoda. *In vino veritas!*

— Muszę wracać.

— Odprowadzę pana.

Ruszyli przez most, potem bulwarem w kierunku gmachu Instytutu.

Rozmowa już się nie kleiła. Müncha coraz bardziej opanowywało uczucie goryczy i zawodu. Jego towarzysz też stracił ochotę do gadania i aż do samej bramy Instytutu nie zamienili ze sobą słowa.

— Czy mogę wam, panie, w czymś pomóc? — zapytał Münch, gdy się żegnali.

— Mnie?! — zdziwił się nieznajomy. — Niech pan nie bierze serio tego, co mówiłem o sobie...

— Teraz pan nie mówi prawdy...

— Może...

— A Janusa to należałoby... — rozpoczął Münch i urwał natychmiast...

— ...spalić — dokończył nieznajomy i zaśmiał się. — Powtórzę mu to, jak go spotkam.

## XI. Sprzężenie zwrotne

Drzwi były uchylone. Balicz stanął w progu i zawahał się. Oparty o balustradę, przygarbiony, z głową wtłoczoną w ramiona Münch tkwił nieruchomo w rogu tarasu.

Stan psychiczny zakonnika nie sprzyjał z pewnością zamiarom młodego lekarza. Balicz nie miał jednak wyboru — czasu pozostawało niewiele.

— Mod! — zawołał ściszym głosem.

Münch poderwał się gwałtownie, jakby szarpnięty za ramię. Oczy jego, w pierwszej chwili rozszerzone zdziwieniem, przybrały z nagłą wyraz gniewu, pomieszanego z niepokojem.

— Czego chcesz? — rzucił z jawną wrogością.

— Stefan przylatuje dziś wieczorem...

— Wiem.

— Wasza podróż do Rzymu trochę się odwleka. Wiem, że się tym denerwujesz, więc może chciałbyś na razie obejrzeć choćby tylko holowizję Rzymu? Mam dla ciebie taśmy.

— Znam Rzym. Nie oszukasz mnie!

— Ależ Mod! Nie bądź taki podejrzliwy. Pomyślałem, że z pewnością interesuje cię, jak dziś wygląda Rzym. Na taśmie są również zdjęcia z jakichś uroczystości kościelnych w Bazylice Św. Piotra.

Münch postąpił parę kroków w kierunku Balicza.

— Gdzie... to można zobaczyć? — zapytał nieco spokojniejszym tonem.

— W sali projekcyjnej. Tam, gdzie ci Kama pokazuje różne obrazy. Wiesz przecież...

— I mówisz, że to naprawdę Rzym?

— Możesz się przekonać... No, jak? Chcesz?

Zakonnik zwlekał z odpowiedzią. Patrzył przenikliwie w twarz lekarza, jakby chciał z niej wyczytać myśli.

— Widzę, że mi nie ufasz — podjął Balicz. — I dlaczego? Chodzi ci jeszcze o tamto?... Przecież cię wtedy nie oszukałem. Chciałem ci tylko pokazać, jak wygląda prawda... I o to masz do mnie żal?

— Nie — zaprzeczył pospiesznie. — Ale... nie wiem, ktoś ty?

— Więc się mnie boisz?

— Nie boję! Choćbyś był nawet... — nie dokończył wpatrując się uporczywie w oczy Balicza.

Lekarz uśmiechnął się.

— Słuchaj, Mod! Tyś stary, wytrawny spec od spraw piekielnych... Diabła na odległość powinieneś wyczuć, egzorcyzmami przepędzić. A ty jakoś nic. Głowę sobie łamiesz, zdrowie tracisz... Czyżbyś nie tylko mnie i Kamie nie ufał, ale już i samemu sobie?

Zakonnik milczał. Nie patrzył na lekarza, lecz na własne splecione nerwowo dłonie.

— Gdybyś chciał mieć do, mnie choć trochę zaufania — podjął Balicz. — Być może potrafiłbym cię przekonać, iż nie jestem wysłannikiem piekieł ani nędznikiem, który zaprzedał duszę diabłu. Ale ty tylko boisz się wszystkiego i nie chcesz nawet, aby ci pomóc w zrozumieniu prawdy.

Münch uniósł wzrok na lekarza.

— Chcę! — powiedział z determinacją.

— I nie boisz się?

— Nie.

— A może jednak... Do tego konieczne są maszyny. A ty ich nie lubisz. Boisz się ich. Lepiej zrezygnować...

Wyraz wahania pojawił się na twarzy Müncha, ale tylko na moment.

— Po co tak mówisz? — zapytał marszcząc brwi.

— Nie chcę cię do niczego zmuszać. Niech tak zostanie, jak jest.

— Nie! To ty się boisz... że nie potrafisz... przekonać — w głosie Müncha zadźwięczała ironia.

— Twoje słowa jak dym...

Balicz wydawał się zaniepokojony.

— Źle mnie zrozumiałeś, Mod. Mówiłem, że być może cię przekonam... Ale oczywiście nie gwarantuję, że potrafię... — tłumaczył się niezręcznie. — A jeśli się nie uda? Może lepiej jak wróci Kama...

— Po co mówiłeś? Myślałeś, że się bać będę. Że nie zechcę! — podjął Münch z nieukrywaną satysfakcją. — Gdzie są owe maszyny? Pokaż je!

— Może jednak przedtem obejrzysz taśmę z Rzymem?...

— Najpierw mnie przekonaj! Przymierz się!

— Spróbuję... — powiedział Balicz z ociąganiem.

\*

Pokój był niewielki, bez okien. Ściany i sufit jarzyły się łagodnym, mlecznym światłem. Jedyne sprzęty stanowiły dwa fotele o dziwacznie powyginanych oparciach oraz niski podręczny stolik.

— Siadajmy! — powiedział Balicz zamykając drzwi.

Münch rozejrzał się podejrzliwie po pokoju.

— Mówiłeś o maszynach... — rozpoczął niepewnie i urwał.

— Siadajmy! — powtórzył lekarz. — A może jednak zrezygnujesz z tej próby? — dodał widząc wahanie zakonnika.

— Nie! Powiedz, co chcesz zrobić?

Balicz rozparł się wygodnie w fotelu.

— Już powiedziałem. Chcę, abyś się przekonał, kim jestem. Niestety, nie ma jeszcze takich maszyn, z których pomocą można byłoby czytać myśli. Choć niektórzy sądzą, że w przyszłości uda się i to osiągnąć! Można jednak poznać czyjeś uczucia, a to już coś znaczy.

Münch nie spuszczał wzroku z lekarza.

— Mogę poznać twoje uczucia? — zapytał po chwili, siadając ostrożnie na brzegu fotela.

— Nie chcę, abyś posądził mnie o jakieś czarnoksiężskie sztuczki. Spróbuję więc ci wytłumaczyć, jak to jest możliwe. Czy wiesz, że siedliskiem myśli i uczuć jest mózg?

— Kama mówiła.

— Otóż poznano już dobrze, gdzie mieszczą się różne uczucia, co je wywołuje, i zbudowano maszyny pozwalające obserwować to, co dzieje się w mózgu.

— I ja będę wiedział, co dzieje się w twojej głowie?! — wypieki pojawiły się na policzkach Müncha.

— Tak. Będziesz wiedział, jakie są moje uczucia.

Powieki zakonnika zwęziły się raptownie.

— A skąd będę wiedział, że to prawda? Że to twoje uczucia?

— Bardzo słuszne pytanie — podchwycił Balicz. — Otóż spróbuję cię o tym przekonać poprzez pewne próby, które sam przeprowadzisz. Pytałeś o maszyny. Mieszczą się one w fotelach, na których siedzimy.

Münch zerwał się gwałtownie z miejsca. W oczach jego znów pojawiły się złe błyski.

— Jeśli się boisz... — rozpoczął Balicz i urwał wyczekująco.

Zakonnik walczył chwilę ze sobą, wreszcie usiadł na powrót w fotelu.

— Słuchaj, Mod! — podjął łagodnie lekarz. — Wiem, że posądzasz mnie o najgorsze. Ale musisz się zdecydować. A przynajmniej wysłuchać mnie do końca. Rozmawiałeś dziś z Kamą, choć znajduje się ona za oceanem. To nie żadna sztuka czarnoksięska. Jej głos, jej obraz zostały przesłane na tak wielką odległość dzięki urządzeniom, w których nie ma niczego cudownego. Po prostu ludzie nauczyli się budować takie maszyny. Otóż nauczyli się również budować takie maszyny, które umożliwiają stwierdzenie, co się dzieje w mojej głowie, i przesłanie o tym wiadomości wprost do twego mózgu. Wyrażając się ściślej — będziesz mógł odczuć to, co ja odczuwam. Możesz zresztą zaraz to sprawdzić. Wystarczy, że ja i ty oprzemy głowy we wgłębieniach na oparciach foteli.

Münch spojrzał niepewnie za siebie.

— Spróbuj! Nie masz czego się obawiać. Łączność ulega natychmiast zerwaniu, jeśli tylko któryś z nas uniesie głowę z oparcia. A więc połączenie zależy od ciebie. Chcesz spróbować?

Wyraz niepewności pojawił się na twarzy zakonnika.

— Nie wiem...

— Możemy przeprowadzić na początku bardzo prostą próbę.

Lekarz sięgnął do kieszeni i położył na stole niewielkie pudełko. Otworzył i wydobyl z niego długą szpilkę.

— Oprzyjmy obaj głowy, a ja ukłuję się w rękę.

Münch wahał się. Widać było, że usiłuje przezwyciężyć lęk.

— No! Chcesz spróbować? — ponaglał Balicz.

— Chcę... — wyszeptał z wysiłkiem zakonnik.

Potem szybkim ruchem przechylił się i oparł głowę.

— Czujesz? — zapytał lekarz.

— Tak, ukłucie... — oczy jego wyrażały najwyższe zdumienie.

Balicz wyjął z pudełka przezroczystą sztabkę i dotknął jej językiem.

— A teraz?

— Sól.

— Podnoszę teraz głowę. Co czujesz?

— Nic.

— Łączność została zerwana. Rozumiesz teraz?

— Tak.

— Może więc spróbujesz zadawać mi pytania, a ja będę na nie odpowiadał. I pamiętaj: to, co odczujesz, będzie moim odczuciem. Wiem, że nie łatwo pamiętać o tym. Tu nie chodzi już o tak prymitywne, proste wrażenia jak ból i smak. Pamiętaj więc: jeśli odczujesz niepokój, to znaczy, że ja go odczułem. Jeśli zadowolenie — to również ja, a nie ty. Wiem, że wydaje ci się to niepojęte, ale

tak jest i nie ma w tym żadnego cudu ani magii. Tak samo jak w tym, że możesz widzieć Kamę i rozmawiać z nią przez ocean. No, więc? Jesteś gotów?

Münch skinął głową. Jego splecione na kolanach dłonie drżały nerwowo. Nie próbował już ukrywać wrażenia, jakie na nim wywarł eksperyment.

— Możesz pytać! — powiedział lekarz starając się zachować jak największy spokój.

Münch opadł w głąb fotela i przymknął powieki. Malujące się dotąd na jego twarzy napięcie jakby zelżało.

— Słucham! — rzucił Balicz zachęcająco.

Zakonnik jakby przełknął coś z wysiłkiem.

— Komu służy Kama? — wyszeptał tak cicho, że w pierwsze; chwili lekarz nie zrozumiał jego słów.

— Co chcesz wiedzieć o Kamie? Mów głośniej!

— Kim ona jest? Komu służy? Bogu czy... — urwał raptownie. Twarz jego przybrała wyraz zaskoczenia, potem wzrastającego lęku.

Balicz uczył nieprzyjemny dreszcz.

— To nic. Uspokój się! To tylko chwilowe... — starał się nadać głosowi łagodne, pełne serdeczności brzmienie.

— Nie! Nie! — zachrypiał Münch.

Balicz szukał gwałtownie w myślach jakiegoś pogodnego, działającego kojąco tematu, ale jak na złość niczego nie mógł sobie przypomnieć.

— Spokojnie, Mod! — powiedział siląc się na opanowany, stanowczy ton.

Ale było już za późno. Münch zerwał się gwałtownie z fotela. Wyciągniętą przed siebie ręką czynił w powietrzu znak krzyża, jakby chciał się nim zasłonić przed Baliczem. Oczy jego wyrażały zgrozę i gniew.

Balicz wstał.

— Ależ, Mod! Uspokój się! To nieporozumienie! — podjął rozpaczliwą próbę szukania wyjścia z sytuacji. Ale zakonnik go nie słuchał.

— Odejdź! Przepadnij! — wyrzucił z nienawiścią.

— Zaraz ci wytłumaczę. To moja wina. To tylko sprzężenie zwrotne. Po prostu zaniepokoiłem się o ciebie i ty przejąłeś to uczucie...

— Bóg mnie nie opuścił!

Balicz postąpił krok w kierunku Müncha, lecz ten począł cofać się ku drzwiom.

— Precz! Precz! Przepadnij! — powtarzał w jakiejś obłądnej zaciekleści.

Wreszcie dotarł do wyjścia. Nie spuszczać wzroku z lekarza, po omacku odnalazł klamkę, szarpnął raptownie drzwi i wyskoczył na korytarz.

Balicz stał na środku pokoju. Był wściekły na Müncha, na siebie za swą głupotę, na Kamę, która swą naiwną wiarą w rozsądek doprowadziła tego nieszczęśliwca do takiego stanu. A teraz będzie jeszcze miała pretensję o eksperymentowanie bez jej wiedzy.

Chyba, że się nie dowie... Można wątpić, aby miał do niej aż takie zaufanie. Zwłaszcza teraz...

W hallu nie było nikogo. Münch odczekał, aby się upewnić, czy ktoś go nie zauważył. Potem chyłkiem przebiegł pod ścianami do drzwi wejściowych.

Na ulicy panował ożywionych ruch. Właśnie skończyły się przedpołudniowe zajęcia na uniwersytecie i z pobliskich gmachów uczelnianych wypływał barwny potok młodzieży.

Münch wmieszał się w strumień przechodniów zmierzający ku stacji Szybkiego Ciągu Podziemnego. Czuł, jak otacza go coraz większy tłum chłopców i dziewcząt, a śmiech, okrzyki i głośne rozmowy wlewały się w uszy denerwującym szumem niezrozumiałej mowy. Początkowo wydało mu się, iż wszyscy na niego patrzą, że o nim mówią, że wołają go, czy nawet lżą, ale wkrótce pojął, że to tylko złudzenie. Nikt nie zwracał na niego uwagi i to poczynało budzić w nim poczucie bezpieczeństwa. Zajęci własnymi sprawami młodzi ludzie spieszyli w głąb podziemia, a on dał się nieść tej rzece ludzkiej — byle prędzej, byle dalej...

Szybko stracił orientację w podziemnym labiryncie. Przeskakując z pasa na pas wraz z grupkami przechodniów, zmieniał raz po raz kierunek, nie wiedząc, gdzie go wiodą mknące tunelami chodniki.

Tak upłynęła godzina, może dwie. Czuł chaos w głowie i rosnące zmęczenie. Grupki studentów już dawno rozplynęły się wśród przechodniów zdążających w różnych kierunkach.

Stopniowo, z początku nie zdając sobie sprawy, począł wybierać pasy chodnikowe o mniejszym nasileniu ruchu gdzie najczęściej przechodniami byli ludzie starsi, ubrani nie tak skąpo i barwnie jak młodzież. Potem przyszła refleksja: jeśli rzeczywiście ma się uwolnić, musi być sam. A więc powinien zejść z pasów i wyjść na powierzchnię tam, gdzie nikt nie wysiada.

W praktyce odnalezienie takich miejsc nie było sprawą łatwą, ale po pewnym czasie, gdy baczniej począł obserwować ruch przechodniów oraz znaki orientacyjne na ścianach tunelu i stacji, udało mu się istotnie trafić na mniej uczęszczane odgałęzienia podziemnej sieci komunikacyjnej. Teraz liczba współtowarzyszy wędrówki topniała szybko. Jeszcze tylko jakaś para rozprawiających z ożywieniem młodych ludzi przeskoczyła na pas o większej szybkości i zniknęła mu z oczu. I oto pozostał sam.

Najbliższa, niewielka stacyjka była opustoszała. Wąskie ruchome schody wyniosły go na powierzchnię.

Przed stacją również nie było nikogo. W oddali błyszczały w słońcu wysokie budowle Radowa. Za budynkiem stacyjnym, aż po widnokrąg, biegł rząd ogromnych, sięgających wysoko w niebo przezroczystych wież.

Był więc za miastem. Na prawo dostrzegł szeroką aleję wysadzaną topolami, a za nią długi nasyp. Wokół panowała cisza, tylko od strony wież dobiegał z daleka miarowy przytłumiony pomruk.

Chwila wahania i ruszył skrajem drogi ku nasypowi. Przeskoczył płytki rów i począł wspinać się po zboczach. Czuł, jak mu serce gwałtownie kołacze w piersi.

Wreszcie stanął na szczycie nasypu. W dole, za rzadkimi zaroślami, płynęła rzeka.

Rozejrzał się jeszcze raz wokoło, czy go ktoś nie widzi, i zbiegł z nasypu w chaszczę. Tu na pewno nikt go nie mógł dostrzec.

Zatrzymał się w krzakach w pobliżu brzegu umocnionego kamiennym usypiskiem.

Czyż nie sam Bóg zaprowadził go aż tu, aby mógł uwolnić się z szatańskich okowów?...



## XII. Wyzwanie

Pokój był pusty. Na tarasie również Modesta nie było. Miksza próbował odnaleźć go drogą namiaru pekoderowego, ale „osobisty sygnalizator obecności” nie nadawał sygnału zwrotnego. Fakt ten mógł być wytłumaczony tylko trojako: albo posiadacz pekodera znajdował się w odległości co najmniej 300 km od Radowa, albo przebywał w szczelnie zaekranowanym pomieszczeniu, albo jego sygnalizator uległ uszkodzeniu. Można było to sprawdzić dając sygnał na sieć satelitarną poprzez pogotowie awaryjne.

Po kwadransie przyszła odpowiedź: na dwie godziny przed przylotem Mikszy z Nowego Jorku pogotowie awaryjne odebrało „sygnał uszkodzenia” i wysłano natychmiast według namiaru lokalny patrol poszukiwaczy. Odnalazł on po śladzie radioaktywnym zniszczony pekoder wśród zarośli nad brzegiem Odry, w pobliżu końcowej stacji zachodniego odcinka radowskiego ciągu podziemnego. Żadnych śladów katastrofy czy nieszczęśliwego wypadku nie stwierdzono, nie było więc powodów do alarmu. Teraz, gdy Miksza podał numer pekodera Müncha, okazało się, że jest to właśnie ten sam aparat.

Uszkodzenie przypadkowe trzeba było uznać za nieprawdopodobne. Wyglądało na to, że Münch świadomie zniszczył sygnalizator, zresztą sposobem bardzo prymitywnym, rozbijając go kamieniem i wrzucając do rzeki. W tej sytuacji Miksza połączył się z Nowym Jorkiem, wzywając do aparatu Kamę.

Zniszczenie pekodera była dla Kamy ciężkim ciosem. Nikt chyba nie był w stanie lepiej od niej ocenić, co oznaczał ten fakt. Prawda, że Modest ostatnio buntował się coraz bardziej przeciw temu, co widział i słyszał. Ale co innego oznaczał opór psychiczny wobec prób narzucenia obcej mu koncepcji świata, a co innego czynne wystąpienie przeciw temu światu.

— Chyba przesadzasz jednak? — próbował tłumaczyć jej Miksza, gdy zwierzyła mu się ze swych obaw. — Może przystał do „ptaków”? Zdarza się przecież, że uciekający z domu chłopcy niszczą pekodery, aby rodzice nie wiedzieli, gdzie ich szukać. Modest też jest trochę jak dziecko. Może jednak tylko o to mu chodziło...

— Nie! Nie! To zupełnie co innego. Czy wiesz, czym był dla niego pekoder? Próbowałam mu kiedyś wytłumaczyć, ale on zupełnie nie chwyta problematyki technicznej. Dla niego pekoder to urządzenie cudowne, a raczej nawet nie urządzenie, ale, wyrażając się obrazowo, jeszcze jedna postać... anioła stróża.

— Prawdę mówiąc, pewnych analogii można się tu doszukać... Lecz jeśli byłoby tak, jak mówisz, wówczas nie zniszczyłby aparatu. Czy możliwe, aby ktoś, kto wierzy niezachwianie w anioła stróża, ze wszystkimi jego niezwykłymi cechami, miał odwagę go... zabić?

— Otóż to! — podchwyciła Kama. — Znam dobrze Modesta, a przynajmniej zdaje mi się, że wiem, co się w jego głowie dzieje. Według niego pekoder może służyć tylko albo siłom niebieskim, albo... piekielnym. Innych możliwości nie ma. Niemal do ostatnich dni wydawało mi się, iż wchodzi w grę tylko pierwsza z tych możliwości. Teraz, niestety, należy przyjąć drugą.

— No, dobrze. Niech będzie, że on rozbijając pekoder zniszczył jakiegoś tam diabła, czy też raczej jego narzędzie, bo chyba diabłom przypisuje on również atrybut nieśmiertelności. No i cóż z tego? Czy zmieni to w czymkolwiek jego sytuację? Przekona się wkrótce, że to nie miało sensu.

— On zaczyna walczyć z naszym światem...

— To sprawa z góry przegrana. W ciągu paru dni będzie zmuszony skapitulować. Myślisz, że jak go głód przycisnie — nie skorzysta z automatu spożywczego? Choćby wierzył, że to dzieło szatana?

— Nie masz racji. Głodem do niczego się go nie zmusi. Nie o to jednak chodzi. Nie sądzę, aby próbował podjąć walkę z całym światem technicznym. Nie tu tkwi istota problemu. Czy nie rozumiesz? Na to, aby zdecydował się uderzyć kamieniem w pekoder, trzeba było nie tylko odwagi... Ponieśliśmy klęskę! My wszyscy! A przede wszystkim ja! To już nie jest tylko nieufność, lecz zadokumentowanie przekonania, że reprezentujemy to, co on potępia. A ściślej, co według niego potępia Bóg. Nie mogę sobie darować, że kazałam mu czekać, że zostawiłam go samego. Prosił, abym wróciła... Chciał pomocy. Wtedy nie wszystko jeszcze było stracone...

Miksza zasępił się.

— Myślisz, że on już nie wróci?

Skinęła głową.

— Więcej. Zaczynam obawiać się, że Balicz ma rację. Że w ogóle sprawa jest beznadziejna i nie obejdzie się bez terapii neurofizjologicznej, bez ingerencji w głąb układu mózgowego. Ale Nowakowi Moda nie oddam. Nie oddam! — uniosła nagle głos. — Pozostała jeszcze Kalkuta. Garda mnie z pewnością poprze. Może jeszcze nie wszystko stracone.

Patrzył na nią ze współczuciem.

— Może zresztą się mylę — podjęła po chwili już spokojniej. — Może po prostu wybrałam złą drogę? Tak czy inaczej nie ułatwi to dalszej pracy tym, którzy ją po mnie podejmą. Zmarnowałam wszystko niepotrzebnie... Zupełnie niepotrzebnie! Powinnam była z nim jechać.

— Widzę, że bardzo się tym przejęłaś.

— Tak. Może wyda ci się to dziwne, ale... przywiązałam się do niego. Powiesz: królik doświadczalny. Może to jest bardzo egoistyczne i płytkie, ale powiedziałam sobie, że dopnę tego, iż zrozumie. Chciałam, aby zrozumiał o własnych siłach, bez ingerencji fizycznej. Byłam dumna z każdego sukcesu, lękałam się, gdy stawał przed nową przeszkodą. Wierzyłam w niego.

Zapanowało milczenie.

— O czym myślisz? — zapytała Kama.

Spojrzał na nią niepewnie.

— O tobie... — powiedział niemal szeptem. — Widzisz... — podjął z wyrazem zakłopotania. — Chodzi mi o twój stosunek do Modesta. Zastanawiałem się, czy można pokochać takiego człowieka...

— Pokochać?! — spojrzała na niego zdziwiona.

Zmieszał się.

— Masz rację. Może to zbyt silne słowo. Raczej... polubić. Czy można go polubić? Nawet gdyby nie był taki... nienaturalny. On przecież zabijał! Skazywał ludzi na tortury! Na śmierć!

Poruszyła się niespokojnie.

— Widzisz... To nie tak. To człowiek... jakby chory. Chory i bardzo nieszczęśliwy. Miota się w sobie. Nigdzie nie znajduje spokoju. Co krok spadają na niego nowe ciosy. Nie może sobie znaleźć miejsca. Nie potrafi. On żył i żyje jeszcze w piekle. W rzeczywistym piekle samoudręki. Czy my w ogóle, my ludzie dwudziestego pierwszego wieku, zdajemy sobie sprawę z ogromu przepaści, jaka nas dzieli od czasów Modesta Müncha. Czy można więc potępiać go za to, że jest taki, jaki jest? Raczej chyba współczuć. Ja właśnie...

Umilkła patrząc na Miksę z wyrzutem.

— Rozumiem... — odezwał się po chwili i jakby usprawiedliwiając dodał: — To wszystko tak się jakoś zbiegło... Nie wiem sam, co mówię...

— To ja jestem wszystkiemu winna — stwierdziła z goryczą. — Wszystko zmarnowałam. Powinnam przewidzieć z góry... Teraz już jest za późno.

— Patrzysz zbyt czarno! — próbował ją pocieszyć. — Sądzę, że on powróci, i to w ciągu kilku dni. Po pierwsze: nie da sobie sam rady, po drugie: jesteś dla niego czymś więcej niż lekarzem...

— Nie wiem. Czasem powoduje to reakcję wręcz przeciwną. A jeśli chodzi o to, że nie da sobie rady, to też nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków. Odbył już ze mną kilka wycieczek, parę razy wychodził sam na spacer. Jest dostatecznie inteligentny, by korzystać ze zdobyczy współczesności. Łatwo przyswaja sobie zasady gry, chociażby doszukiwał się w niej nie wiadomo czego. Boję się raczej, aby nie popełnił jakiegoś głupstwa...

— Nie zdąży. Wątpię, aby potrafił ukryć się tak dobrze, by nie można było go odnaleźć w ciągu paru dni. Im szybciej zresztą zacznie „działać”, tym szybciej będzie odnaleziony. Czy ty zresztą naprawdę nie domyślasz się, gdzie on może być?

— Domyślam się. I dlatego właśnie...

— Cóż on może zrobić? Nawet jeśliby zniszczył jeden albo dwa automaty... Na to, aby spowodować jakąś większą katastrofę, trzeba sporej wiedzy technicznej...

— Nie o tym myślę. Jest zbyt ostrożny, aby próbował od razu burzyć świat, w którym żyje. Choćby nawet traktował go jako wytwór diabelski...

— A więc sądzisz, że uciekł tylko przed nami?

— Nie tylko. On raczej nie ucieka, a szuka...

— Czego?

— Swego Boga. A ściślej: odpowiedzi na pytania, które budzą w nim coraz większy niepokój.

— Więc dlaczego się o niego martwisz?

— Czy myślisz, że odpowiedź będzie taka, jakiej on oczekuje?

## XIII. Starzy i młodzi

Stary Patyra wstał tego dnia najwidoczniej „lewą nogą”. Najpierw skłął telefonicznie kontrolę ruchu, że maszyny zbyt wcześnie latają nad domami, a potem przy śniadaniu pokłócił się z córką. To z pewnością ona wyrzuciła puszkę z robakami, której szukał wczoraj cały dzień. Wmówiła sobie, że tego głupiego kaszlu nabawił się przesiadując zbyt długo nad rzeką. Jakby komu świeże powietrze mogło zaszkodzić! I jeszcze śmie zawracać mu głowę, aby poszedł do lekarza. On tam sam wie najlepiej, co mu jest, a doktorzy to tylko wmawiają człowiekowi chorobę.

Na złość nie dokończył śniadania, wziął wędkę i poszedł na ryby. W czasie drogi też nie dano mu spokoju. Jakiś szczeniak z dziewczyną wyglupiali się na pasach, a gdy im powiedział parę słów prawdy, zaczęli się odszczekiwać. Do tego jeszcze jadące za nimi dwie stare baby próbowały bronić łobuzów.

Nad rzeką również miał pecha. Przez całe przedpołudnie gromada chłystków szalała po wodzie na łyżwach pneumatycznych, strasząc mu ryby. A kiedy wreszcie zdołał ich przepędzić, jakiś brodacz wylazł z krzaków i dla zabawki zaczął tłuc kamienie na brzegu.

— Coś pan na głowę upadł?! — wrzasnął na niego Patyra. Chciał mu jeszcze dołożyć większą „wiązanekę”, ale facet był tak przerażony, że Patyra uznał, że już ma za swoje.

Okazało się zresztą, że niewiele by zrozumiał, bo język polski znał bardzo słabo, i Patyra dogadał się z nim dopiero w „interze”.

— No, dobrze już, dobrze — klepnął brodacza łaskawie po ramieniu, słysząc, że bełkoce coś na kształt przeprosin. — Nietutejszy?

— Nie...

— Z daleka przyjechał?

— Z daleka... — skinął głową nieznajomy.

— Rozmownyś to pan nie jest — burknął Patyra i chcąc się usprawiedliwić, czy może próbując znaleźć sojusznika dodał: — A to wszystko przez tych bydlaków!... Spokoju człowiekowi nie dają.

— Kto? — zapytał niepewnie brodacz.

— Ano, tamci, na rzece. Nie widział ich pan?

— Nie.

— Po wodzie biegają i ryby straszą. A to wszystko przez to, że ludzie nie mają co robić. Różne cudeńka wynajdują, byle tylko innym życie zatruwać. Ani człowiek, ani ryba nie ma dziś spokoju. Za moich czasów było inaczej...

— Inaczej... — skinął potakująco głową nieznajomy.

— Albo dzisiejsi lekarze. Ta ich medycyna diabła warta. Córka mi mówi: „Idź do doktora”! A ja jej na to: „Dokąd pójde? Do durniów? Sami nic nie umieją! O wszystko maszyn muszą pytać”. Jak byłem młody, to wiedziałam, że idę do lekarza. Prawdziwego lekarza. Człowieka zbadał, jak się patrzy, wysłuchał, wystukał, obejrzał, wysłał na badanie krwi, do rentgena, co potrzeba. A teraz co? Wpakują cię do maszyny i nie wiesz sam, co z tobą wyprawiają... I ja mam wierzyć takiemu

lekarzowi, co mi tam opowiada? Nie wierzę! Wolę własnym sposobem się kurować!

— Świat na złą drogę wszedł.

— Święte słowa! — podchwycił Patyra. — Ja to zawsze mówię! Wszystkim w głowie się przewracało. Nawet głupi szczeniak, co to ledwie od ziemi odrósł, już się wymądrza. Mam wnuka... Nie przegadasz go pan! Żebyś wiedział, co tym biednym dzieciom w szkole do łbów ładują! ... Ale pan pewno wiesz lepiej ode mnie. Co ci będę mówił...

— Wiem. Zgorszenie się szerzy.

— I jeszcze jakie! Weź pan dzisiaj młodzież... Te ich zabawy... Starczy zresztą posłuchać, jak chłopak z dziewczyną rozmawiają. A jakie książki pozwala się im czytać! Zgnilizna i tyle. Za moich czasów, nie powiem, owszem, swoboda była, ale z umiarem. Prawda, i wtedy narzekano na demoralizację, ale gdzie porównać z naszymi czasami. Nieraz tak myślę sobie, że może to wszystko bierze się stąd, że ludzie nie żyją według natury. Nawet zboża się nie sieje, świń i krów na lekarstwo, wszystko z glonów lub syntezy. Owszem, ryby morskie są, bo ich w oceanach nie brak, ale już hodować karpia czy szczupaków to się podobno nie opłaca. Luksus!... Chcesz jeść, to płać! W rzece łowić, owszem, wolno, ale musisz ćwierć emerytury na składkę oddać. Ot, co zrobiono ze światem! I to się ma nazywać racjonalna gospodarka. Nie powiem, z glonów lub syntezy żywność tania. Ale czy to ludziom na zdrowie idzie? I jaki to smak? Żeby nie musiał, tobym nie jadł. A wyobraź pan sobie, że jak przedwczoraj chciałem wnuka poczęstować płocią, com ją złowił w Odrze, to nie chciał. Mówił, że nie lubi, że się brzydzi... Smak ludziom zepsuto! A panu te świństwa syntetyczne smakują?

Brodacz patrzył na rzekę w zamyśleniu.

— Pan mnie nie słucha — rozgniewał się Patryka.

Nieznajomy przeniósł wolno spojrzenie na twarz starca.

— Wybacz... Ale... Czy wielu ludzi myśli tak jak ty, panie? — zapytał cicho.

— Co to ma do rzeczy? Mówiłem: smak się ludziom popsuł! Nie wiedzą, co dobre...

— Nie wiedzą, co dobre... Zło, co na zgubę człowieka czyha, z pychy się bierze. Ci, co Bogu dorównać by chcieli, w proch starci zostaną...

— Ja tam nie wiem: jest Bóg czy go nie ma, ale, że to się źle skończy, to pewne.

— Nie wolno wątpić!

— Mówię, że nie wiem. A pan kto? Duchowny?

Brodacz potwierdził skinieniem głowy.

— Nie obraż się pan, ale ja księżom też nie wierzę!

— Dlaczego?

— Nie wierzę i już! — powiedział Patyra z przekorą.

Widocznie jednak nie chciał zrażać do siebie nieznajomego, bo po chwili dodał:

— Ale pan mi się podoba. Panu jeszcze w głowie nie przewrócono.

— Ale w Boga wierzyć trzeba!

— A po co?

— Czy nie myślisz, panie, nigdy o śmierci? — zapytał nieznajomy z powagą.

Patyra spojrział spode łba.

— Toś pan taki?! Straszyc mnie chcesz? Tego nie lubię!

— Pomyśl o śmierci! — powtórzył nieznajomy.

Patyra z trudem hamował ogarniającą go wściekłość. A więc jeszcze i ten uwziął się na niego.

— Idź do diabła! — warknął przez zęby. I pozostawiając oniemiałego ze zgrozy brodacza na brzegu rzeki, począł sapiąc przedzierać się poprzez zarośla, ku skarpie.

Żywa przeszkoda pojawiła się na szlaku tak nagle, że sygnał ostrzegawczy i reakcja układu samoprowadzącego nastąpiła niemal jednocześnie. Zepchnięta aż do skraju magnetostrady maszyna prawie że otarła się o biegnącego w poprzek drogi mężczyznę, który odrzucony strumieniem powietrza potoczył się po jezdni i zamarł w bezruchu.

Boczne przyspieszenie było bardzo gwałtowne i zupełnie niespodziewane. Zajęty przeglądaniem raportów inżynier Andrzej Reda o mało nie spadł z fotela, a rozłożone na stoliku papiery i książki posypały się na podłogę. Teraz dopiero, ujrawszy z tyłu poza maszyną na szarym pasie autostrady ciemny kształt ludzki, pojął, co się stało. Poderwał się z miejsca, ale siedzący bliżej tablicy sterowniczej jego czternastoletni syn Witek już zdążył włączyć hamowanie. Pojazd przeleciał jeszcze kilkadziesiąt metrów i zboczywszy poza linię ruchu, osiadł na pasie postojowym...

— Zabierz apteczkę! — rzucił Reda do syna wyskakując z maszyny.

Wypadek, na szczęście, nie był groźny. Nieznajomy mężczyzna próbował już sam podnieść się z ziemi.

— Czy nic się panu nie stało? — pytał inżynier, pomagając mu wstać.

— Nie rozumiem — wyjąkał nieznajomy w języku inter.

Szok jeszcze nie ustąpił, widać było, jak drżą mu ręce i nogi.

— Zejdźmy ze szlaku — ponaglił Witek.

Inżynier Reda ujął nieznajomego pod ramię i poprowadził na skraj drogi.

— Poszukaj czegoś na uspokojenie — powiedział do syna.

Chłopiec otworzył apteczkę. Chwilę przeglądał instrukcje, wreszcie podał ojcu płaskie, zielone pudełko.

— Niech pan weźmie pastylkę — powiedział inżynier w języku inter.

W oczach nieznajomego pojawił się niepokój.

— Nie... Nie chcę.

— Czy na pewno nic się panu nie stało? — powoził pytanie Reda.

— Chyba... nie — odrzekł niepewnie nieznajomy.

— Sto do jednego, że nie został potrącony — odezwał się po polsku Witek. — Widziałem dokładnie: wyskoczył na jezdnię tuż przed maszyną. Nie było więcej jak dziesięć, może piętnaście metrów. „Asek” dał prostopadłą z lewej i przeskoczyliśmy tuż za jego plecami. Dostał tylko strumieniem od dołu i zbiło go z nóg.

— Jak pan mógł być tak nierozważny i przebiegać w tym miejscu przez szlak — zwrócił się inżynier do nieznajomego. — Dobrze, że nie ma teraz dużego nasilenia ruchu. Gdyby układ AS był zbyt przeciążony, mógłby nie zdołać przeprowadzić pełnej koordynacji. Lepiej nie ryzykować.

— I niech pan da do sprawdzenia peko — dorzucił Witek. — Mógłbym przysiąc, że „Asek” nie odebrał sygnału zbliżania.

— Pekoder? — nieznajomy spojrzał podejrzliwie na chłopca.

— Jasne teraz, dlaczego o mało nie doszło do wypadku — powiedział inżynier. — Niestety, zdarzają się egzemplarze wybrakowane, o zanikającej okresowo emisji, tak iż pogotowie awaryjne myśli, że to naturalne, chwilowe zaekranowanie i dlatego milczy.

— Milczy? — powtórzył nieznajomy jakoś dziwnie. W zachodzącym słońcu jego spocona i czerwona twarz zdawała się płonąć.

Inżynier Reda patrzył na niego z niepokojem.

— Pan się źle czuje... Chodźmy! Podwiozę pana. Byłoby dobrze, gdyby zbadał pana lekarz...

— Nie! — zaoponował gwałtownie nieznajomy.

— Więc może odwieźć pana do domu?

— Nie. Ja... wyjeżdżam. Do Rzymu.

— A więc na lotnisko. O której ma pan samolot?

— Nie wiem...

— Zaraz się dowiemy. Witku! Połącz się z informacją — zwrócił się do syna.

— Kto to? — mężczyzna wskazał ruchem głowy wyprzedzającego ich chłopca.

— Mój syn! — powiedział z dumą inżynier. — Co? Nie wyglądam na takiego syna?

— Chyba... nie — odrzekł nieznajomy jakby z ulgą.

— To dobry chłopak, ale mam z nim trochę kłopotu. Nie bardzo chce się uczyć. Tylko by z kolegami latał, na mikro lub fanto, albo po prostu piłkę kopał... Ale myślę, że z tego wyrośnie.

— Źli przyjaciele mogą wiele szkód młodej duszy wyrządzić — powiedział współczującym tonem nieznajomy.

— Nie ma chyba obawy... Gdy tak przyglądam się dzisiejszej młodzieży, to myślę, że jest ona znacznie rozsądniejsza, niż my byliśmy w tym wieku.

— Rozsądek... nie wszystko. Aby dostrzec, gdzie dobro a gdzie zło... trzeba duszy czystej.

Inżynier spojrzał nieco zdziwiony na nieznajomego.

— Co pan przez to rozumie?

— Zgorszenie się szerzy... Rozpasanie...

— Bzdura. Zapomniał pan chyba, co się działo jeszcze pół wieku temu. To są niewinne zabawy w porównaniu z drugą połową dwudziestego wieku. Niektórzy sądzą nawet, że to, co dziś widzimy, to regres, że w tym dzisiejszym moralizowaniu młodych kryje się zakłamanie i obłuda. Są tacy, co nawet nazywają to neopurytaniem.

— O czym mówisz, panie?

— Ja tam w ten regres nie wierzę. Socjologiem nie jestem, ale wydaje mi się, że rację mają ci, co mówią, że młode pokolenie zawsze w pewnym stopniu buntuje się przeciw staremu. Tylko formy mogą być różne, i to, co dziś robi młodzież, to też jakaś forma przekory...

— Przekory?

— Sądzi pan, że kryje się tu głębsza sprzeczność?

— Nic nie dzieje się bez przyczyny... Diabeł nie śpi...

— Boję się, że sami stwarzamy problemy. Jest w tym na pewno swoista prawidłowość, że zawsze starsze pokolenie narzeka na młodsze, a młodsze krytykuje starsze, ale mówienie o konflikcie pokoleń to przesada.

— Co przesada?

— Myślę, że szukamy diabła tam, gdzie go nie ma. Po prostu zachodzi tu pewne naturalne zjawisko i nic więcej, i to w zasadzie o charakterze progresywnym. Jeśliby nasze dzieci były kubek w kubek do nas podobne, miały te same poglądy, te same przyzwyczajenia, potrzeby, zainteresowania i gusta, chyba świat stanąłby w miejscu. Prawda, ich poglądy bywają nieraz wariackie, nierealne, krótkowzroczne, ich gusta zmienne, oceny powierzchowne, łatwo ulegające wpływom chwilowych nastrojów, opinii i mody. Ale w sumie mamy tu do czynienia ze zjawiskiem pozytywnym społecznie. Oczywiście: brak doświadczenia to ich słabość, ale brak zrutynizowania, łatwość łamania

schematów myślowych, nie mówiąc już o zapale i pasji polemicznej — to ich siła.

— Wybaczcie, panie, ale nie nadażam za tokiem mowy waszej... Jakież są te dzieci? Czy je chwalicie, czy ganiecie?

— Ani chwale, ani ganię. Można rzec: młodzież jest jak gdyby barometrem tego, co dzieje się w naszym świecie. I tym wielkim, i tym małym...

— Nie rozumiem.

— Inaczej mówiąc: odbija się w niej współczesność.

— Zło świata w niej się odbija.

— Dobro również.

Rozmowa się urwała. Stanęli przed pojazdem, gdzie już czekał chłopiec.

— Odlot jutro rano o 7,35. I to z Wrocławia! — poinformował lakonicznie.

— Do Rzymu? — zapytał nieznajomy, jakby chciał się upewnić, że nie zaszła jakaś pomyłka.

— Oczywiście. Przecież o to panu chodziło.

— Dobrze się składa, że z Wrocławia, bo właśnie jedziemy w tym kierunku — dorzucił inżynier.

— Jeśli to panu odpowiada...

— Tak. Bóg łaskaw... — powiedział nieznajomy drżącym z przejęcia głosem.

— No, to proszę. Niech pan siada! — Reda wskazał fotele.

Nieznajomy jakby się zawahał, ale tylko na moment. Po chwili wszyscy trzej siedzieli już we wnętrzu srebrzystej maszyny, która unoszona na poduszce powietrznej pomknęła magneostradą na zachód.

— Za dwadzieścia minut bylibyśmy na miejscu. Niestety, muszę wpaść na pół godziny do huty — oświadczył inżynier, zbierając z podłogi porozrzucane papiery. — Wybacz pan, że zatrzymamy się w drodze.

Gość skinął głową, lecz trudno było stwierdzić, czy zrozumiał, gdyż patrzył w zamyśleniu na zmieniający się krajobraz..

Oparty plecami o pulpity sterownicze młody Reda nie spuszczał oka z nieznajomego, przyglądając mu się z natarczywą ciekawością.

— Pan w Polsce pierwszy raz? — zapytał podchodząc bliżej.

Mężczyzna, wyrwany z zamyślenia, spojrzał niechętnie na chłopca. Dopiero po chwili odrzekł wolno cedząc słowa:

— Pierwszy raz...

— Na długo pan przyjechał? — chłopiec przysiadł się do nieznajomego.

— Nie wiem...

— A mówił pan, że już wyjeżdża...

— Wyjeżdżam.

— A kiedy pan przyjechał? — indagował młody Reda.

Mężczyzna zawahał się.

— W marcu... — odrzekł po chwili.

— A skąd pan przyjechał?

— Z daleka — odparł nieznajomy wymijająco.

— Daj panu spokój! Nie wypada tak wypytywać — wtrącił inżynier karcąco.

— A co w tym złego? — oburzył się chłopiec. — Po prostu pan mi kogoś przypomina...

Oczy nieznajomego zwęziły się na moment, ale natychmiast twarz przybrała wyraz obojętności.

— Kogo?

— Pan mi przypomina... pan jest podobny do Modesta Müncha. Wie pan — tego „człowieka



znikąd”. Widziałem go niedawno w telekronice.

— Rzeczywiście, masz chyba rację — potwierdził ojciec. — Co prawda, pan jest znacznie młodszy. Istnieje jednak pewne podobieństwo. Zwłaszcza, że pan też nosi brodę.

— Mówiłeś: „człowiek znikąd?” — Nieznajomy patrzył pytająco na chłopca.

— Czyżby pan nie słyszał o nim? Ten, co nie wiadomo skąd się wziął.

— A ty myślisz, skąd?

— Ja myślę, że rację ma ten astronom. Kosmici nam go podrzucili. To jasne!

— Kosmici?

— Wszystko się zgadza. Te pająki, o których Münch mówi, to oni. Może to zresztą ich szpieg...

— Nie wierz temu! — zaprzeczył gwałtownie nieznajomy.

— Ja też sądzę, że to bzdura — włączył się do rozmowy inżynier. — Mój syn ma głowę nabitą fantastycznymi opowiadaniem. Moim zdaniem, rozwiązanie zagadki musi być znacznie prostsze.

— Jakie?

— Tego nie wiem. Ale te istoty z innych światów, kosmiczne statki wyparowujące po lądowaniu... To wszystko brzmi zbyt bajecznie, aby mogło być prawdą.

— Chcesz powiedzieć, że wszystko, co ten Münch mówi, to bzdura? — zaperzył się chłopiec. — A ja mówię, że to prawda! To się przecież jedno z drugim zgadza! Czy pan też myśli, że on kłamie?

— Nie kłamie! — odrzekł nieznajomy z przejęciem.

— Ja też nie myślę, że on kłamał — tłumaczył się inżynier. — Nie można jednak wykluczyć, że to ofiara jakiegoś iście piekielnego eksperymentu. W niektórych krajach kontrola prywatnych laboratoriów istnieje tylko na papierze. W Światowej Radzie traktuje się ten problem jako marginesowy, a nawet znalazło się paru demagogów, co gotowi są bronić takiej krótkowzrocznej tolerancji w imię swobody badań naukowych i suwerenności rządów... Myślą kategoriami ubiegłego wieku. Może rzeczywiście osiemdziesiąt lat temu to nie było problemem, zwłaszcza w porównaniu z potrzebami żywnościami świata i wyegzekwowaniem zakazu zbrojeń. Ale dziś?

Nieznajomy patrzył na inżyniera ze wzrastającym niepokojem.

— Nie rozumiem — wyjąkał oszołomiony jego wywodami.

— No, niech pan pomyśli. Jeszcze pół wieku temu każdy krok w nauce, każde poważne odkrycie czy wynalazek wymagał zespołowej pracy. I już przez to samo istniała pewna forma kontroli społecznej. Dziś prosta maszyna o pamięci chemicznej stawia do dyspozycji jednego człowieka wiedzę tysięcy specjalistów, a podłączone do niej zespoły wieloczynnościowe zastępują pracę setek laborantów czy konstruktorów. W jednym pokoju można zmieścić cały dawny ośrodek naukowo-badawczy.

— I każdy może mieć taką maszynę?!

— Myśli pan, że moje obawy są przesadzone? Oczywiście, że są to kosztowne urządzenia, lecz jest to również kwestia skali i możliwości kontroli. Dałem tylko przykład. W domowym warsztacie można, co prawda skonstruować bombę nuklearną, ale na szczęście nikt tego nie robi bo łatwo wykryć czujnikami. Wystarczy jednak, że jakiś wariat zacznie wytwarzać jakieś niebezpieczne psychogazy, hodować nowe szczepy groźnych bakterii albo produkować biochemiczne monstra. A przecież świat nasz daleki jest od ideału. Pokonać głód i wojnę to jeszcze nie wszystko. Daleko jeszcze wielu krajom do prawdziwej sprawiedliwości i wolności... Czy myśli pan, że tak trudno eksperymentować na ludziach? Tworzyć monstra duchowe?

— Tak! Tak! Właśnie! Monstra duchowe! — podchwycił nieznajomy z przejęciem.

Zapanowało milczenie.

Przed i za ich wozem pojawiło się kilka pojazdów zdążających w tym samym kierunku.

— Z kim rozmawiałeś? — zapytał nagle inżynier swego syna.

— Kiedy? — chłopiec zrobił zdziwioną minę.

— No, przed chwilą!

— Ee... tam...

— Nie kłam! — zdenerwował się ojciec. — Widziałem, jak trzymałeś rękę przy uchu.

— No więc tak. Rozmawiałem! Ale to moja sprawa!

— Twoja, nie twoja! Pewno próbowałeś umawiać się z jakimś kolegą? Pamiętaj, cośmy ustalili.

Jedziemy prosto do domu. Wstępuję do huty i to wszystko. Nigdzie żadnych skoków.

— Dobrze, już dobrze! — syn patrzył spode łba na ojca.

— Obiecałeś, że weźmiesz się solidnie do nauki.

— Od jutra! Obiecałem i dotrzymam. Niech cię o to głowa nie boli.

— Co to za ton? — ojciec uniósł głos.

— Skończymy wreszcie tę rozmowę...

— Dobrze. Skończmy. Ale pamiętaj, że cię ostrzegałem...

Inżynier z trudem tłumził zdenerwowanie.

— Przepraszam — zwrócił się do nieznajomego — ale pan rozumie...

— Rozumiem...

Nieznajomy zamyślił się. Ojciec i syn również nie kwapili się z podejmowaniem rozmowy.

Wkrótce jednak maszyna przeskoczyła na jakiś boczny szlak i poczęła hamować. Wokół ciągnęły się długie budowle w kształcie spłaszczonych walców połączonych z ogromnymi błyszczącymi kulami. Ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały się czerwono na ich powierzchni.

Pojazd zatrzymał się przed jedną z takich kul, przypominającą z daleka wielką łysą głowę bez oczu, z otwartymi szeroko ustami — bramą wejściową.

— No, jesteśmy na miejscu — oświadczył inżynier wstając. — Pan wybaczy... Nie będę dłużej jak czterdzieści minut. Ach prawda! — przypomniał sobie nagle. — Zupełnie zapomniałem się panu przedstawić. Jestem Reda, Andrzej Reda!

Popatrzył pytająco na nieznajomego, ale ten jakoś nie spieszył się z podaniem swego nazwiska.

— No, to ja już idę... — powiedział inżynier po chwili. — A ty wozu nie ruszaj! — pogroził synowi palcem, ale ton głosu nie był zbyt srogi.

— Twój ojciec dokąd poszedł? — zapytał nieznajomy, patrząc za znikającym w głębi budynku inżynierem.

— Ma tam jakieś kłopoty na linii ciągłego wytopu. Ale da sobie radę...

— Też jakieś maszyny?...

— Jasne!

— Twój ojciec tu pracuje?

— Jest naczelnym inżynierem — powiedział chłopiec z dumą. — Niech pan nie myśli, że ja go nie kocham — począł się niespodziewanie usprawiedliwiać. — Tylko nie znoszę, jak nudzi i wtrąca się do moich spraw osobistych...

— Ojciec wie, co robi — rzekł nieznajomy z powagą.

— On wie swoje, a ja swoje. Czy w każdym głupstwie mam mu rację przyznawać?

— Czcij ojca swego i matkę swoją...

— Wiem. Kto powiedział, że go nie szanuję? Ale mnie diabli biorą, gdy zrzędzi.

Chłopiec wstał i rozsunął czaszę dachu. Dłuższą chwilę patrzył w górę, ponad pobliską walcowatą budowlę.

— A do pana mam prośbę — zmienił temat. — Czy chce pan wziąć udział w pewnej zabawie?

— Zabawie? — zdziwił się nieznajomy.

Chłopiec znów spojrział w górę.

— Chcę zrobić kawał. Nic takiego... Ale musi mi pan pomóc.

— Pomóc? W czym?

— Niech się pan zgodzi! Tu za chwilę przyleci moja „styczka”.

— Kto?

— No, koleżanka, dziewczyna, z którą chodzę... Wie pan jak to jest!... Chcę ją nabrać. Powiedziałem jej że, spotkałem prawdziwego Müncha. No, wie pan! To na dziewczynach robi wrażenie. Zaraz tu przyleci. Więc mam prośbę: niech pan nie zaprzecza. Jeśli nie chce pan wziąć udziału w zabawie, to niech pan nic nie mówi. Mówić będę ja. Z pana Münch jak żywy! Wystarczy spojrzeć.

Nieznajomy słuchał słów chłopca z rosnącym niepokojem i podejrzliwością. Widocznie nie zrozumiał w pełni, o co chodzi, bo spytał po chwili milczenia:

— O jakiej zabawie mówisz?

— No, przecież tłumaczyłem panu: chcę nabrać koleżankę...

— Jak to „nabrać”?

— No, zażartować z niej.

— Nie rozumiem. W jaki sposób? Po co, i z czego żartować?

Chłopiec patrzył z rosnącym zdziwieniem na nieznajomego. Ale zanim zdołał coś powiedzieć, gdzieś z góry dobiegł ich potęgający się świst. Nad dachami przeleciała nieduża powietrzna maszyna, by po chwili zawrócić i wylądować obok pojazdu Redy.

W rozsuniętych drzwiach ukazały się roześmiane młode twarze.

— A to heca! — zachichotał chłopiec. — Baśka ściągnęła całą paczkę!

Wyskoczył z wozu i pobiegł ku wysiadającym. Dwie dziewczyny i trzech chłopców, ubrani w barwne bluzy i spodenki, machało do niego rękami.

Nieznajomy przywarł do oparcia fotela, przyglądając się młodzieży z niepokojem. Widać było, że nie kwapi się do spotkania.

Tymczasem koledzy otoczyli młodego Redę kołem.

— Gdzie go masz? — spytała bez wstępu nieduża czarnooka dziewczyna, wodząca rej w gromadzie.

— Siedzi w wozie — rzekł Witek z tajemniczą miną, prowadząc ich w kierunku pojazdu. — Ale pamiętajcie: bez żadnych wygłupów!

— Czy jesteś pewny, że to naprawdę on?

— Powiedział mi to w sekrecie.

— W sekrecie?...

— Nie chce, aby dowiedzieli się dziennikarze. Ale ja go od razu rozpoznałem! Wam jednak może się nie przyznać.

— Ty, Witek, nie próbuj robić z nas balona — rzucił ostrzegawczo wysoki, chudy chłopak. — Słyszałem, że Münch jest w Nowym Jorku.

— Zobaczycie sami...

Czarnooka dziewczyna podeszła już do drzwi wozu, ale młody Reda wyprzedził ją w przejściu.

— To właśnie jest Baśka. Moja koleżanka. A to Ewa, Mik i Wacek „Milczek”. Ten najmłodszy to Bolek „Mądrała”. Chce koniecznie pana poznać!

Nieznajomy podniósł się z miejsca, spoglądając z zaciekawieniem na młodzież.

— Dzień dobry! — powiedziała niepewnie Baśka. — Czy można o coś pana zapytać?

Nieznajomy skinął zachęcająco głową.

— Pytaj, dziecko. Co chcesz wiedzieć?

— Czy to prawda, że pan jest tym słynnym Modestem Münchem? — zapytała nieco śmielej.

— Tak, dziecko! — nieznajomy uśmiechnął się blado.

— A nie mówiłem! — zawołał Witek parszcząc śmiechem.

— I czterysta pięćdziesiąt lat był pan poza Ziemią? — niedowierzanie odbiło się w głosie Baśki.

— Tak.

— Wcale pan nie wygląda na takiego starego — wtrąciła Ewa.

— Głupia jesteś! Przecież to efekt relatywistyczny — odezwał się rzeczowym tonem najmłodszy

w gromadce, stojący dotąd na uboczu chłopiec.

— A tych... pająkowatych to naprawdę pan widział?

— Widziałem...

— I nie mógł pan z nimi wejść w kontakt? Ja to bym ich zaprosił na Ziemię.

Mężczyzna spojrzał na chłopca z niepokojem.

— Nie wiesz sam, co mówisz. To złe siły...

— A skąd pan wie, że złe? Dlaczego kosmici muszą być koniecznie źli? Gdybym ja spotkał takiego kosmitę...

— Oby Bóg cię uchronił, dziecko! Zła szukać nie trzeba. Jest wszędzie!

— Co też pan mówi?!

— Szatan nie śpi. I złym Słowem, złą, nieprzystojną zabawą, bezbożną myślą przywołać go można...

— A ja wam mówię, że Witek z tym facetem robią z nas balona! — odezwał się po polsku wysoki chłopak.

— Co on powiedział? — zapytał nieznajomy.

— On nie wierzy, że pan jest Münch — zaśmiał się Reda.

— Dlaczego nie wierzysz? — zwrócił się z nieznajomy do wysokiego chłopca.

— No... bo... Bo słyszałem, jak mówiono, że Münch wyjechał do Nowego Jorku...

— To kłamstwo.

— No, to niech pan pokaże peko.

Nieznajomy przybladł.

— A jeśli nie pokażę? — odparł zaczepnie.

— To znaczy, że pan buja.

— Więc niech tak będzie. Nie wierzcie mi!

— Ja panu wierzę — zawołała Baśka z przejęciem. — A Mik to taki „niewierny Tomasz”. Ale niech się pan tym nie przejmuje, on się tylko tak wygłupia.

— I ja też panu wierzę — podchwyciła koleżanka Baśki. — Mam nawet do pana prośbę.

— Jaką prośbę? Mów, dziecko!

— Mam ze sobą karnet — sięgnęła do kieszeni. — Czy można poprosić pana o autograf?

— O co? — mężczyzna poruszył się niespokojnie.

— O autograf. Przecież pan jest tym sławnym „człowiekiem znikąd” — powiedziała śmielej, wyciągając rękę z niedużą brązową książeczką.

— Ona zbiera autografy słynnych ludzi i chciała, by pan też jej się podpisał — wyjaśniła Baśka.

Oczy nieznajomego zwięziły się, przybierając wyraz gniewu.

— Czego ode mnie chcecie? — No, żeby pan podpisał...

Twarcz nieznajomego poczerwieniła.

— Ach tak! Więc o to chodzi!!! — zaperzył się niespodziewanie. — Po toście tu przyszli! Wiem, kto was tu przysłał!...

— Myśmy nie chcieli nic złego... — wyjąkała Baśka.

— Precz stąd! — uniósł głos nieznajomy. — Odejdźcie natychmiast!

— A mówiłem wam, że to nie Münch! — zaśmiał się sztucznie Mik. — Podpisać się boi, pekodera nie pokazał, bo zaraz byłoby jasne, kto to!

— Ale dlaczego pan się gniewa? — próbowała łagodzić sytuację Baśka.

— Może go jeszcze będziesz przepraszać — oburzyła się Ewa.

— Głupi stary wariat...

— Ładnego sobie Witek wujaszka znalazł — ironizował Mik.

— Precz! Precz! — rzucił jeszcze parę razy nieznajomy za odchodzącą w głąb ulicy młodzieżą.

W wozie pozostał tylko Witek. Był wyraźnie zaskoczony rozwojem sytuacji.

— Za ostro pan na nich najechał — powiedział po chwili milczenia. — Rozumiem, że podpisywać nie było sensu, ale trochę to głupio wyszło...

Nieznajomy stał przed wozem patrząc na stojącą przy maszynie młodzież. Widać było, że nie spieszą się z odlotem.

— Dlaczego twój ojciec nie wraca? — zapytał nagle nieznajomy.

Chłopiec spojrział na zegarek.

— Już niedługo. Za dwadzieścia minut.

— Gdzie on jest? Zaprowadź mnie do niego.

— Zaraz będzie. Poczekajmy.

— Zaprowadź mnie! — nieznajomy coraz bardziej się denerwował.

— Jak pan chce — powiedział chłopiec z ociąganiem, wychodząc z wozu. — Ale nie wiem, czy jest sens... Na pewno bardzo zajęty i każe nam czekać.

— Chodźmy! — ponaglił nieznajomy.

Hall mieszczący stację szybkobieżnych wind był o tej porze pusty. W przejściu kontrolnym automatyczny strażnik zadał sakramentalne pytanie: „Do kogo?”, a na prośbę o połączenie z inżynierem Redą przekazał, tak jak było do przewidzenia, odpowiedź, iż będzie wolny za 15 minut.

Nie pozostawało więc nic innego jak czekać, ale Witkowi nie bardzo się to uśmiechało, zwłaszcza że nieznajomy stawał się coraz bardziej natarczywy. Przyszło mu do głowy, że najlepiej będzie powozić go trochę po hucie.

— Czy był pan kiedy na dole w takim zakładzie?

— Na dole? — zdziwił się nieznajomy.

— Widok nie z tej ziemi... Na siedemnastym poziomie można podejść bardzo blisko centralnej kaskady. Galeria ma ściany z esteglasu, a powietrze jest chłodzone.

— I tam jest twój ojciec?

— Chyba tam. A jeśli nie, to powiedzą nam, gdzie go można znaleźć. No co? Jedziemy?

— Prowadź!

Przeszli w głąb hallu i po krótkiej pertraktacji Witka z automatem kontrolnym drzwi jednego z dźwigów stanęły przed nimi otworem. Zjazd na dół zajął im zaledwie kilkadziesiąt sekund. Nieznajomy wydawał się znacznie bardziej opanowany niż na górze. Tylko nerwowe ruchy warg, powtarzających bezdźwięcznie jakieś słowa, mogłyby świadczyć, iż spokój jego jest pozorny.

Na stacji wind siedemnastego poziomu nie zastali nikogo. Tylko gdzieś z głębi jasno oświetlonych korytarzy dobiegały dalekie echa ludzkich głosów i jednostajny pomruk maszyn.

Witek, dumny z roli przewodnika, nie szczędził wyjaśnień i uwag:

— Pójdziemy wprost do spektroskopii i stamtąd na galerię. Mamy mało czasu, a gdyby się chciało zwiedzić dokładniej choćby tylko ten poziom, trzeba by łązić przez parę godzin. Może jeszcze uda nam się zajrzeć na oddział obróbki fotonowej, ale wolałbym najpierw znaleźć ojca. Tam nie lubią, jak się ktoś obcy kręci.

— Tak. Najpierw do twojego ojca! — podchwycił nieznajomy.

— Ojciec stara się o nowe generatory wielkiej mocy, bo chciałby pójść głębiej, jeszcze kilometr albo i dwa, i uruchomić nowe kaskady ciągłego wytopu. Powiedział nawet w ministerstwie, że wszystko rzuci, jak mu nie dadzą pieniędzy. Ale oni wiedzą, że on tego nigdy nie robi. I dlatego zwlekają, chociaż zdają sobie sprawę, że ojciec ma rację. Mama jest pewna, że on postawi na swoim. A wie pan, że on to wszystko budował, jak mnie jeszcze na świecie nie było? Wtedy ten kombinat był najnowocześniejszy w całej Europie! Ojciec miał wtedy...

— Daleko jeszcze? — nieznajomy przerwał niecierpliwie zwierzenia chłopca.

Witek wskazał drzwi w końcu korytarza.

— Już jesteśmy!

Przyspieszył kroku i stanął u otwartego już wejścia, czekając na nieznajomego.

Mężczyzna wszedł, rozejrzał się po sali i zatrzymał jak wryty zaraz za progiem. Wodząc wzrokiem po wnętrzu laboratorium, po setkach ekranów pulsujących krzywymi i napisami, po zmieniającej się nieustannie różnobarwnej mozaice światła na tablicach modelowych, to znów po białych postaciach siedzących przy pulpitych sterowniczo-kontrolnych — przypominał człowieka nagle wyrwanego ze snu.

Niektórzy z pracowników zauważyli wejście młodego Redy z nieznajomym. Jakaś kobieta w białym kombinezonie kiwnęła ręką na Witka.

— Szukasz ojca? — zapytała Ścisłym głosem.

— Tak. Czy już wyszedł?

— Jest na galerii. Ale lepiej tu poczekać, bo jest bardzo zajęty. Chyba, że coś naprawdę pilnego...

— Mnie się nie spieszy... Ale ten — wskazał ruchem głowy na nieznajomego — chce się widzieć koniecznie z ojcem. Niech się pani mu przyjrzy. Kogo on pani przypomina?

Kobieta spojrzała na stojącego przy drzwiach mężczyznę.

— Nie wiem.

— „Człowiek znikąd”. Czy nie podobny? Zwłaszcza teraz, jak tak stoi i patrzy.

— Może. Ale ja nie bardzo sobie przypominam, jak wygląda „człowiek znikąd”. A naprawdę kto to jest?

— Jakiś gość z zagranicy. Odlatuje jutro rano do Rzymu.

— Wygląda, jakby było mu niedobrze — zauważyła kobieta.

— To bardzo możliwe — zaniepokoił się chłopiec. — Godzinę temu miał wypadek... Chodźmy do niego!

Nieznajomy patrzył na kobietę nieufnie. Powiedział coś cicho — czego jednak nie byli w stanie zrozumieć.

— Czy pan źle się czuje? — spytał Witek.

— Może poprosić lekarza? — dorzuciła kobieta.

Spojrzał na nią z lękiem.

— Nie! Nie! Gdzie twój ojciec? — zwrócił się gwałtownie do chłopca.

— Jest na galerii. Zaraz tu będzie.

— Chodźmy tam... Ja... nie chcę tu... czekać!

— Dyrektor Reda jest w tej chwili bardzo zajęty — powiedziała kobieta.

— Ja muszę go zobaczyć. Zaraz!

— Jeśli to rzeczywiście tak pilna sprawa, to proszę. Poprowadziła ich przez salę do małych drzwiczek, za którymi biegły w dół metalowe schody.

— Weź okulary ochronne! — rozległ się głos automatu czuwającego nad bezpieczeństwem pracy. Nad podajnikiem, przy szlabanie zagrządzającym drogę w dół, migotała lampka sygnalizacyjna.

Witek sięgnął po okulary i przegroda odskoczyła.

— Niech pan też weźmie! — powiedział chłopiec do nieznanego, stojącego bezradnie przed szlabanem. — Inaczej nie puści!

Gdzieś pod nimi, przy końcu pochylni, jarzyło się żółtawe światło, przybierające chwilami jasną, niemal błękitną barwę. Biegące skrajem tunelu schody prowadziły na podest, a potem skręcały w dół, w głąb podziemi.

Młody Reda zatrzymał się jednak na podeście, czekając na nieznanego.

— Tędy! — wskazał w głąb korytarza zakończony ostrym zakrętem. Tu właśnie na gładkich płytach odbijały się jaskrawe refleksy, dostrzegalne już ze schodów. Zza ścian dochodził głuchy łoskot.

Nieznanomy wyprzedził nieco chłopca i pierwszy wyminął zakręt, wchodząc w krąg światła. Oślepiony blaskiem cofnął się jednak i chwytając Witka za ramię, zapytał z lękiem:

— Gdzie my jesteśmy?

— Przy centralnej kaskadzie — wyjaśnił chłopiec, ale nieznanomy zdawał się nie rozumieć jego słów.

— Nie pan założy okulary i idzie za mną! No, chodźmy już! — ponaglił chłopiec. — Zaraz pan zobaczy. To widok nie z tej ziemi! — pociągnął nieznanego za sobą.

Przed nimi kłębiła się ściana ognia. Snopy iskier, uderzając raz po raz o przezroczystą przegrodę, unoszone jakimś szalonym, wichrem, wystrzelały w górę tysiącnymi racami.

— Boże miłosierny! Co to? — nieznanomy wpił kurczowo palce w ramię chłopca.

— Istne piekło! — zaśmiał się z dumą Witek. — Przejdźmy trochę dalej na prawo. Stamtąd widać kręgi kaskady.

Nieznanomy szedł tuż za chłopcem, jakby się bał, że go zostawi samego. Oczy jego biegały niespokojnie wokoło, a usta szeptały nieprzerwanie jakieś słowa, zagłuszane dobiegającym zewsząd dudnieniem.

Wąska galeria otaczała półkolem gigantyczną studnię. Po przeciwległej stronie wypływała gdzieś z głębin ziemi i przelewała się po kilkudziesięciometrowych stopniach rzeka roztopionego metalu. Wielkie czarne łapy, podobne do okaleczonych dłoni olbrzyma, wysuwały się raz po raz ze ścian studni, sięgając aż do potoków ognistej cieczy, jakby próbowały bezskutecznie je zatrzymać. W dole, niczym mrugające oko jakiegoś potwora, pęczniało gorejące jezioro, aby za chwilę wystrzelić w górę jaskrawo białym gejzerem i zapaść się w głąb wirującego leja.

— No i co? Nie miałem racji? Prawdziwe piekło! — zapiął z zachwyty dyszkantem Witek.

Nieznanomy cofnął się gwałtownie aż pod przeciwległą ścianę.

— Piekło... — wy rzeził ochryple i przywarł gwałtownie do zimnej powierzchni ściany.

Witek patrzył na niego zdziwiony i chciał już zapytać, co tak bardzo zaniepokoiło nieznanego, ale oto dobiegł go z daleka głos ojca, rozprawiającego o czymś z ożywieniem.

Zza zakrętu wyłoniły się dwie postacie ludzkie. Ich czarne sylwetki rysowały się jak „chińskie cienie” na tle ognistego wnętrza studni.

— Już idą! — powiedział chłopiec wskazując na przybyłych.

Nieznajomy spojrział i nagle na twarzy jego pojawiło się przerażenie.  
— Nie! Nie! — krzyknął rozpaczliwie i osunął się zemdlony na podłogę.



## XIV. Sidła

Babcia Jolanta wyszła z domu, jak zwykle, przed szóstą. Lubiła te ranne godziny, gdy miasto dopiero budziło się ze snu, a szum silników nie głużył jeszcze świergotu ptaków. Szła zwykle piechotą aż na Ostrów Tumski do Św. Jana Chrzciciela. Ulice wyglądały wtedy zupełnie inaczej niż gdy wracała do domu, kiedy to opustoszałe początkowo jezdnie i chodniki przeobrażały się w oczach w wartkie potoki ludzi i maszyn, a później całe rzeki pojazdów i przechodniów.

Wracała zawsze przez Łaciarską, aby wstąpić po rogaliki dla Ewki do „prawdziwego” sklepu. Bo chociaż z zasady była „za postępem” — istniały w tej regule pewne wyjątki, a może raczej enklawy własnych przyzwyczajzeń. Należał do nich i codzienny spacer do Św. Jana Chrzciciela, i ów sklep na ulicy Łaciarskiej — gdzie pachniało świeżym pieczywem i mlekiem jak za jej młodości, kiedy nie było sprzedawców—automatów, lecz „zwykłe” panie sklepowe, z którymi można było pogadać, choćby tylko o źle zaplanowanej pogodzie.

Tego ranka pogoda była jak najprawidłowiej dopasowana do pory roku i gustów babci Jolanty, a w katedrze ludzi niewiele, co — jak mawiał słusznie jej spowiednik ksiądz Markowski — sprzyja medytacjom. Skąd mogła wiedzieć, że wszystko się „pokręci” i Ewka nie tylko pójdzie do szkoły bez rogała, ale będzie musiała sama zrobić sobie śniadanie i spóźni się na pierwszą lekcję.

Właśnie babcia wychodziła z kościoła, gdy od strony mostu wleciała na plac duża srebrzysta maszyna i zatrzymała się przed katedrą. Wsiadł z niej jakiś mężczyzna o bladej, zmęczonej twarzy i pożegnawszy się z pozostałymi w wozie towarzyszami, wszedł do kościoła. Ubrany był na czarno i jego niecodzienny, a zarazem jakby znajomy wygląd zaintrygował babcię Jolantę. Wróciła więc za nim do kościoła aby lepiej mu się przyjrzeć.

Mężczyzna klęczał przed głównym ołtarzem z pochyloną nisko głową i odmawiał szeptem modlitwę. Babcia Jolanta była teraz niemal pewna, że jest to jakiś znajomy ksiądz, ale gdzie i kiedy z nim się zetknęła — na próżno próbowała sobie przypomnieć.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że ma jeszcze trochę czasu. W ostateczności mogła zresztą wrócić do domu metrem, ale pozostawić zagadkę nie rozwiązana — tego by sobie nie darowała. Usiadła więc w pierwszej ławce i poczęła powtarzać litanie, nie spuszczając oka z klęczącego mężczyzny.

Czas jednak płynął, a przybyły nie wstawał z klęczek, pochłonięty całkowicie modlitwą.

Nie pozostawało nic innego jak znaleźć pretekst do nawiązania rozmowy. Wróciła do kruchty i kupiła w automacie medalik.

Mężczyzna modlił się nadal przy ołtarzu. Podeszła więc do niego i podała mały srebrzysty krążek. Mężczyzna przeżegnał się, wziął medalik i długo, w milczeniu patrzył na miniaturowy wizerunek Matki Boskiej.

— „Chwała na wysokości Bogu!” — powiedział nagle po łacinie przenosząc wzrok na babcię Jolantę.

— „...a na Ziemi pokój ludziom dobrej woli” — dopowiedziała bez zajknięcia i uśmiechnęła

się do niego.

Nie odwzajemnił uśmiechu, choć w wyrazie jego oczu nietrudno było dostrzec radość.

— Czy wiesz, o co się modliłem? — powiedział cicho w języku inter. — O to, aby spotkać kogoś takiego jak ty. Kogoś, kto odpowie mi słowem bożym...

— Poznałam cię, ojciec i dlatego wróciłam. Tylko... — zmieszła się — nie bardzo pamiętam nazwiska...

— Nie pamiętasz nazwiska? — zdziwił się szczerze. — A wiesz, siostrze, że niedawno spotkałem takich, co je znali, a nie wierzyli, że to ja...

— Coś nie bardzo rozumiem jak to możliwe...

— Myślę, że w tym też jest ręka Boża. Żeby mi jasno ukazać ślepotę tego świata.

Babcia Jolanta pokiwała głową.

— Różni ludzie bywają — odrzekła wymijająco. — Ale niech się ojciec nie przejmuje... Ja tam jak ktoś mi coś złego powie, albo inną sprawi przykrość, mówię sobie: i cóż mi z tego przyjdzie, że będziesz to rozpamiętywać? Czy coś tym naprawisz albo jego zmienisz?

— Tak nie można. Tych, co oczy mają na Prawdy Boże zamknięte, jest w tym świecie tak wielu, że serce się z bólu ściska... I nie wolno zaniechać walki o ich dusz zbawienie.

— Nie o to mi chodziło, lecz o własne krzywdy. Myślałam, że ojciec miał jakieś przykrości?

— Ja... Przykrości? Wielki Boże! Trzeba być na wszystko gotowym. Pycha ludzka straszne siły rozpętała na Ziemi. Piekielne siły. Odróżnić trudno, gdzie tylko ludzka przemyślność, a gdzie szatańska. A cel w tym jeden: zguba duszy ludzkiej!

— Sama nie wiem... — babcia Jolanta poruszyła się niespokojnie i spojrzała na zegarek.

— Tak jest! — podjął z naciskiem mężczyzna. — Czytałem kiedyś, dawno już, bardzo dawno temu, o otchłani piekielnej. O dziewięciu kręgach, gdzie jęczą dusze potępione, w każdym za inne przewiny. W ósmym kręgu gorszyciele i alchemicy, fałszywi doradcy i fałszywi mędrzy, ci co o Bogu zapominać każą, co dzieci z ojcami skłócają, co w pysze swojej przez powietrze jak ptaki próbują latać... Ósmy krąg piekieł! Oto dokąd świat dziś zmierza! Z tej drogi zawrócić trzeba!

Dziwaczny, patetyczny ton zaskoczył niemile babcie Jolantę.

— Muszę już wracać do domu! — przerwała delikatnie.

W istocie nawet nie było to kłamstwem, gdyż dochodziła siódma i powinna najdalej za kwadrans obudzić Ewkę.

Duchowny spojrzał na nią niespokojnie.

— Czy... czy nie mogłabyś zostać ze mną? Niedługo... ja też... Ja muszę lecieć do Rzymu. Z lotniska...

— Rozumiem. Niech ojciec idzie ze mną, to przesiądzie się po drodze na „21”.

— Na co?

— Podziemna linia „21”. Na lotnisko. Chyba, że ojciec ma tu wóz?

— Nie mam.

— No to chodźmy. Bo szkoda czasu.

Na ulicy panował już znaczny ruch. W starym, liczącym już blisko pół wieku metrze tłoczyli się w przejściach spieszący do pracy przechodnie.

— Już dawno powinni coś zrobić z tymi korkami — utyskiwała babcia, torując sobie drogę ku ruchomym schodom. — Gdzie indziej już dawno wprowadzono pospieszne pasy chodnikowe, a u nas ciągle zwlekają.

Dotarli wreszcie na peron i wraz z potokiem ludzkim do wnętrza wagonu.

— Ojciec wysiądzie na piątym przystanku, licząc od tego, na którym ja wyjdę! I przesiądzie się

na linię „21” Trzeba przejść tunelem — tłumaczyła babcia. — Rozumie ojciec?

— Ja... nie wiem — wyjąkał patrząc błagalnie na nią. — Może by jednak...

— Nie mam czasu. Jak ojciec nie będzie mógł trafić, to spyta kogokolwiek.

— Nie zostawiaj mnie samego!

Wydał jej się bezradny jak dziecko.

— Ale z ojca gamoń! Proszę mi wybaczyć, że tak mówię...

— Ja bardzo proszę... Ja jeszcze chciałem coś powiedzieć... Coś ważne... Bardzo ważnego...

— No, to niech ksiądz mówi! Szkoda czasu...

— Tu? — rozejrzał się bezradnie po otaczających ich pasażerach.

— No, a gdzie? Niech się ojciec nie obawia. Nikt się tu nami nie interesuje.

— Tak mówisz?... Wiem... Nikt nas nie dostrzega, choć wszyscy patrzą na nas...

— Nie rozumiem, o co ojcu chodzi? — zapytała już z pewnym zniecierpliwieniem.

Nachylił się ku niej i począł szeptać tuż przy uchu:

— Czy nie myślisz, że te czasy, czasy upadku, nie mogą już długo potrwać? Że Bóg tylko po to, aby ludzi doświadczyć, pozwala szerzyć się pysze i bezbożności? Każdy kto w wierze pozostał, kto chce naprawdę Panu Naszemu służyć, powinien nie lękać się Szatana i błędzącym drogę wskazywać!

— Nie takie to proste, ojczy — westchnęła babcia i zamyśliła się.

— Wiem... Ale czekać beczynn timer nie wolno. Jeśli ci kto usta chce zamknąć, nie pozwól... Jeśli zgorszenie siebie, mędrkowaniem bałamuci...

— Ba! — przerwała babcia Jolanta. — W tym rzecz, że to, co ojciec mówi, to tylko teoria. W praktyce wszystko wygląda inaczej. Wiem coś o tym. Mam wnuczkę... Ewa jej na imię. Jak się urodziła, mówię do córki: „Dziecko trzeba ochrzcić”. A ona na to: „Ja się nie zgadzam”. Bo musi ksiądz wiedzieć, że córka i zięć ateiści. Kościół dla nich — „zabytek”, „dzieło sztuki” i to wszystko.

— Straszne...

— Niech ojciec słucha. To dopiero początek. Więc jak mi tak córka powiedziała, to ja nic. Wiem, że nie ma co z nimi dyskutować, bo i tak nie rozumieją. Myślę sobie, jak wy tacy, to ja ją i tak ochrzczę. Po kryjomu! I pojechałam do znajomego księdza. Ale nie chciał. Powiedział, że mu nie wolno bez zgody rodziców. Inni też nie chcieli. Cóż miałam robić? Ochrciłam sama dziecko „z wody” i postanowiłam sobie, że je wychowam w wierze. Nie dam duszy zmarnować!

— Tak. Tak trzeba. A oni?

— Widzi ojciec... W mojej sytuacji to nie było takie trudne. Zięć i córka z zawodu oceanolodzy. Często wyjeżdżają i to na długo. Nieraz i pół roku ich nie ma.

— Co oni robią?

— Prowadzą badania mórz i oceanów, przeważnie podwodne... — urwała nagle i spojrzała za przestrachem w okno. — Ale ze mnie!... Przejechałam stację. To wszystko dlatego, że się zagadałam. Nie ma rady — westchnęła z rezygnacją. — Chyba jednak wysiądę razem z księdzem i pokażę, gdzie ma jechać...

— Bóg ci wynagrodzi.

— A to wszystko przez to, że jak sobie pomyślę o Ewce, o córce i zięciu... Już nie wiem sama, co mam robić. Może mi ojciec coś doradzi?

— Mów szczerze!

— Bo to... wszystko wychodzi nie tak, jakby człowiek chciał. Początkowo niby dobrze się składa, a potem okazuje się, że wszystko na opak. Tak też było z Ewką. Przez pierwsze dwa lata po jej urodzeniu córka nigdzie nie wyjeżdżała. Więc niewiele mogłam zdziałać. Ale potem, jak ich nie było miesiącami, prowadziłam wnuczkę do kościoła, pacierza nauczyłam... Aż tu pewnego razu

właśnie córka i zięć wrócili z ekspedycji, gdy Ewka, jak to dziecko, chciała się przed rodzicami pochwalić. Więc wieczorem klęka i zaczyna mówić pacierz. Myślę sobie: będę teraz miała za swoje... Córka zrobiła się czerwona i widać, że tylko przy Ewce nie chce zrobić awantury. Ale zięć się przymilnie uśmiechnął i mówi: „Widzę, Ewuniu, że babcia cię pięknie nauczyła mówić paciorek. A wiesz, o czym jest ten paciorek?” — pyta niby tak sobie. Oczywiście dziecko powiedziało, że nie wie. Ewka miała wtedy zaledwie cztery lata. Myślę sobie: co się za tym kryje? I czekam. Ale on tylko powiedział: „Poproś babci niech ci to jutro wytłumaczy”. A do mnie, że dziecko nie powinno powtarzać słów, których nie rozumie. Aż mnie zatkało. Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Ksiądz go zresztą nie zna. W dyskusje nie ma się co wdawać. Potrafi na wszystko znaleźć wytłumaczenie i to takie, że nawet trudno się obrazić. Do tego na religii zna się lepiej niż niejeden wierzący.

— Tacy są najgorsi...

— Nie to chciałam powiedzieć. Mówiąc szczerze byłam nawet zadowolona. Bo przecież nie powiedział „nie”. A przeciwnie — nawet niby to zachęcał, abym dziecko uczyła religii. Potem dopiero „wyszło szydło z worka”. Gdy już Ewka poszła spać, mówię mu, że może i ma rację, ale takiemu małemu dziecku nie wszystko jest sens tłumaczyć, bo niewiele rozumie. A on mówi na to: „To po co mama ją tego uczy?” Więc myślę sobie: jeśliś taki mądry, to ja też nie głupia, i mówię: „A jak będzie większa i rozumie, to co? Nie będziecie się sprzeciwiać?” I wykręcić się nie mogł. Musiał się zgodzić! Tyle, że jak wnuczka była starsza, miała jakieś sześć, siedem lat, zaczął z nią sam na temat religii rozmawiać, po swojemu...

— Błuznił...

— Tego to nie. Kiedyś nawet bronił mnie przed córką, kiedy zaczęła gadać, że wszystko, co mówiłam Ewce, to bzdury. Przynosił też różne książki z ilustracjami. Początkowo myślałam nawet, że się nawrócił. Bo to był i katechizm ilustrowany, i pismo święte w obrazach. Nie sprzeciwiał się, żebym Ewce czytała, a nawet zachęcał. Potem jednak zaczął przynosić także inne książki i albumy... O bogach greckich i egipskich, azteckich i jeszcze jakichś tam... Wtedy zrozumiałam, do czego zmierza. Widać było, że dziecku chce w głowie zamącić. Więc mu kiedyś o tym powiedziałam. A on na to, że niby ja nie wiem, czego chce. Zapytałam go: „A ty czego chcesz, bo ja ciebie nie rozumiem?” Wtedy jego wzięło na szczerłość i zaczął się rozwodzić: a to, że on tak dlatego ewangelię pozwala dziecku czytać, że to niby należy do literatury i że każdy człowiek kulturalny powinien to znać tak samo jak Iliadę. Pomyślałam sobie: „Stąd żeś taki łaskawy... Ale mnie nie przechytrzysz! Zobaczmy, czyje będzie na wierzchu”. I miałam rację! Kiedyś, gdy byłam z Ewką w kościele, zaczął nas ksiądz. Ewka miała wtedy dziesięć lat. Ksiądz zaczął rozmawiać z nią, takie różne pytania zadawać, z katechizmu... A ona mu odpowiedziała tak mądrze, rozsądnie, że aż się zdziwił... i potem mówi do mnie: „Trzeba by dziecko do komunii przygotować”. A ja na to, że ona nawet nie ochrzczona, tyle co z wody... Lecz wzięłam sobie to do serca i od czasu do czasu Ewce napomykałam o tym. No, ale już dojeżdżamy — zmieniła temat. — Trzeba się przesiąść na linię „21”.

Wysiedli. Babcia Jolanta poprowadziła swego towarzysza podziemnym przejściem na inny peron.

— Chyba jednak was dowiozę na samo lotnisko! — oświadczyła po drodze. — Stąd już niedaleko.

— I co było dalej z wnuczką? — dopytywał się, wyraźnie zainteresowany opowieścią.

— Ano, w jakieś półtora roku później, jak to się mówi „bomba pękła”! Właśnie rodzice mieli wrócić z ekspedycji, gdy Ewka mówi do mnie żebym porozmawiała z nimi... Wiedziałam, że dziecko się boi i nigdy samo się nie odważy powiedzieć. Więc chociaż zdawałam sobie sprawę, że czeka mnie ciężki orzech do zgryzienia, zaraz, po ich powrocie mówię do córki: „Ewka chce iść do

komunii”... W nią jakby diabeł wstąpił: „Tego nam tylko brakowało! To mamy robota!” I zaczęła się pieklić. A gdy próbowałam przemówić jej do sumienia, to trzasnęła drzwiami i poszła do siebie. Słyszałam, jak krzyczała, że to wszystko przez niego, że nie załatwił umieszczenia dziecka w internacie. Ale potem on coś zaczął mówić i się uspokoiła. Zięć przyszedł do mnie i powiada: „Jeśli Ewka sama naprawdę chce — nie będziemy się sprzeciwiać. I że to niby zakazany owoc najlepiej smakuje. Ja sobie pomyślałam: Ty sobie mów, co chcesz, grunt, żeby Ewkę w wierze umocnić.

— Tak! Po stokroć tak!

— A potem zawołali Ewkę i wypytywali, czy jej na tym bardzo zależy i dlaczego? Wnuczka była trochę przestraszona i język jej się plątał, ale ostatecznie wszystko dobrze poszło. Tyle, że zięć wymyślił, żeby Ewka sama się przygotowała i wszystko załatwiała, a nie ja... Chcieli ją zniechęcić...

— Biedne dziecko!

— Ale się przeliczyli. Wszystko poszło jak z płatka. A gdy zięć pół roku temu formalnie wyraził zgodę, ksiądz, nie bardzo wiedząc, co i jak, gratulował mu takiej córki... Byli też oboje — córka i zięć, i na chrzcie, i przy pierwszej komunii... I prawdę powiedziawszy złego słowa od nich nie usłyszałam od tego czasu... Po miesiącu zresztą znów musieli wyjechać... I to na całe pół roku! Już teraz piąty miesiąc mija, jak ich nie ma.

— Wielka zasługa twoja przed Bogiem...

Babcia Jolanta uśmiechnęła się gorzko.

— Kiedy właśnie, że nie wiem...

— Jak to? Przecież mówiłaś.

— Tak... ale... Właśnie nie wiem sama, co robić... Boję się, że mogę wszystko zmarnować... I Bóg mi nie wybaczy...

Patrzył na nią z niepokojem.

— O czym mówisz, kobieto?

— Boję się, że nie potrafię zapobiec... Że ona się zmieni. W pierwszych tygodniach po uroczystości była jak aniołek... Codziennie w kościele, do Stołu Pańskiego na każdej mszy przystępuje i u spowiedzi była dwa razy... Ale później, już po wyjeździe rodziców, zaczęła się zaniedbywać... Myślałam, że po prostu za dużo ma zajęć w szkole... Ale zauważyłam, że wynajduje sobie usprawiedliwienie. Więc jej mówię: „Co z tobą, dziecko? O Bogu zapominasz?” Przymuszała wtedy, że pójdzie do spowiedzi. Ale nie poszła... I do kościoła coraz rzadziej. A kiedy jej do sumienia próbowałam przemawiać, to tylko się zaczerwieniła i nic nie odpowiedziała. Więc poszłam do księdza i pytam, co robić. A on mówi, żeby poczekać, nie zmuszać, najwyżej delikatnie przypominać. Lecz to też nie pomaga. I tak minął miesiąc, potem drugi i trzeci, a z nią coraz gorzej. Więc zaczęłam ostrzej. Pytam: „Co to.? Czy już Pana Jezusa nie kochasz?” A ona na to: „Sama nie wiem...”

— Jad diabelski w duszę zapuścili... Modlić się za to dziecię trzeba...

— Ach, ojczy! Stale się modlę... Ale samą modlitwą tu nic nie można zdziałać...

— A nie mówiłaś, co jej grozi? O duszach potępionych na wieki. O siarce i ogniu piekielnym? O mękach okrutnych... O Lucyfera królestwie?

— Co też ojciec mówi?! Przecież tak nie można. Wyśmiałyby mnie! Ona ma swój rozum.

Patrzył na kobietę w osłupieniu. Wypieki wystąpiły mu na policzki, a wargi poczęły drżeć nerwowo.

— Co ojcu jest? — zapytała z niepokojem.

Ale właśnie zatrzymali się na końcowej stacji i trzeba było opuścić wagon.

— To już lotnisko. Wysiadamy! — wyjaśniła biorąc pod ramię nieznajomego.

Szarpnął gwałtownie rękę i podążył sam ku wyjściu pospiesznie, nie oglądając się za siebie.

Dogoniła go już na peronie.

— Co się ojcu stało?

Zatrzymał się. Chwilę patrzył na nią ponurym wzrokiem.

— Więc i ty nie wierzysz? — powiedział z żalem.

— Co znaczy „nie wierzę!” — oburzyła się babcia Jolanta.

— Nie wierzysz w piekło!

— Wierzę, ale przecież nie w takie bajki!

Mężczyzna zacisnął kurczowo powieki.

— Boże... Boże... Zmiłuj się nad nimi!... — usłyszała jego pełen rozpaczony szept.

\*

Nad zgiełkiem rozmów i przytłumionym szumem silników górował głos megafonu:

— Kierownik wycieczki Wrocław–Rzym prosi doktora Michała Mroza o przybycie do sektora dwunastego. Za osiem minut start!

Dyżurny biura podróży jeszcze raz przebiegł wzrokiem listę. Brakowało tylko tego jednego uczestnika.

— Już dłużej nie możemy czekać — powiedział do kierownika wycieczki. — Doślę ci go następną maszyną.

— No cóż, nie ma rady. Zostawiam jego kartę.

Dyżurny stał jeszcze chwilę, czekając aż jego kolega zniknie w głębi pasażu prowadzącego na pole startowe. Potem ruszył wolno z powrotem.

Tuż przy wejściu do hallu wpadła na niego jakaś kobieta ciągnąca za sobą niewysokiego, czarno ubranego mężczyznę.

— Państwo dokąd?

— Czy samolot do Rzymu już odleciał? — spytała z nerwowym pośpiechem.

— Zaraz startuje. A pan może uczestnik wycieczki, doktor Michał...

— Tak! Tak! — przerwała gwałtownie. — Czy już nie zdąży?

— Start za trzy minuty! Tu pańska karta uczestnictwa! Proszę tędy!

— Do Rzymu? — zapytał mężczyzna biorąc kartę.

— Tak. Do Rzymu. Niech pan nie zwleka! Odprowadzę pana!

— To ja już wrócę — oświadczyła kobieta. — Do widzenia, ojcze!

— Bóg z tobą! — zawołał mężczyzna już z daleka, podążając za urzędnikiem.

Na pole startowe przybyli niemal w ostatniej chwili.

— Miał pan szczęście! — mówił urzędnik. — Jeszcze minuta zwłoki i musiałby pan czekać do jutra albo lecieć przez Warszawę. Życzę przyjemnej podróży!

Drzwi zamknęły się i maszyna poczęła sunąć szybko w stronę szybu startowego, aby w kilkadziesiąt sekund później wznieść się w powietrze.

Dyżurny uczył czyjeś dotknięcie. Za nim stał wysoki młody człowiek z torbą podróżną przerzuconą przez ramię.

- Czy to samolot do Rzymu? — zapytał przybyły.
- Tak, do Rzymu.
- A to pech... Spóźniłem się głupie pięć minut...

## XV. Misja

Modlił się długo i żarliwie. Półmrok wypełniający kaplicę, płomyk wiecznej lampki przed ołtarzem i cisza panująca wokoło działały kojąco po ostatnich, jakże pełnych nerwowego napięcia godzinach. Czuł się tak, jak gdyby po dalekiej, męczącej podróży wrócił w mury klasztorne, gdzie spokoju i kontemplacji nie mącą odgłosy Przemijającego Świata. Bo też luna bijąca od ulic i gmachów tylko nieznacznie rozpraszała tu ciemności, a nawet szum „wiecznego miasta”, jakimś cudownym sposobem, nie był w stanie przekroczyć progu świątyni.

Chwilami wydawało mu się, iż to wszystko, co przeżył w ostatnich miesiącach, było tylko koszmarnym snem, że nic się nie zmieniło, i tak, jak od lat wielu, modli się nocną godziną samotny w kościele. Niestety, świadomość rzeczywistości wracała raz po raz, mącąc spokój, jaki spływał w jego duszę wraz ze słowami modlitwy. Chciał zapomnieć o świecie istniejącym za tymi murami, lecz jednocześnie ogarniał go lęk, czy pragnienie owo nie jest grzeszną ucieczką od tego, co niezbadane wyroki Opatrzności jemu przydały w udziale. Czyż to, że znalazł się na Ziemi w czasach nowego upadku — jak je w myślach nazywał — nie było próbą? A może to nie tylko próba, lecz także misja, której musi sprostać, nie bacząc na słabość ciała i ducha, inaczej bowiem popełniłby zdradę wobec Pana Najwyższego.

Ta myśl, kielkująca od wielu tygodni w jego mózgu, teraz narzucała się z nieodpartą siłą.

Z jakąż nadzieją i ufnością szedł jeszcze dwanaście godzin temu przez plac przed bazyliką. To, co tu ujrzał, prześcigało najśmielsze oczekiwania: oto Stolica Piotrowa jeszcze piękniejsza niż ta, którą widział przed wiekami. Wówczas wznoszono dopiero kopułę bazyliki, nie było wspaniałego portyku, setek posągów świętych pańskich, spoglądających z góry na plac. Nie wznosił się tu jeszcze ogromny obelisk z krzyżem na szczycie.

Ten widok „największego kościoła świata” pochłonął go bez reszty. Nie zwracał niemal uwagi na grupy ludzi dążących w różnych kierunkach. Ginęły one zresztą wśród kolumnady okalającej plac Św. Piotra w ogromie przedsiionków i naw kościoła.

Szedł coraz dalej i dalej, jak we śnie, a usta jego powtarzały machinalnie słowa modlitwy Pańskiej:

— Przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w Niebie tak i na Ziemi...

Jak długo trwała ta wędrówka — nie wiedział. Nie zdawał sobie sprawy, dokąd i po co dąży. Nagle ujrzał przed sobą ołtarz i księdza w ornacie, wznoszącego w górę kielich. Rzucił się na kolana, a w ściśniętym wrzuceniu gardle uwięzły słowa modlitwy. Nic to, że nabożeństwo różniło się liturgią od tego, do którego przywykł w swym przeszłym życiu. Zdążył już oswoić się z myślą, że czas wszędzie pozostawił ślady... Istotne było, że treść sakralna pozostała ta sama.

Gdy tak klęczał, chłonąc chciwie oczyma każdy ruch kapłana przy ołtarzu, poczęło wzbierać w nim pragnienie zrzucenia z siebie ciężaru grzechów, dźwiganego od miesięcy. Czuł, że nie jest godzin przystąpić do Stołu Pańskiego.

Na prawo pod ścianą ujrzał księdza w konfesjonale. Klęcznik przed kratą był wolny. Czyż mógł



przewidzieć, że spowiedź ta stanie się dla niego nową, jakże ciężką próbą.

Czy postąpił tak, jak powinien był postąpić? Czy gniew, który go ogarnął po słowach spowiednika, był gniewem świętym? Policzkując tego fałszywego sługę bożego uczynił tak, jak nakazywał mu obowiązek. A jednak...

Ale czy mógł inaczej?

Czy wolno mu było pozostać biernym wobec herezji głoszonej z konfesjonału?

Gdybyż mógł mieć pewność, że to był tylko jeden zbłąkany brat... A jeśli ich jest wielu? Jeśli Szatan i tu rzucił swe zatrute ziarna? Wszak bywało już nieraz...

Dlaczego tu wszyscy jakoś dziwnie patrzą na niego? Dlaczego, gdy po incydencie ze spowiednikiem zbliżył się do grupy rozmawiających księży, miast poprzeć go, rozpierzchli się w milczeniu? Dlaczego nie odpowiadają na jego pytania? Unikają z nim szczerzej rozmowy? Nawet ów młody kleryk, który zapytany o kardynała Lorcę doprowadził go aż do bram pałacu gdzie mieści się Papieski Komitet Nauk Historycznych — na indagację odpowiadał tylko półsłówkami...

I czy istotnie kardynał był aż tak zajęty, że nie mógł go tego wieczora przyjąć? Prawda, wyznaczono termin audiencji na rano i zaproponowano zwiedzenie pałacu, a gdy zapragnął pomodlić się w kaplicy, pozostawiono go tu samego. Lecz instynktownie czuł, że wokół niego „dzieje się coś”, czego nie może zrozumieć...

Szmer otwieranych drzwi i przytłumiony odgłos kroków przerwał potok myśli zakonnika.

Ktoś szedł wolno w kierunku ołtarza. Był coraz bliżej i bliżej Modesta. Wreszcie zatrzymał się kilka kroków od niego i wsparł ciężko na klęczniku.

Znów zapanowała cisza, przerywana tylko rytmicznym oddechem dwóch ludzi.

Trwali tak obaj dłuższą chwilę, aż w końcu Modest, nie mogąc pokonać wzrastającego w nim nerwowego napięcia, odwrócił głowę i spojrzał.

Obok niego klęczał starzec w długiej jasnej szacie. Czy była to sutanna czy habit zakonny, tego Münch nie potrafił odróżnić.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — przemówił starzec po łacinie, dostrzegłszy ruch głowy inkwizytora.

— Amen! — dokończył Modest podnosząc się z klęczek.

— Przejdźmy tu do ławki, synu — powiedział wskazując na stalle. — Tu widniej.

Starzec usiadł, zaś Modest stanął obok w milczeniu i dopiero na przyzwalające skinienie zajął miejsce obok niego.

— Chcesz się widzieć z kardynałem Lorcą?

— To wy, eminencjo? — wyszeptał Münch wpatrując się w twarz starca.

— Nie. Nie jestem kardynałem Lorcą. Jutro cię przyjmie. Powiedz mi jednak, o czym chciałeś z nim mówić?

— Ja... — rozpoczął i urwał. Potem nagle wyrzucił z siebie beładny potok słów. — Ja... Ojcze czcigodny, ja nie wiem. Ja widzę, a nie rozumiem... Ja słyszę, a uszom nie śmiem wierzyć... To wszystko... ten świat... ja nie wiem... Może błędzę... Ale przecież... Ojcze, ja boję się...

Umilkł raptownie.

— Czego się boisz, synu? Otwórz przede mną serce, a może potrafię ci pomóc.

Łagodnie oczy starca patrzyły z powagą na Modesta.

— Tak, ojcze. Moja dusza jest słaba i potrzebuje pomocy...

— Mówiono mi, że byłeś na mszy.

— Tak, ojcze, byłem. Powiedz mi, ojcze czcigodny, ty, który z pewnością jesteś blisko kardynałów, może nawet widzisz Jego Świątobliwość... Powiedz mi: czy ten świat jest światem

bożym? A Kościół nasz święty? Gdzie władza jego sięga? Czyżby tylko tu, w Rzymie?...

— Widzisz... — odrzekł z powagą starzec — wiele się zmieniło... Inaczej jest dziś, niż było wówczas, kiedy widziałeś ten świat młodymi oczami. I nasze zadania są inne, choć cele te same.

— Ale przecież są księża! Są biskupi! Kardynałowie! Ojciec Święty!

— No, tak. Ale...

— Dlaczego Kościół nie walczy? Dlaczego pozwala?

— Na co, synu?

— Jak to na co, ojczu? Przecież to nie jest to!... Gdzie jest Królestwo Boże na Ziemi? Czyż nie dalej jego jesteśmy, niżli bliżej?

— Nie nam mierzyć drogę, którą przyjdzie jeszcze przebyć. Droga ta jeszcze daleka, ale nie taka, jak ci się, synu, wydaje... Jedno ci powiem: nie wszystko to, co za konieczny przymiot Królestwa Bożego uznawać zwykliśmy właściwie rozumiano przed wiekami.

— Tak, ojczu, heretyków i kacerzy wielka moc się namnożyła...

— Nie to miałem na myśli. Posłuchaj i rozważ to, co ci powiem. W życiu człowieka różne są okresy: dzieciństwo, młodość, wiek dojrzały... Dobra matka, troskająca się o swe dziecko, za rączkę nieraz je prowadzić musi, bo niewiele rozumie ono z tego, co mu na dobre albo na złe wyjść może. Kiedy zaś rozsądku młoda latorośl zaczyna nabierać — pouczeniem, rozkazem i ostrzeżeniem, a czasem też nagrodą albo i karą matka wskazuje mu drogę życia. Potem przychodzi wiek młodzieńczy, jakże trudny dla obojga okres. Młodość buntować się poczyną przeciw władzy matczynej. Chce być samodzielna, samemu rozumem dochodzić, co dobre a co złe. Myli się przy tym nie raz, doświadczenia nie mając i skrycie żałuje, że wskazań matczynych nie słuchała. Ale i matka powinna wykazywać w tym czasie wiele wyrozumiałości, cierpliwości i rozwagi. Jeśli tego nie potrafi, może zaufanie dziecka postradać i miast je przy sobie utrzymać, na zawsze utracić. Kiedy wreszcie dojrzałość człowiek osiągnie, radą i przestrogą mu tylko trzeba służyć, otuchy dodawać... Nie nakazy i przyzwolenia, lecz własny rozum i umiejętność odróżniania ziarna od plew winny drogę wskazywać... Żle, gdy matka zbyt późno tę prawdę pojmie...

Starzec umilkł i zamyślił się.

— Dlaczego o tym mi mówisz, ojczu czcigodny? — zapytał Münch po chwili, na próżno usiłując zrozumieć sens usłyszanych słów.

— Dlaczego mówię? — starzec ocknął się z zamyślenia.

— Słuchaj! Kiedyś, dawno temu mniemano, że człowiek jest i pozostanie zawsze taki sam, jakim go Stwórca do życia powołał. Ale tak nie jest. Ludzkość, na podobieństwo człowieka, ma też swe dzieciństwo, młodość i wiek dojrzały... Pięć wieków temu w młodość ona wkraczała, dziś wieku dojrzałego poczyną dochodzić.

— Dziwne i niepojęte jest to, o czym mówisz, ojczu. Czy chcesz powiedzieć, że tak właśnie ma spełnić się przyrzeczenie Pana Naszego Jezusa Chrystusa o Królestwie Bożym? To być nie może!

— Jeszcze nie nadszedł czas... Trzeba więcej kochać i więcej rozumieć... Jeśli dziś świat nie z Kościołem, lecz obok Kościoła przechodzi, to chyba dlatego, że nie dość mocną była nasza wola kochania.

— Ojczu! Czyż może być bliski Bogu świat, który wierzy tylko w rozum? Który nie widzi Boga i nie czci Go, jak przykazał czynić Zbawiciel? Przecież napisane jest: „Wniwecz obrócę mądrość mądrych a rozum rozumnych odrzucę! Albowiem mądrość tego świata głupstwem jest u Boga”.

— To, czego nauczał Chrystus Pan, jest prawdą wieczystą. Ona jest dla nas, którzy wierzymy w Zbawiciela, drogowskazem. Ale wieczystość prawdy w jej treści spoczywa, a nie w słowach tylko. Słowa różnie tłumaczone bywały, nie zawsze tak, jak należało. Często niewiedza, jak bielmo, oczy

przysłała. Czasem i potrzeba doraźna... Tłumaczyć słowa Pana Naszego to sprawa niełatwa, wielkiej wiedzy i mądrości wymagająca. Mówisz, że dziś człowiek wierzy tylko w rozum. Tak jednak nie jest. Czy myślisz, że o samą mądrość dla mądrości tu chodzi? Rozum pozwala człowiekowi wybrać dobro, a odrzucić zło.

— Nie zawsze, ojcze. Herezja często do rozumu się odwołuje... Kiedy wiary zabraknie, nic z mądrości. „Nie posłał Bóg Syna swego na świat, aby sądził świat, ale by świat był przezeń zbawiony. Kto wierzy weń, nie będzie osądzony. Ale kto nie wierzy, już jest osądzony, iż nie wierzył w Imię Jednorodzonego Syna Bożego”!

Umilkł patrząc na starca wyczekująco.

— Dlaczego nie mówisz dalej? — zapytał starzec surowo. — Jakie są dalsze słowa?

Münch zmieszał się.

— Nie pamiętam, ojcze.

— Więc ci przypomnę: „A ten ci jest sąd, że światłość przyszła na świat, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność niż światłość, bo były złe uczynki ich. Każdy bowiem, kto źle czyni, nienawidzi światłości i nie idzie na światłość, aby nie były zganione uczynki jego. Lecz kto czyni prawdę, przychodzi do światłości, aby były jawne uczynki jego, iż w Bogu są czynione!”

— Do czego zmierzasz, ojcze? — zapytał Modest niepewnie.

— W czym widzisz zło świata tego, synu? Mówisz, że Kościół nie walczy? Gdzież owa nieprawość, którą toleruje? Wymień ją!

— Ojcze, byłem w kościele i widziałem...

— Co widziałeś?

— Widziałem ludzi, którzy się nie modlą!... Słyszałem z ust kapłanów słowa, które w moich czasach zmasakrować mógł tylko ogień! Chciałem się wypowiadać... Oczyszczyć duszę z grzechu, który na niej ciąży... I nie mogłem! Czy ty wiesz, ojcze — podniósł głos — że tu, w samej stolicy Piotrowej, sami kapłani... Nie! Czy można tego nie widzieć?! Zaraza! Zaraza! Trzeba wypalić! Trzeba zniszczyć!!!

— Co chcesz zniszczyć?

— Powiedz, ojcze! Cóż Święte Oficjum?! Może już nie istnieje?! — zapytał z lękiem.

— Wiele się zmieniło...

— Co?! I ty też to mówisz? Ja nie rozumiem. Wszędzie słyszę te słowa! Oni też to mówili!...

— Kto?

— Tamci!... Od których uciekłem... Może źle uczyniłem? Może trzeba było zostać?... Walczyć?

...

— Z kim?

— Z Szatanem! — przypadł gwałtownie do starca. — A czy ty... ty, ojcze, czy wierzysz w Boga?!

— Wierzę.

— Gdzie on?

— Wszędzie.

— Nieprawda! Nieprawda! Tam, gdzie Boga się nie chwali, otwiera się dostęp mocom piekielnym! Czyż może być prawość bez przestrzegania przykazań? „Będiesz miłował Pana Boga swego ze wszystkiego serca swego, ze wszystkiej duszy twojej, ze wszystkiej siły twojej, ze wszystkiej myśli twojej!”

— „A bliźniego swego jak siebie samego”.

— Właśnie! Czy wolno zapominać o jego duszy? Powiedz, ojcze! Widziałem księgi. Wiele ksiąg.

Strasznych ksiąg. Wystarczy spojrzeć na nie, aby zrozumieć, komu służą... Ze złego ziarna nie zbierzesz dobrych plonów.

— Tak, synu. Ale tylko w pełnym świetle można dostrzec, czy ziarno jest złe, czy dobre.

— Tym światłem są prawdy przez Boga objawione. Symbol wiary na Soborze w Trydencie przyjęty mówi, że...

— Wiem, synu — przerwał łagodnie starzec. — Nie jestem pewien, czy mnie zrozumiesz, ale ci to powiem, że choć prawda jest wieczna i zawsze ta sama, inaczej dziś widzi Kościół sens walki o nią niż na Soborze Trydenckim.

— Inaczej?! — Modest wpatrzył się z lękiem w twarz starca. — A więc tak?! Wiedziałem... Oto tu! W Rzymie! W murach świątyni Piotrowej... Słuchaj, ojcze! — chwycił go za ramię i potrząsnął gwałtownie. — Powiedz mi: czy nie widzisz w tym palca bożego. Iż ja, nędzny sługa Kościoła, znalazłem się tu?

— Nic się nie dzieje wbrew woli Pana Naszego...

— Tak. Właśnie tak. Jestem tu, bo Bóg tak chciał! Jestem tu, aby dać świadectwo Prawdzie! Przed Bogiem i światem!... Czy wolno dopuszczać, aby podnosiła głowę herezja? Aby moc szatańska panowała nad ludem bożym? „A kto by się mnie zaparł przed ludźmi, zaprę się go i ja przed Ojcem moim?” Trzeba obudzić śpiących!!! „Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz!” Czyż nie takie są słowa Pana Naszego Jezusa Chrystusa? Nie może być pokoju między prawdą i fałszem! Między siłami niebios i piekieł! Tyś już stary, ojcze, nie masz może sił, żar duszy twej wygasł... Ale ja ten żar czuję!... Dojdę choćby do samego papieża!

— I co mu powiesz? — zapytał starzec cicho.

— Powiem mu... Powiem, że gotów jestem dać z siebie siły wszystkie, a jak trzeba i życie... Aby dać świadectwo Prawdzie! Niech mi tylko zezwoli, a uczynię wszystko, aby imię boże znów zajaśniało na tej ziemi pełnym blaskiem! Niech głos jego ze stolicy Piotrowej wstrząśnie sumieniami pasterzy, którzy swej owczarni poniechali!... Niech ogłosi nową, świętą krucjatę przeciw nieprawości świata tego... Niech zadrżą ci, którzy zadufani w swą moc, nad kościół Święty wynosić się ośmielają!

— Nie tędy wiedzie droga, synu. Bywało kiedyś, że samo imię Świętego Kościoła za świadectwo prawdy służyło. Ale pomyśl, synu, czy samo imię wystarczy? Przecież nie w samym jego imieniu sens i racja Prawdy. Kościół jest takim, jakie są sługi jego. I niech pilnie baczą na siebie, a za jego imieniem się nie kryją! Nie żyjemy sami na Ziemi i racje nasze ważone są tak samo jak innych...

— Prawda Chrystusowa jest wieczna!

— Wieczna! Ale racje jej trzeba światu ukazywać nie siłą oręża, lecz uczucia i rozumu. Co więcej, nie można ich raz na zawsze dowieść, choćby i przed wiekami użyteczne były. Trzeba te racje udowadniać co dnia, za każdym razem od nowa. Świat bowiem inny jest dziś, niż był wczoraj, i inny będzie jutro. Udowadniać, a nie narzucać, przekonywać, a nie żądać ślepego posłuchu. Trzeba ze światem wieść rozmowę rzeczową, umieć swego dowieść, ale i innych argumenty przyjmując, jeśli są słuszne.

— Czyż można z wrogami wiary paktować?

— W innych czasach dziś przyszło nam żyć, synu — powiedział z westchnieniem starzec. — Nie myśl, że Kościół nasz nie boleje nad tym, iż świeckie formy bytowania ludzkiego dominację na tym świecie zdobyły. Czy jednak nie dana nam lepsza, ewangeliczna część?... Gniew i oburzenie choćby z najsłuszniejszych wypływały intencji, na manowce mogą prowadzić... Rozwagi dużo potrzeba i cierpliwości. Łatwiej zgubić niżeli odzyskać zgubę. Pomyśl, synu...

Münch patrzył niepewnie na starca.

— Nie wiem, co znaczą słowa twoje, ojciec czcigodny.

Starzec opuścił głowę na piersi i przymknąwszy powieki trwał tak nieruchomo dłuższą chwilę.

— Pytasz, synu, czemu Kościół do krucjaty nie wzywa? — podjął wreszcie, jakby z wysiłkiem.

— Był czas, gdy świat, który cię tak przeraża, dopiero rodzić się poczynał. Wydawało się wtedy, że tylko poprzez walkę z tym światem można ludzkość dla Boga uratować. Ale chociaż Kościół nasz nie szczędził sił — a wierz mi, siły jego wówczas niepomierne potężniejsze niż dziś były — nie na wiele się to zdało. Chociaż bowiem jest to świat nie w wierze, lecz w rozumie swych dróg szukający, wiele zła i nieprawości od wieków człowieka trapiących zdołano w nim wyplenić. I w tym jego siła!... Nie może być więc on dziełem Szatana, jak mniemasz, synu. Ślepotą byłoby nie widzieć tego i właściwych wniosków nie wyciągnąć... Nie przeciw światu temu, lecz wraz z nim podążać trzeba, pilnie bacząc, aby drogi nie zgubić i tego, co najcenniejsze w spuściźnie chrystusowej, nie zatracić. Nie o blaski chwały Kościoła tu chodzi lecz o jego istnienie... Czy ty mnie rozumiesz?

— Tak, ojciec. Straszny jest sens tego, co mówisz...

— Nie bądź małej wiary! Drogi Opatrzności są niezbadane...

— Wiem o tym. Ale... jeśli właśnie z woli Opatrzności ja tu... poprzez wieki przeniesiony...

Starzec poruszył się niecierpliwie.

— Słuchaj co ci powiem: wiele już kąkolów od twoich czasów wypleniono na ziemi i boję się, abyś, szukając go zbyt gorliwie, dobrego ziarna nie zdeptał...

— Czyżbyś gotów był twierdzić że świat ten może Boga radować?

— Myślę, synu, że więcej niż ten z którego przybyłeś.

— To nieprawda! — zawołał inkwizytor z oburzeniem. — Otwórz szerzej oczy, a zobaczysz! Ten świat nie może być Panu Naszemu miły! Ludzie nie szukają Boga, lecz przyjemności ziemskich!... Nie prawdy, lecz jej zaprzeczenia? Wydaje im się, że są mądrzejsi od Boga samego! O naiwni! O ślepi! Wydaje im się, że władają naturą, a nie widzą, że to tylko diabelska sztuka i omamienie! Czy nie widzisz, ojciec, że gorze nam? Doszło już do tego, że nikt na tej ziemi, nawet mąż świętobliwy, nie dokona kroku bez pomocy diabelskich sił!... Nie zaspokoi pragnienia i głodu, nie okryje swego ciała, nie schroni głowy przed ciemnością nocy! Nawet ja, choć mam oczy otwarte i widzę zło, musiałem z pomocy tych ciemnych sił korzystać, aby móc dotrzeć tu, do Piotrowej Stolicy!

Starzec pokręcił przecząco głową.

— Mylisz się, synu. To nie są dzieła szatana. To stworzył człowiek swą pracą i wytrwałością. A Bóg mu błogosławił!

— Jak możesz tak mówić? Ja wiem lepiej!

— Pycha przemawia przez ciebie, synu. Pycha i niewiedza.

Münch uniósł ręce. Już chciał uderzyć starca, ale się opamiętał. Opuścił głowę w pokorze.

— Dziękuję ci, ojciec, żeś mnie ustrzegł od grzechu. Jam proch tylko i nędzny robak. Ale jeśli Pan Nasz zechce... Ojciec! Ja nie przez pychę tak mówię! Nie wiesz, co przeżyłem... Niczym są czyścica otchłanie! Choć i tam dane mi było przebywać. Tu, na Ziemi najcięższa próba! Najtrudniej pokonać samego siebie... Swego ułomnego ducha i grzeszne ciało. Czy wiesz, ojciec, że nim oczy mi się otwały, stanąłem na brzegu przepaści piekielnej?

— Mów synu. Powiedz wszystko szczerze.

— Straszny grzech ciąży na mej duszy. Jakąż pokutą zmazać go potrafię? Czy zasłużę na przebaczenie?

— Wiem, twoje życie nie było łatwe. Znaczyły je krew i ogień... Ale to minęło i nie powróci.

Nie ty byłeś zresztą winien temu.

— Nie to, ojczu. Ja — zgrzeszyłem słabością. Czy wolno mnie usprawiedliwiać? Ja nie chciałem widzieć, jak jest naprawdę... Nie chciałem pamiętać, że piękno ciała rzadko idzie w parze z pięknem duszy. Ojczu! Ja wielbiłem ją jak świętą! Całowałem kraj jej szaty.. Czyżbym aż tak był ślepy? Szatan tylko dlatego mógł przysłonić mi oczy, że sam dałem mu przyzwolenie.

— O czym mówisz? Nie rozumiem.

— Ojczu. Ja wielbiłem... czarownicę.

Starzec poruszył się niespokojnie.

— Jeśli tylko o to chodzi...

— Czy Bóg mi przebaczy?

— I dlatego uciekłeś?

— Nie, ojczu, ja nie uciekłem. Wiem, że moim obowiązkiem jest uratować jej duszę. Choćby i z pozoru wbrew jej woli... Wbrew jej ciału!

Starzec wstał.

— Myślisz, że Boga radował widok płonących stosów? — rzucił z sarkazmem. — Że w imię Jego należy łamać piąte przykazanie?

Münch stropił się, ale tylko na chwilę.

— Bóg boleje nad zatrąceniem duszy człowieka. Ciało jest śmiertelne i słabe... Nie nad nim należy boleć... Celem jest zbawienie duszy! Powiedz, ojczu, cóż stało się z Kościołem? Gdzież jego siła i nieugiętość w służbie sprawy bożej? Czy rosną szeregi walczących?

— Nie w ilości rzecz...

— Jakież jest więc według ciebie sens istnienia Kościoła?

— Pomagać ludziom dobrze czynić. Dawać im otuchę...

— Otuchę? Ale przecież...

— Tłumaczyłem ci już, ale widzę, że nie pojąłeś porównania... Świat i Kościół różnymi idą drogami, lecz cele Ich nie są sprzeczne. Wierzę w to głęboko. W tym przejawia się mądrość boża. A nasze zadania, sens służby naszej?... Pomagać ludziom. Ci, którzy potrzebują pociechy i słowa bożego, znajdują je w Kościele...

— A ilu jest tych potrzebujących? Czy wielu?

— Po co liczyć... Wierz mi: za tych, co Boga ustami i myślą nie chwala, modlić się nam w dwójnasób trzeba. Ale najważniejsze jest, aby ludzie byli lepsi... Nie dla nagrody w niebie ani strachu przed piekłem, ale dla miłości Prawdy. I są lepsi. Lepsi niż kiedyś byli... — urwał na chwilę. — Gdybyż można mieć pewność, że nasz udział w tym dziele godny był Mistrza naszego... — dorzucił na wpół do siebie.

Modest z przerażeniem patrzył w twarz starca.

— I ty to mówisz?! I ty... też?... To samo... To samo... Czyś ty ślepy? Czy też zaprzedałeś swą duszę? A może powiesz, jak ten fałszywy spowiednik: że nigdy nie było i nie ma zaprzędanych diabłu kacerzy i czarownic? Ze czasy, gdy Kościół nasz w pełnej chwale i mocy tępił herezję i gromił czarta — to czasy upadku?

— Piąte przykazanie, mój synu! Nawet w imię Boga łamać go nie wolno!

— A więc śmiesz twierdzić, że ojcowie soborów świętych, że patron naszego zgromadzenia — święty Dominik, że Najwyższa Kongregacja Świętego Oficjum... — urwał przerażony własną myślą.

— Nie nam ich dziś sądzić... — powiedział starzec patrząc w zamyśleniu w światło wiecznej lampki.

Zapanowało milczenie. Inkwizytor stał nieruchomo wpatrzony z uporem w twarz starego

człowieka. Nagle z ust jego wyrwały się trzy słowa pełne rozpacz i niepokoj:

— Ktoś ty?! Powiedz!!!

Na ustach starca pojawił się zagadkowy uśmiech.

— Kim jestem? No, jak myślisz, mój synu? — podjął zachęcająco.

Oczy Müncha rozszerzyły się, przybierając wyraz osłupienia. Odskoczył gwałtownie od starca, zasłaniając rękami twarz, a z ust jego wydobył się ochryply krzyk, wracając głuchym echem odbity od ścian i sklepienia kaplicy.

— Precz Szatanie!!! Apage!

Zapłonęły wszystkie światła. Z otwartych raptownie drzwi zakrystii wypadło kilku mężczyzn w sutannach. Dwóch podbiegło do Modesta, usiłując go obezwładnić, trzeci przyskoczył do starca.

— Wasza Świątobliwość! Czy nic się nie stało Waszej Świątobliwości?!

Starzec stał oparty plecami o kolumnę. Twarz jego była blada, ale z pozoru spokojna.

Tylko dłoń zaciśnięta nerwowo na poręczy fotela świadczyła o tym, co przeżył przed chwilą.

— A ostrzegałem Waszą Świątobliwość, że to wariat!... Dobrze, że zdążyliśmy...

Starzec podniósł rękę i przełknął z wysiłkiem ślinę.

— Nic... Nic się nie stało — powiedział cicho. — Puśćcie go! — rozkazał duchownym trzymającym inkwizytora za ramiona.

Wszelka przemoc była tu zresztą zbyteczna. Münch stał jak skamieniały, nie próbując stawiać oporu.

— Już świta — powiedział starzec patrząc w okna. — „Spuśćcie rosę niebios”... Czas na mszę. Chodźmy więc. I ty z nami, synu — zwrócił się do Modesta.

Ten spojrział współprzyciemnie na papieża i nagle, jakby smagnięty przez plecy, poderwał się, skoczył ku drzwiom. Pchnął je i wypadł z kaplicy.

Biegł coraz szybciej. Byle dalej, byle prędzej... Odgłos uderzeń jego obuwia o posadzkę, odbity wielokrotnym echem wśród pustych sal i korytarzy, dudnił mu w uszach, napełniając serce lękiem. Wydawało mu się, że ktoś biegnie za nim, że ściga go tłum jakichś widmowych postaci, że usiłują go pochwycić tysiące rąk. Są coraz bliżej... bliżej...

Wydostał się wreszcie na plac. Goniąc resztkami sił przebiegł jeszcze kilkadziesiąt metrów i padł u piedestału egipskiego obelisku, na którego szczycie Kościół wojujący umieścił przed wiekami swój zwycięski znak...

Długo leżał bez czucia. Już słońce złociło wzgórze watykańskie, gdy wreszcie ocknął się i pokonując lęk uniósł ostrożnie głowę. W głębi, spoza ogromnej fasady kościoła błyszczała jakże znana kopuła Bazyliki Świętego Piotra.

Lecz oto jakaś ręka dotknęła Jego ramienia. Odwrócił głowę, i zamarł w bezruchu. Obok niego, na marmurowej płycie siedziała Kama.

— Przyszłaś? Przyszłaś po mnie? — wyszeptał z wysiłkiem.

— Tak. Przyleciałam po ciebie.

Nie odpowiedział. Przymknął nerwowo powieki. Wiedział, że nie potrafi się już uwolnić. Chyba że...

## XVI. W obliczu klęski

— Nie martw się, dziewczyno! — powiedział Garda serdecznie. — Zrobiłaś wszystko, co mogłaś zrobić.

Kama spojrzała na niego smutno.

— Gdybym mogła mieć pewność...

— A cóż byś jeszcze chciała? Oczywiście, gdyby wykazywał zainteresowania przyrodnicze, wystarczyłaby ta szczypta krytycyzmu, na jakiej przecież mu nie zbywa. Adaptacja byłaby tylko kwestią czasu.

— Pięć miesięcy to okres wcale nie krótki. Te pięć miesięcy to jakby dwa lub trzy lata zwykłego życia.

— Dwa, trzy, nawet dziesięć lat nie przesądza sprawy. Pogodzenie się z rzeczywistym obrazem świata oznacza dla niego coś więcej niż rezygnację z tego, w co wierzył przez trzydzieści lat. Z chwilą, gdy przyjmie, iż to, z czym kiedyś walczył, było urojeniem, musi uznać, że był nie sędzią sprawiedliwym, a mordercą i dręczycielem niewinnych... Za wiele od niego żądamy.

Kama wstała w milczeniu od stołu i poczęła zbierać do torby podróźnej rozrzucone na tapczanie drobiazgi.

— Po cóż ci będę zresztą tłumaczył. Sama wiesz lepiej — podjął Garda po chwili. — Bez terapii fizjologicznej to sprawa beznadziejna. Zobaczysz, że to samo powiedzą w Kalkucie.

— Obawiam się, że obecność Balicza skomplikuje sytuację.

— Mówiłaś, że godzisz się z jego argumentami...

— Nie o tym myślę. Chodzi mi o sam przelot. Lepiej, aby się dopiero spotkali tam na miejscu.

— Przesadzasz. Rozmawiali wczoraj... Münch zachował się zupełnie poprawnie.

— Maskuje się. I to jest najgorsze. Nie chodzi tylko o Romana. Czuję, że już nie potrafię nawiązać z Modem kontaktu...

— Wszystko to przemawia za tym, że nie ma innej drogi.

— Przykro jednak przegrywać...

— Nie wiem, czy to można nazwać przegraną. Niezależnie od ostatecznego wyniku, twoje badania i próby przyniosły wiele cennego materiału. Nie można było zresztą zrezygnować z eksperymentu, nawet gdybyśmy z góry byli w stanie przewidzieć jego negatywny wynik...

— Wiem... Ale... To nie to samo.

— Rozumiem cię. Dla niego jednak tak będzie lepiej...

Kama nic nie odrzekła, tylko skinęła głową. Zdawała sobie sprawę, że Garda ma rację, ale trudno jej było pogodzić się z myślą, iż bariery istniejącej w umyśle Modesta nie może przełamać ani wymowa faktów, ani żaden logiczny argument, lecz pozostaje tylko sięgnąć do środków fizycznych — do ingerencji w strukturę powiązań warunkowych w mózgu.

Garda zresztą myślał teraz o tym samym.

— Istnieje pewna dość poważna trudność natury prawnej czy nawet moralnej — powiedział



patrząc w zamyśleniu na Kamę. — Münch nigdy nie wyrazi zgody na zabieg, jeśli tylko będzie sobie zdawał sprawę, do czego zmierzacie. Jeśli twoja teza o pełnej jego poczytalności zostanie uznana za słuszną, nie ma podstaw prawnych do przeprowadzenia zmian w jego psychice nawet w ograniczonym zakresie. Z drugiej jednak strony, nie jest on zdolny do samodzielnego życia w społeczeństwie, wymaga stałej opieki, nie mówiąc już o tym, że w pewnych „zapadkach może zagrażać otoczeniu. Izolowanie go, ograniczanie jego wolności musi z kolei opierać się na orzeczeniu lekarskim, że jest on człowiekiem chorym psychicznie lub też sądowym, że jest niebezpiecznym przestępcą. Zagadnienie moralne jest z pozoru prostsze. Konflikt między Münchem a światem wymaga rozwiązania nie w interesie świata, bo jego szkodliwość społeczna jest minimalna i z punktu widzenia badań naukowych byłoby nawet może wskazane pozostawienie umysłowości tego człowieka w obecnym stanie jako obiektu doświadczalnego. Zmiana leży w interesie samego Müncha, gdyż konflikt ten jest dla niego źródłem cierpień duchownych i z punktu widzenia humanitaryzmu należy go od nich uwolnić! Sposób, w jaki możemy to przeprowadzić, pozostaje jednak w sprzeczności w kardynalnymi zasadami wolności sumienia i swobody osobistej. Obawiam się, że będziecie mieli w Kalkucie trudny orzech do zgryzienia.

— Najgorsze, że nie wiem sama, jak postąpić — westchnęła Kama. — Powiem szczerze: ciągle się łudzę, że istnieje sposób...

Melodyjny sygnał przerwał rozmowę. Dziewczyna wyszła do przedpokoju i otworzyła drzwi. Stał przed nimi Balicz.

— Rozmawiał ze mną Stefan. Dlaczego nie powiedziałaś mi sama? — zapytał z wyrzutem. Zmieszła się.

— Wejdz, proszę — powiedziała po chwili.

Postąpił parę kroków i stanął.

— Nie ufasz mi? — zapytał cicho.

— Nie o to chodzi. Obawiam się o Modesta.

— Rozumiem. Jeśli ci tak bardzo na tym zależy, gotów jestem złożyć rezygnację. Dla ciebie.

— Ależ... — urwała, bo w drzwiach pojawił się Garda.

— Dzień dobry, kolego — zwrócił się do Balicza.

— Ach, przepraszam. Dzień dobry — skłonił się lekarz. — Zdaje się, że przeszkadzam.

— Nie. Ja właściwie już wychodzę. A jak tam wasz raport?

— Zastanawiam się, czy go nie wycofać.

— Dlaczego?

— Myślę, że wystarczy sprawozdanie Kamy.

— A cóż to za nagła zmiana?!

— Po prostu, przemyślałem całą sprawę...

— Już za późno na wycofanie. To niepoważne, kolego! Róbcie zresztą, jak chcecie. Rozważcie wszystkie za i przeciw. Ja już muszę iść. Spotkamy się w Instytucie. Za pół godziny.

— Tak za pół godziny — potwierdził Balicz mechanicznie.

Zostali sami. Kama przeszła do sypialni i kończyła pakowanie. Roman stał w progu patrząc na nią wyczekująco.

— Wycofanie raportu to nonsens — przerwała wreszcie kłopotliwe milczenie.

— Mówię zupełnie szczerze. Gotów jestem dla ciebie zrezygnować z wyjazdu.

Uniosła wzrok zaskoczona.

— Dla mnie? To jeszcze większy nonsens. Twoja obecność jest konieczna. Widzę, że Stefan wszystko pokręcił. Chodziło mi tylko o przelot do Kalkuty. Uważam, że najlepiej, gdy polecę sama z

Modem.

— Najlepiej? Nie wiem, czy to najlepszy pomysł. To jednak psychopata.

— I tu się z tobą nie zgadzam — zaproponowała żywo. — Mod jest zupełnie normalnym człowiekiem. Obserwuję go przez wiele miesięcy...

— Ja bym mu nie ufał.

— Z tym mogę się zgodzić — rzuciła z odcieniem ironii. — Ty możesz mu nie ufać. Ja jestem jednak w innej sytuacji...

— Jeśli mam być szczery... — rozpoczął gniewnie ale się pohamował i nie dokończył. — A gdyby tak z wami Miksza poleciał?

— Po co?

— Sama przecież twierdzisz, że Mod do Mikszy ma największe zaufanie.

— Stefan nie ma czasu. A zresztą to zupełnie niepotrzebne.

— Prawdę mówiąc: już z nim o tym rozmawiałem.

— A więc to tak? Spisek! — zaśmiała się.

— Spisek! — potwierdził. — No co, zgadasz się?

— To niepotrzebne. Ale jeśli tak koniecznie chcecie... — Idę teraz do Gardy. Do widzenia w Kalkucie!

— Do widzenia!

\*

Modest czekał już na tarasie startowym. Kama pożegnawszy się z Gardą przygotowywała maszynę do drogi, raz po raz spoglądając na zegarek.

Münch nie ukrywał podniecenia.

— Najpierw polecimy do Warszawy?

— Tak. A stamtąd samolotem do Kalkuty.

— I zobaczę Indie?

— Jeszcze dziś. Cieszysz się?

— Cieszę. Kiedy polecimy?

— Za chwilę. Czekamy tylko na Mikszę.

— I będzie on z nami również tam?

— Nie. Musi zaraz wracać. Ale za to poznasz wielu innych ciekawych ludzi. Spojrzał za nią spode łba.

— Czy zawsze musisz być z kimś?

— Męczą cię ludzie? — spytała serdecznie. — Pociesz się, że mnie czasem również...

— Czy nie można być gdzieś... daleko od wszystkich... od całego świata?...

— Można. W górach, w powietrzu, na morzu...

— W powietrzu też dużo ludzi.

— Zależy na jakich wysokościach i trasach. Zobaczysz, jak będziemy lecieć samolotem komunikacji międzykontynentalnej. Wokół nas tylko niebo i ziemia...

— Chciałbym już lecieć.

Spojrzała na zegarek. Właściwie powinni już wystartować. Gdzie się ten Stefan podziewa?...

Znów spojrziała na zegarek. Jeśli nie wystartują w ciągu pięciu minut, trzeba będzie zatelefonować do Warszawy, aby zmienili program lotu. Też miał pomysł ten Roman!

Uniosła rękę i wypowiedziała w myśli numer telefonu Mikszy. Ale aparat był zajęty.

Jeszcze raz powtórzyła numer.

— Czy długo jeszcze? — ponaglał Modest.

Lecz oto uczuła delikatne ukłucie bransolety telefonicznej.

— Zero, zero, zero. Słucham.

— Kama! — usłyszała głos Mikszy.

— Tak. Co się stało?

— Niestety...

— Nie lecisz?

— Przed chwilą otrzymałem wezwanie z centrali. Jutro mam złożyć sprawozdanie z wyników badań tych dipoli. Nie wiem, co robić?

— Złóż sprawozdanie!

— Bardzo żałuję.

— Nie masz czego. Chyba tylko wycieczki. Życzę powodzenia.

Przerwała połączenie.

— Lecimy — powiedziała do Modesta i podeszła do maszyny.

— A Miksza?

— Lecimy sami!

W spojrzeniu jego dostrzegła niekłamana radość.

## XVII. Czarownica

Münch zatrzymał się w progu.

Kabina przypominała małą salę klubową w Instytucie Mózgu. Miękki dywan zaścielający podłogę, niziutkie stoliki, fotele, podręczny bar automatyczny z długim bufetem i rzędem taboretów, półki pełne książek i czasopism, szafka z taśmami do podręcznego lektora, nawet nieduży kwietnik pod ścianą. Wszystko to — we wnętrzu srebrzystej maszyny — jednej z wielu stojących szeregiem w ogromnej hali dworca lotniczego — budziło niepokój i czujność.

Wahanie Modesta nie uszło uwagi Kamy.

— Pierwszy raz widzisz taki samolot, prawda? Nie każda maszyna powietrzna musi przypominać konfesjonał lub miotłę czarownicy — zażartowała, ale wyraz twarzy Müncha nadal pozostał poważny i skupiony. — Dotychczas latałeś tylko na krótkich odległościach, a to jest samolot dalekiego zasięgu. Możesz się tu czuć jak w domu. Nie jest to, co prawda, najszybszy środek komunikacji, ale za to bardzo wygodny. No, chodź! Nie obawiaj się.

— Dlaczego myślisz, że się boję? — zapytał zaczepnie i postąpił kilka kroków w głąb kabiny.

— Nie miałam zamiaru cię dotknąć — usiłowała nie dopuścić do snu. — Zauważyłam, że się wahasz, więc... Jeśli sprawiłam ci przykrość, to przepraszam.

— To ja... przepraszam.

Zdjął z ramienia torbę podróżną i rozejrzał się z uwagą po wnętrzu samolotu.

— Czy jesteśmy tu sami? — zapytał po chwili.

— Tak. Zupełnie sami.

Podeszła do niedużego pulpitu rozdzielczego w głębi kabiny i nacisnęła jeden z guzików.

Na ekranie pojawiła się twarz młodego mężczyzny.

— Jesteście gotowi? — zapytał krótko.

— Tak. Możemy startować. Kiedy przelatujemy nad Himalajami?

— Około dwunastej dwadzieścia czasu uniwersalnego.

— Jaka widoczność?

— Niezła. W czasie przelotu nad najwyższą partią do zachodu słońca brakować będzie piętnastu minut. Czy obniżyć wysokość lotu?

— Właśnie chciałam o to prosić.

— Przyjąłem. Czy macie jeszcze jakieś specjalne życzenia?

— Nie. Dziękuję.

Człowiek na ekranie wykonał jakiś niezrozumiały dla Müncha ruch ręką i w tej samej niemal chwili rozsunięte ściany komory przedsionkowej poczęły wolno zmieniać położenie.

Modest postąpił krok w kierunku zamykającego się wyjścia, ale Kama podeszła do niego i ująwszy za rękę poprowadziła do najbliższych foteli.

— Siadajmy. W czasie nabierania prędkości lepiej nie spacerować po kabinie — rzuciła wyjaśniająco.

Przezroczyście ściany zwały się bezszelestnie. W kabinie, wypełnionej dotąd szumem lotniska, teraz zaległa cisza.

— Szczęśliwej drogi! — powiedział młodzieniec na ekranie i znikł.

Żółty strop centralnej hali portu lotniczego ustąpił miejsca błękitowi nieba. Fotele zadrżały z lekka i w tej samej niemal chwili widoczne z wnętrza kabiny długie szeregi srebrzystych maszyn zapadły się gdzieś ukośnie w dół. Niewielki wzrost przyspieszenia świadczył, że samolot nabiera prędkości.

Port lotniczy zniknął z pola widzenia ustępując miejsca rozrzuconym wśród zieleni zakładom przetwórczym i dalekim, spiętrzonemu blokom mieszkalnym. Potem widać już było tylko niebieską wstęgę Wisły i coraz to inne wysokościowe zespoły miejskie, odnajdywane i gubione w mgłach ścielących się nad widnokrzem.

— No i co? Zadowolony jesteś z tej podróży? — przerwała milczenie Kama.

— Dlaczego skłamałaś? — padło zamiast odpowiedzi pytanie.

Spojrzała niepewnie.

— Skłamałaś?! Mówiłam ci przecież, że ta podróż jest konieczna dla twego zdrowia. Przy tej okazji poznasz kawałek świata. Chciałaś zobaczyć Indie... Tam w tej chwili lecimy.

— Powiedziałaś, że jesteśmy sami...

— Ależ, naprawdę jesteśmy sami!

— A ten? — wskazał na ekran.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— No, przecież wiesz, że to tylko obraz — wstała z fotela i podeszła do pulpitu. — To był pracownik portu lotniczego w Warszawie. Statkiem kieruje zespół urządzeń, które pracują bez udziału człowieka. Mówiłam ci już zresztą kiedyś...

— Wiem — skinął głową bez przekonania.

— Te maszyny prowadzą statek według wyznaczonego z góry planu lotu oraz poleceń przekazanych z Ziemi, z lotniska. Przez takich właśnie pilotów jak ten, którego tu widziałeś.

— Ale... ten człowiek... nas widzi?

— Na tej samej zasadzie jak ty mnie widzisz i ja ciebie, gdy rozmawiamy przez wizjofon.

— Nie o to pytam. Czy w tej chwili nas widzi?

— Nie. Ale bez trudu możemy z nim się połączyć. Albo też z kimś innym — dodała dostrzegając przeczący ruch jego głowy. — Na przykład — z Gardą. Jest w tej chwili chyba jeszcze w Instytucie...

— Nie. Nie trzeba!

W oczach jego pojawił się niepokój.

— Jak sobie życzysz. Może czujesz się zmęczony? To zmień kształt fotela. Wystarczy nacisnąć guzik po lewej stronie. Tak jak u ciebie w pokoju.

— Nie. Nie chce mi się spać.

— Może dać ci jeszcze jedną pastylkę usuwającą zmęczenie?

— Nie. Nie chcę! — zaprzeczył niemal opryskliwie. Patrzyła na niego z niepokojem. W ostatnich dniach po powrocie z Rzymu stał się bardzo nerwowy, a nawet agresywny.

— Powiedz — zapytał znowu. — Czy oni mogą nas widzieć i słyszeć, gdy my tego nie wiemy?

— Kto?

— No ci... kierujący lotem. Albo Miksza? Przez ten wizjofon?

— Nie mogą. Mogą się, co prawda, z nami połączyć, ale będziemy wówczas o tym wiedzieli. A zresztą, jeśli tak bardzo ci zależy na tym, aby nikt nam nie przeszkadzał, można przejść na łączność

warunkową. Wystarczy nacisnąć tu — wskazała na jeden z przycisków. — Tak, jak w zwykłym wizjofonie połączenie następuje tylko wówczas, jeśli wyrazimy na nie zgodę przez naciśnięcie guzika obok.

Zakonnik podniósł się z fotela i trochę niepewnym krokiem podszedł do Kamy.

— Więc zrób tak!

— Jeśli ci na tym zależy...

Nacisnęła guzik.

Długo patrzył w tablicę. Nagle odwrócił się i przeszedł wolno przez salkę aż do miejsca, gdzie stała jego torba podróżna. Sięgnął po nią, postawił na stoliku otworzył i zamknął machinalnie. Chwilę bawił się w zamyśleniu długim paskiem. Potem, jakby zapominając, po co postawił torbę na stoliku, podszedł do pobliskiej półki z książkami, sięgnął po jeden z tomów, otworzył, przerzucił kilka stron, zamknął i wsunął tom na miejsce. Sięgnął po drugą książkę.

— Czego szukasz?

Nie odpowiedział. Odłożył książkę na półkę i podszedł do baru. Dotknął ręką mechanicznego podajnika z nakryciem stołowym. Wziął widelec, odłożył, potem nóż...

— Może coś zjesz? Albo napijesz się?

Cofnął rękę tak gwałtownie, że nóż upadł na podłogę.

— Samoobsługa w barze jest bardzo prosta. Wystarczy powiedzieć: „blokada, proszę...” i podać numer według jadłospisu. Automat działa tu na sygnał wypowiedziany głosem. Tak, jak automaty na ulicach. Na przykład mam chęć na sok pomarańczowy — wzięła kartę i przeczytała: — „Sok pomarańczowy — 23”. Mówię więc: „blokada, proszę 23”.

Z przytłumionym sykiem otworzyła się kłapa podajnika. Na niedużej tacy stała szklanka z pieniającym się płynem.

— Chcesz? — zapytała Kama biorąc szklankę.

Pokręcił przecząco głową, ale sięgnął do podajnika i ujął tacę za uchwyt. Oglądał przedmiot z zainteresowaniem, zda się ważył w ręku.

— Cóż cię tak zaciekało? Zwykła taca! Z uchwytem, aby wygodniej było nosić — wyjaśniła.

Ale on chyba jej nie słyszał. Nie patrzył już na tacę, lecz gdzieś nad głową Kamy ku przezroczystej ścianie, za którą widać było ciemnobłękitne niebo, a pod nimi tafłę morza.

— To już Morze Czarne! Wybrałam specjalnie taką trochę łamaną trasę...

Podeszła do okna i spojrzała w dół.

Delikatną, białą linią lśnił w słońcu ślad statku mknącego jak nartnik po powierzchni sadzawki. Tam znów dwa... trzy... cztery punkciki. Zdają się nie poruszać. To chyba grupa jachtów wodno-powietrznych szybuje lekko nad falami...

Kama zamyśliła się: trzeba może i Modesta zabrać na taką wyprawę. Niech zobaczy, niech zakosztuje wszystkiego...

Usłyszała za sobą szmer. Münch zbliżał się ku niej. Ogarnął ją jakiś nieuzasadniony, instynktowny niepokój. Niepokój wzrastał się. Czuła, że powinna się odwrócić. Zaraz.

Natychmiast! Napięcie stawało się nieznośne.

Ale zanim zdołała to uczynić, nad głową jej rozległ się świst, zakończony ogłuszającym trzaskiem jakby walącego się sufitu.

Świat zawirował w jej oczach. Uczuła, że osuwa się na podłogę, lecz nie była w stanie zdobyć się na jakikolwiek wysiłek. Niby w jakimś koszmarnym śnie ujrzała na moment przed sobą wykrzywioną twarz Müncha, potem jego plecy oddalające się szybko.

Jak przez mgłę widziała, że biegnie w kierunku bufetu. Chwyta w przelocie torbę stojącą na

stoliku, zdaje się szarpać pasek...

Przymknęła powieki. Usiłowała uświadomić sobie kolejność wydarzeń. Ale myśli plątały się bezładnie. Przesunęła dłonią po twarzy i wspierając się na drugiej ręce próbowała usiąść.

Jeszcze jeden wysiłek... jeszcze jeden...

Nagle jakiś ciężar zwałił się na nią z góry. Czowała, że szarpia ją czyjeś ręce... Ciężar przygniatał ją do podłogi...

Co się dzieje?... Uświadomiła sobie nagle, że przecież znajduje się w kabinie samolotu, że leci z Modestem do Kalkuty... Co on z nią wyprawia? Dlaczego szarpie bransoletę telefoniczną, wykręca jej ręce? Czyżby ją wiązał? Wyraźnie czuje zaciskające się więzy...

Próbowała wyrwać się, uwolnić ręce... Ale opór jej był słaby, mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

Przygniatający ją ciężar zelżał. Napastnik chwycił ją teraz za ramiona, dźwignął w górę i rzucił na fotel. Potem podszedł do bufetu i przyniósł szklankę z pomarańczowym sokiem.

Uczuła na wargach zimne dotknięcie szkła. Wypiła kilka łyków orzeźwiającego płynu i mózg począł jakoś żywiej pracować.

Była już prawie zupełnie przytomna, tylko ogromnie osłabiona, a dokuczliwy szum w głowie przechodził w ból.

Münch stał naprzeciw niej i patrzył w milczeniu.

— Dlaczego? — zapytała z wysiłkiem.

Przełknął ślinę, jakby chciał coś odpowiedzieć. Milczał jednak nadal, patrząc uparcie w jej twarz.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Ty wiesz...

— Nic nie wiem. Nie wiem.

Ból głowy potęgował się.

— Niedobrze mi... Rozwiąż mi ręce, proszę...

— Nie!

— Ależ... Ja naprawdę... To nie ma sensu. Co ty wyprawiasz?

Podsunał do jej ust znów szklankę z sokiem. Pokręciła przecząco głową.

— O, patrz, tu — wskazała wzrokiem. — W kieszonce na piersiach. Mikroapteczka. Płaskie pudełko. Daj mi pastylkę. Niebieską.

Pośpiesznie, a jednocześnie jakby z lękiem, sięgnął do kieszonki i wydobyl pudełko.

— Naciśnij teraz niebieski punkcik.

Wykonał polecenie i w podajniku ukazała się mała pastylka.

— No, daj mi! A potem soku.

Stał niezdecydowany, patrząc na pastylkę.

— Proszę cię. Mod!

Spojrzał podejrzliwie i naraz gwałtownym ruchem rzucił mikroapteczkę na dywan.

— Co robisz? — zawołała z przestrawieniem, patrząc jak miążdży pudełko butami.

Różnobarwne pastylki rozsypały się wokół po podłodze wśród szczątków połamanej bransolety telefonicznej.

Teraz dopiero w pełni uświadomiła sobie niebezpieczeństwo. Całym wysiłkiem woli starała się pokonać wzrastający niepokój i zmusić umysł do jak najsprawniejszego działania.

— Modest! — zawołała, starając się nadać głosowi stanowczy, a jednocześnie spokojny ton.

Zatrzymał się, w miejscu i z wolna podniósł głowę.

— Modest! — powtórzyła — Rozwiąż mi ręce! — rzuciła rozkazująco.

Wykonał ruch w jej kierunku, jakby chciał spełnić polecenie, ale zatrzymał się w pół kroku.

— Nie! Jeśli potrafisz, uwolnij się sama! Potrafisz?

Milczała. Czowała instynktownie, że od odpowiedzi na to pytanie zależy wiele. Nie mogła jednak ryzykować kłamstwa.

— Nie możesz się uwolnić? — podjął z wyraźną satysfakcją. — Nie możesz? A gdzie twoi opiekunowie? Wezwij ich na pomoc! No! Wzywaj! — szarpnął ją za ramię.

— Co ty chcesz zrobić? — zapytała usiłując zachować spokój.

Spojrzał z powagą w jej oczy.

— Chcę cię... uratować!

— Mnie? Nie rozumiem.

— Chcę uratować twą duszę. Jeszcze nie jest za późno. Czego tak na mnie patrzysz? Ty chyba sama nie wiesz... Ty nie możesz być rzeczywiście... taka... To on przemawia przez twoje usta! Ale ja potrafię go przepędzić!..

— Kogo?

— Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Powiedz! Wyjaw wszystko! Całą prawdę. Teraz, zaraz! Nadeszła godzina, w której staniesz przed Sędzią Najwyższym... Bóg miłosierny...

— Słuchaj, Mod, dlaczego mi grozisz? Czego ty ode mnie chcesz? Jakiej prawdy?

— Ty wiesz... Nie uda ci się mnie oszukać! Ja wszystko zrozumiałem. W twym ciele jest zło. Tylko w nim... Nic już nie uratuje twego ciała! Ale dusza jest nieśmiertelna! Nie wolno ci jej gubić! Zaklinam cię na rany Pana Naszego! Pomóż mi wypędzić Szatana z ciała twego! Uratuj duszę!

— Ależ...

— Powtarzaj za mną: W imię Ojca, Syna...

— Ależ, Mod! Przecież ci już tłumaczyłam nie raz...

— A więc?... Wiedziałem! Nie możesz się modlić!

— Mogę, ale nie o to chodzi przecież, abym powtarzała słowa modlitwy! Wydaje ci się, że jestem wysłanniczką piekieł. Czarownicą czy diabolicą. Ale to nieprawda. Jestem takim samym człowiekiem jak ty! Jak inni ludzie na Ziemi!

— Kłamiesz! — przerwał jej porywczo. — Oszukiwałaś mnie! Był czas, gdy wydawało mi, że jesteś aniołem... Ale myliłem się. To był fałsz! Udawałaś, aby mnie otumanić... Zakuć w piekielne łańcuchy! Abym myślał o tobie, a zapomniał o Bogu! O celu, któremu powinienem służyć!

Podpierając się związanymi rękami usiadła i opuściła nogi na podłogę.

— Uspokój się! — powiedziała podnosząc głos. — Ja nigdy cię nie oszukiwałam. Chcesz wiedzieć wszystko, to ci powiem: nie ma ani diabłów, ani aniołów! Choćbyś nie wiem co robił, nie wiem gdzie szukał — nigdzie nie znajdziesz!

— Kłamiesz! Ja byłem w czyścicu! Wiedziałem!

— Mówiłam ci już: prawdopodobnie zetknąłeś się z jakąś obcą cywilizacją, która odwiedziła Ziemię. Jakieś istoty zamieszkujące inne światy...

— On znów przemawia przez ciebie! — wykrzyknął z lękiem. — Apage! Apage!

— Czego chcesz ode mnie? Abym potwierdziła twoje wszystkie urojenia? Urojenia dawno minionych czasów? To właśnie byłoby kłamstwem!

Dźwignęła się z fotela i wstała, ale on skoczył ku niej, chwycił za ramiona i rzucił na kolana.

— Módl się! Proś o przebaczenie! Pan nasz miłosierny... Ja chcę twego dobra! Nie zmuszaj mnie...

— Znów mi grozisz?



— Nie grożę, lecz proszę... ja nie chcę tego — zakrył twarz dłońmi. — Ale nie mogę inaczej...

— Więc jeśli nie powiem tego, co chcesz usłyszeć, będziesz musiał mnie zabić? — postawiła sprawę otwarcie.

Uniósł na nią oczy i patrzył długo, jakby zbierając myśli. Gdy się wreszcie odezwał, głos jego był spokojny i opanowany. Ale w tonie tym było coś przerażającego.

Kama wyobraziła sobie w tej chwili, co musieli odczuwać ludzie, których przesłuchiwał. Czują, że ogarniają ją mdłości.

— Nie rozumiesz? — zapytał z wyrzutem. — Tak, ty chyba nie rozumiesz... Śmierć ciała to nie wszystko. Chodzi o duszę! Chodzi o to, abyś wyznała przed śmiercią... Abyś oczyściła duszę! Abyś żałowała...

Z trudem ukrywała lęk. Ukradkiem spojrzała na chronometr umieszczony nad pulpitem kontrolnym. Od chwili startu upłynęło dopiero 30 minut. Zdawała sobie sprawę, że musi zyskać na czasie — rozciągnąć rozmowę jak najdłużej. Odwoływanie się do sumienia nie miało sensu. Postanowiła więc zmienić taktykę, przechodząc do ataku.

— A więc tak... — podjęła z ironią. — Więc wyrok śmierci został już wydany. Więc tak czy inaczej, muszę zginąć. Najchętniej z pewnością spaliłbyś mnie na stosie. Jak czarownicę. Ile spaliłeś czarownic?

— Po cóż ci to wiedzieć?

— Myślę, że to będzie trudna sprawa — wyrzuciła z sarkazmem. — Z kilku powodów: po pierwsze, nie ma gdzie, ani też z czego zrobić stosu...

Urwała, bo Münch odwrócił się, podszedł do półki i wziął z niej gruby tom.

— Te przekłete księgi...

Mimo grozy położenia uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową.

— Nie. Nie spalisz mnie ani tych książek! To wszystko materiał niepalny. A ponadto: skąd wziąłbyś ogień? Nie mówiąc o tym, że rozpalając ognisko w kabinie upiekłbyś się razem ze mną. A to oznacza samobójstwo... Złe wybrałeś miejsce i środki. Trzeba było poszukać okazji gdzie indziej!

— Tam, na ziemi, wszędzie są oni... Tu jesteśmy sami... Sama powiedziałaś... Gdybyś zresztą mogła, na pewno byś nie czekała... Ale nie możesz. Tu nikt ci nie pomoże.

— Dlaczego jednak tak uparcie twierdzisz, że nie chciałbyś zrobić mi krzywdy? Może tylko dlatego, że sam nigdy nie zajmowałeś się egzekucjami? Robili to za ciebie inni, prawda? Według twoich poleceń. Ale sam nigdy nie plamiłeś rąk. Rozumiem twoje opory...

Książka z trzaskiem upadła obok fotela.

— Wiedźma — wymamrotał.

Przez chwilę myślała, że się na nią rzuci, ale on znów opanował gniew.

Podszedł do okna, ukląkł i począł się modlić.

Kama patrzyła na zegar. Cyfry w okienku sekundowym zdawały się zmieniać niezmiernie wolno.

Próbowała naprężyć i kurczyć mięśnie, aby rozluźnić więzy. Gdybyż udało się uwolnić ręce...

Każdy ruch jednak powodował dotkliwy ból. Czym właściwie była związana? Rozejrzała się po kabinie i zauważyła stojącą na bufecie torbę podróżną. Paski były obcięte... Obok na ziemi błyszczało stalowe ostrze. Gdyby tak zdobyć nóż...

Ostrożnie, jak najciszej przesunęła kolano, potem drugie. Znów ruch, jeszcze jeden, i jeszcze jeden... Powoli zbliżała się do bufetu, raz po raz spoglądając z niepokojem na modlącego się Inkwizytora.

Wreszcie dotarła do celu. Przechyliła się na bok i ostrożnie, na oślep, zaczęła szukać palcami noża na podłodze. Już go dotknęła!

Nie wiadomo, czy szmer zwrócił uwagę zakonnika, czy też po prostu skończył modlitwę.

Dość, że gdy już ujęła za trzonek i próbowała przesunąć ostrzem po więzach — zerwał się nagle z klęczek i skoczył ku niej. Błyskawicznie wyrwał jej nóż z ręki, pochwycił ją za włosy i obalił na podłogę.

Po tym nagłym, gwałtownym ataku, czy to wstydząc się swej brutalności, czy też pod wpływem jakiegoś nerwowego impulsu, klęknął przy dziewczynie i delikatnie, jakby prosząc o przebaczenie, przesunął palcami po jej włosach.

Wstrząsnął nią dreszcz. Odsunęła odruchowo głowę, a on raptownie cofnął rękę i, kryjąc przed nią twarz, wstał pośpiesznie z podłogi.

Wydało jej się, że dostrzegła w jego oczach łzy.

— Mod... — wyszeptała prosząco.

Spojrzenia ich spotkały się.

— Nie patrz tak na mnie! Nie chcę! Nie mogę! — wyrzucił z siebie zdławionym głosem.

— Rozwiąż mi ręce, proszę cię, Mod!

Pochylił się znów nad nią, dotknął więzów, ale zaraz odskoczył z przestraszeniem.

— Coś ty ze mną zrobiła? Ty! Ty!...

Nie dokończył. Splótł dłonie i przyciskając je do czoła począł się na głos modlić, drżącym, urywanym głosem:

— Panie mój! Za słaby jestem... Daj mi siłę!... Pomóż mi!... Pozwól nie czuć... nie widzieć... Ja muszę... muszę... — Głos jego stawał się coraz cichszy.

Dłuższą chwilę trwał nieruchomo z przymkniętymi oczami i pochyloną nisko głową. Wreszcie wyprostował się i rozejrzał po kabine, jakby czegoś szukając. Zauważył porzuconą torbę podróżną. Podeszedł, podniósł ją i położył na bufecie. Począł pośpiesznie wyrzucać na podłogę znajdujące się w niej przedmioty. Widać było, jak wzrasta w nim niepokój.

Torba była już prawie pusta. Patrzył teraz na leżącą u jego stóp, powyrzucaną z przezroczyстых kopert bieliznę, pantofle, przybory toaletowe, pudełko ze środkami medycznymi...

Nagle pochylił się i podniósł płaską, nie otwartą jeszcze kopertę. Była tam cienka deszczochronna peleryna. Rozwinął ją. Przez pewien czas zastanawiał się, sprawdzał jej długość i wytrzymałość, potem sięgnął po nóż. Rozciął pelerynę wzdłuż na cztery części i związał na kształt długiej liny.

Jeszcze raz sprawdził wytrzymałość.

Podeszedł teraz do Kamy. Stał nad nią i począł wiązać pętlę. Twarz jego nabrała znów zimnego, zaciętego wyrazu.

Spojrzał z lękiem na zegar. Do lądowania pozostało jeszcze blisko półtorej godziny.

— Słuchaj! — próbowała podjąć dalej grę na zwłokę. — Muszę cię o coś zapytać.

— O co?

— Powiedz mi, dlaczego chcesz abym umarła?

— Umrze tylko twoje ciało! Uratuję za to twoją duszę. To jest główny cel. Myślę, że uda mi się... Zmuszę cię do wyznania wszystkiego... Żal maże winy...

— Za co mnie tak nienawidzisz?

— Ja cię nienawidzę?! — zaprzeczył oburzony. — Przeciwnie. Ja boleję nad tobą... Dlatego chcę cię ratować... Bo cię miłuję... Jak... siostrę...

— A wiesz, co myślę? To nie jest zupełnie tak, jak mówisz...

— A jak?! — spytał z niepokojem.

— To uczucie jest uczuciem ziemskim. Zabijając mnie chcesz zabić w sobie to uczucie. Czy nie

tak?

Poruszył się niespokojnie.

— Rzuciłaś urok na mnie... Wiem. Takie jak ty to potrafią... To też dowód!

— Nie ma żadnych uroków diabelskich! Jestem zwykłą kobietą, a nie wysłanniczką piekiel. To tylko twoje urojenie.

— Bóg mnie doświadcza...

— To tylko ci się zdaje.

— Nieprawda! Jest niebo i jest piekło! Jeśli złą wybiorę drogę, będę potępiony, jeśli dobrą...

— Nic ci nie przyjdzie z mojej śmierci. Niczego ci ona nie da. Nie ma nieba ani piekła. Jest tylko Ziemia. Jest wszechświat pełen niezwykłych rzeczy, o których nie marzyłeś nawet we śnie, jest myślący mózg ludzki, który chce i potrafi poznać jego tajemnice...

— Nie bluźnij! Język twój powtarza to, co ci podszeptuje Szatan! Ale pomylił się władca piekiel. Jeszcze dusza twoja nie jest w jego mocy. Z bożą pomocą potrafię go przepędzić z ciała, którym usiłuje mnie kusić!... Módl się, grzesznico! Bóg mi świadkiem, że nie chciałem zadawać ci cierpienia. Ale muszę! Nie ma wyboru... Zbyt zatwardziałe jest twoje serce.

— Chcesz mnie torturować?

— Nie mam wyboru. Wierz mi, że nie chcę tego. Jeszcze zresztą nie jest za późno. Wyznaj wszystko i proś Pana Naszego o przebaczenie! Przyjmiesz chrzest, a on gładzi wszystkie grzechy. Nie wstydz się strachu przed męką. Niewiele było czarownic, które nie wyznały swej winy wobec kata...

— I nigdy ci nie przyszło do głowy, że te kobiety kłamały? Że oskarżały siebie tylko dlatego, aby skrócić swe cierpienia?

— Bóg nie dopuści, aby sąd, w jego imieniu wyrokujący, był omylny.

— A jednak... Przecież zdarzały się fałszywe oskarżenia!

— Biada fałszywym oskarżycielom! Ich też dosięgła ręka sprawiedliwości Bożej!

— A jeśli nie dosięgła?... Zresztą nawet założmy, że ponieśli karę, i to najsurowszą! Kto zwróci życie zamęczonym? Kto wynagrodzi potworne cierpienia niewinnie torturowanym, palonym na stosach?

— Kto? Pan Nasz, Jezus Chrystus jest sprawiedliwy. A czym jest cierpienie i śmierć ciała wobec chwały niebieskiej, jakiej może zaznać dusza nieśmiertelna?

Krąg piekielny znów się zamknął. Żadne argumenty nie trafiały do umysłu tego człowieka. Na każde znajdował gotową odpowiedź, według recepty, ustalonej przed wiekami.

Kama spojrzała na zegar. Do lądowania brakowało jeszcze osiemdziesiąt minut. Czy uda się przedłużyć dialog...

— Więc sądzisz, że to, co robiłeś w dawnym swoim życiu, było słuszne?

Inkwizytor zauważył jednak ruch oczu dziewczyny. Spojrzał też na zegar i uświadomił sobie, że czas ucieka.

— Sądzę, że... — urwał rozpoczęte zdanie. — Że ty tylko po to pytasz, by czas płynął! — zawołał z gniewem. — Ale nie uda ci się wywieść mnie w pole. Wiem, że trzeba kończyć. Pytam się po raz ostatni: czy dobrowolnie wyznasz swoje związki z Szatanem? Swoje wszystkie winy?

— Do czego więc mam się przyznać? — zapytała próbując jak najbardziej przeciągnąć rozmowę.

— Chcesz znów mnie zwodzić... Myślisz, że ci się uda?! Nie! Nie!

Złapał dziewczynę za ramiona i rzucił twarzą do podłogi, przygniatając plecy kolanem.

Broniła się rozpaczliwie, usiłując nie dopuścić do zarzucenia pętli na nogi. Zdawała sobie sprawę, że o uwolnieniu nie ma mowy, opór opóźniał jednak realizację planów Müncha i zwiększał szansę ratunku. Niestety, nie mógł trwać długo. Czowała, jak lina zaciska się aż do bólu...

Jeszcze jedna próba zerwania więzów, jeszcze gwałtowne szarpnięcie i zrozumiała, że dalsza walka stała się bezcelowa... Nogi były spętane.

Inkwizytor wstał. Słyszała nad sobą jego przyspieszony wysiłkiem oddech i czuła, jak ogarnia ją paniczny strach...

## XVIII. Katastrofa

Münch puścił „linę” i ciało dziewczyny osunęło się bezwładnie na dywan. Jeszcze dźwięczał mu w uszach jej ochryply krzyk.

Cisza zalegała teraz kabinę, lecz zdawało mu się, że słyszy ten krzyk nadal, choć starał się go stłumić w sercu twardym i nieubłaganym tak dla innych, jak i siebie samego.

Patrzył na leżącą nieruchomo Kamę, na jej wykręcone nienaturalnie ramiona, na twarz nabrzmiałą z bólu, na zsiniałe, kurczowo zaciśnięte wargi i strach poczynał opanowywać jego umysł.

A jeśli umarła? Jeśli nie było to omdlenie, lecz śmierć? Zdarzało się przecież nieraz, że czarownica nie przetrzymała mąk... Wtedy jednak winić należało kata. Jego zbytnią gorliwość czy nieumiejętność. Teraz oskarżycielem, sędzią i katem musiał być sam...

Ale nie świadomość, że śmierć Kamy może obciążyć jego sumienie, była przyczyną trwogi inkwizytora. Na to zdecydował się już w chwili, kiedy postanowił ją „uratować”. Chodziło o nią samą, o jej duszę! To był przecież jedyny, najważniejszy cel wszystkiego, co od dwóch godzin robił, zadając gwałt swoim uczuciom do tej kobiety. Jeśliby teraz umarła nie wyznawszy swych win, bez chrztu świętego, bez skruchy i żalu szczerego — oznaczałoby to, że poniósł klęskę. Że zwyciężcą w tej walce jest Szatan...

Przerażony tą myślą rzucił się ku dziewczynie i przyłożył ucho do jej piersi. Obawy, na szczęście, były przedwczesne. Odetchnął z ulgą, słysząc słabe uderzenia serca. A więc jeszcze miał szanse...

Pozbierawszy pospiesznie strzępy odzieży z podłogi, nakrył nimi obnażone ciało dziewczyny i poszedł do bufetu po wodę. Szepecząc egzorcyzmy skropił twarz zemdlonej i zwilżył jej wargi. Szybko zresztą odzyskała przytomność, a wraz z nią wracał tępy ból w ramionach.

— Stefan.. — wydała z siebie przytłumiony jęk.

Uczuł nieprzyjemny ucisk w krtani.

— Na próżno go wzywasz... — powiedział cicho.

Uniosła powieki i oczy jej napełniło przerażenie.

— Nie!!!

Poruszyła głową i jęknęła z bólu.

Wiedział, że musi się spieszyć.

— Czy żałujesz? — zapytał trwożnie. — Zaklinam cię na Boga, Ojca Naszego, zrzuc z serca pychę i pomóż mi wygnać z twojej duszy Szatana!

— Nie męcz mnie... — wyszeptała błagalnie.

— Muszę! To tylko od ciebie zależy. No, mów!

Przymknęła powieki.

Ukląkł przy niej i zaczął rozwiązywać jej ręce. Zacisnęła zęby, aby nie jęczeć z bólu, jaki sprawiał jej każdy ruch. Ale najgorsze miało dopiero nadejść.

Uwolniwszy z więzów ręce dziewczyny próbował naprowadzić na właściwe miejsce wykręcone w stawach ramiona. Było to nie mniejszą torturą od zadawanych poprzednio. Przeraźliwy krzyk nie

ustawał teraz ani na chwilę. Co gorsza, Münch — choć znał dobrze kolejność czynności, przyglądając się, jak wykonywał ją kat lub cyrulik — nie miał wprawy i potęgował jeszcze cierpienia swej ofiary.

Kiedy wreszcie skończył, Kama była znów bliska omdlenia. Leżała na podłodze blada i mokra od potu, patrząc w półprzytomnie na prześladowcę. Inkwizytor przyniósł nie dopitą jeszcze szklankę soku i podtrzymując głowę dziewczyny wlewał jej wolno do ust chłodny płyn.

Nagle zadrżał. Jego palce wyczuły w jej włosach maleńki, twardy przedmiot.

Pochwycił go gwałtownie i szarpnął. Wraz z pasmem wyrwanych włosów trzymał w dłoni srebrzysty, podobny do spinki krążek pekoderu.

— A więc dlatego! — zawołał wzburzony. — Dlatego milczysz. To przekłete oko pomaga ci trwać w uporze. Ten piekielny znak! Może w ogóle nie czułaś bólu? Może tylko udawałaś?... Ale teraz ci się nie uda! Nie oszukasz mnie już!

Rzucił z pasją pekoder na podłogę i próbował zmiażdżyć go butem. Wysiłki te okazały się jednak bezskuteczne. Chwycił więc nóż — ale złamał go przy pierwszym uderzeniu.

Szukając rozpaczliwie jakiegoś narzędzia zatrzymał wzrok na wysokich taboretach przy bufecie. Skoczył ku najbliższemu z taboretów, szarpnął z całych sił i wyłamał z uchwytów w podłodze. Począł teraz zapamiętale tłuc metalową rurą w błyskające oko pekoderu, aż wreszcie aparat rozpadł się na kawałki.

— Już nic ci nie pomoże! Zaczniemy od nowa! Podniósł z podłogi linę i podszedł do swej ofiary, dysząc z wściekłości i zmęczenia.

Nie była w stanie wyrzec ani słowa, lecz czuła, że nie zniesie nowych tortur.

— Czego milczysz? Powiedz? On kazał ci kłamać? No, mów!!!

Patrzyła na niego z przerażeniem.

— Włosy... Twoje włosy! To dlatego... — podniósł z podłogi złamany nóż. — Nie myśl, że uda ci się...

Nie dokończył, gdyż na tablicy rozdzielczej zapłonęła czerwona lampka, a z głośnika popłynęło stłumione buczenie.

Kama uniosła z wysiłkiem głowę.

Musieli odebrać sygnał zniszczenia pekoderu. A więc jeszcze jest nadzieja...

Münch również dostrzegł światełko. Było to dla niego takim zaskoczeniem, iż przez dłuższą chwilę stał jak skamieniały. Potem z jakimś dzikim okrzykiem porwał leżący na podłodze taboret i podbiegł do tablicy.

Pierwszym ciosem roztrzaskał ekran wizjofonu. Drugi dosięgnął tablicy rozdzielczej.

Lampki kontrolne poczęły błyskać bezładnie, lecz już spadły na nie następne uderzenia.

— Stój! Co robisz?! — krzyknęła z przestraszeniem.

Ale on bił jeszcze zacieklej, gruchocąc cienką płytę i znajdujące się pod nią urządzenia.

Przeciągły jęk sygnału alarmowego zmieszał się z hukiem uderzeń i trzaskiem pękającego plastyku.

— Spowodujesz katastrofę! Spadniemy!

Zdawał się nic nie słyszeć.

— Modest!!!

Jeszcze raz uniósł w górę taboret, lecz w tej samej sekundzie raptowna zmiana prędkości powaliła go na podłogę i rzuciła aż pod okno w przedniej części statku.

Niewidzialna siła przygniotła go do ściany.

Czyżby moce piekielne objęły w swe władze statek powietrzny? Spojrzał z lękiem na Kamę, ale

jej położenie było jeszcze gorsze. Przywiązana za nogi do stolika leżała wyciągnięta bezwładnie na środku kabiny, a oczy jej pełne były niekłamanego strachu. Było w tym coś nielogicznego, niepojętego dla jego umysłu. Nic teraz nie rozumiał i czuł coraz większy zamęt w głowie...

Nagle z rozbitej aparatury sterowniczej rozbłysła z trzaskiem iskra wyładowania elektrycznego i samolot szarpnięty nieskoordynowanym wychyleniem sterów runął w głąb powietrznego oceanu. Niebo i ziemia w szalonym tańcu poczęły wirować wokół statku. Maszyna podrywała się w górę, to znów spadała dziobem, w dół tracąc z sekundy na sekundę wysokość.

Münch rzucony kilkakrotnie od ściany do ściany zdołał uchwycić się regału, ale uwiązane na linie ciało Kamy uderzało raz po raz o podłogę i pobliskie sprzęty.

Ziemia zbliżała się nieuchronnie. Coraz częściej za oknami statku przebiegały na przemian: ośnieżone szczyty gór, to znów ciemne, pograżone w mroku doliny, z wdzierającymi się w nie długimi jęzorami lodowców. Maszyna spadała coraz niżej, lecz układ homeostatyczny działał jeszcze, usiłując zapobiec katastrofie.

— Panie nasz! Bądź miłościw... Bądź miłościw — powtarzał rozpaczliwie Münch uczepony kurczowo półki.

Powierzchnia Ziemi była tuż, tuż.

— A więc koniec! — przebiegło Kamie przez głowę.

Uczuła nowe, jeszcze boleśniejsze szarpnięcie za nogi. Samolot poderwany w górę przez automatycznego pilota zawisł na moment w powietrzu i opadł z powrotem ku Ziemi. Nad samą powierzchnią jeszcze raz ognisty snop gazu uderzył w dół, ale maszyna, zaczepiwszy pierścieniem nośnym o występ skalny, przekoziółkowała i z ogłuszającym trzaskiem pękającego kadłuba zaryła się w kamienistym gruncie. Obłok pyłu otoczył na chwilę statek.

Nastała dzwoniąca w uszach cisza. Potem stopniowo słuch Kamy zaczął wyławiać z tej ciszy daleki szum wiatru.

Wisiała na linie głową w dół i czuła, że coś ciepłego i mokrego ścieka jej po twarzy zalewając oczy.

Statek leżał na boku tak, że stolik, do którego była przywiązana, znajdował się w tej chwili nad nią w górze. Poprzez popękane okna widziała niebo i pokryte rzadkimi płatami śniegu zbocze górskie.

W głębi kabiny, tam gdzie niegdyś mieściła się tablica rozdzielcza, gęstniejący obłok pary osnuwał kłębowisko przewodów.

— Przeciek z generatora — uprzytomniła sobie z jakąś nienaturalną obojętnością.

Wiedziała, że powinna coś uczynić, aby uwolnić nogi z krępujących je więzów, ale nie potrafiła zdobyć się na jakiegokolwiek działanie. Ręce miała, co prawda, wolne, lecz lęk przed bólem paraliżował ruchy.

Tymczasem znów poczęły chwytać ją mdłości, a wpijająca się w ciało lina zdawała parzyć jak rozpalone żelazo. Tuż obok, na odległość wyciągniętego ramienia, znajdował się fotel.

Oparcie przybrało pozycję poziomą. Gdyby tak udało się jej tam wspiąć, potem wyżej — na brzeg siedzenia, nie wisiłaby już wówczas na linie, a być może, potrafiłaby nawet uwolnić się od więzów.

Powoli, pokonując ból ramion, wyciągnęła rękę i chwyciła krawędź oparcia. Przeciągnięcie ciała wydawało się jednak zadaniem nad siły. Po kilku próbach, wyczerpana, opadła z powrotem.

— Jezu... — rozległ się nagle w ciszy przytłumiony jęk. A więc Münch żyje — uświadomiła sobie. Ale czy mogła liczyć na jego pomoc?

Jęk ponowił się, dochodząc jakby spod ziemi.

— Czy mnie słyszysz, Mod? — rzuciła pytanie i czekała z niepokojem odpowiedzi.

Jęki ustały. Przez chwilę panowała cisza, a potem usłyszała przyciszony, niepewny, jakby na wpół zdławiony okrzyk:

— Jeśli możesz... Jeśli ci wolno... pomóż mi!

— Gdzie jesteś? Co ci się stało?

— Prędeż! Prędeż! Błagam!...

W tym momencie ledwo dostrzegalne drzenie przebiegło statek.

— Aaa!!!

Krzyk Modesta był tak rozpaczliwy, że Kama zapomniała o wszystkim, co wydarzyło się w ostatnich godzinach.

Zagryzając z bólu wargi uczepliła się rękami fotela. Centymetr po centymetrze, mimo iż mięśnie odmawiały posłuszeństwa, dźwigała się w górę, całym wysiłkiem woli pokonując bezwład ramion.

Przeraźliwe krzyki nie ustawały, przynaglając do pośpiechu.

Wreszcie głowa dziewczyny znalazła się na oparciu fotela. Jeszcze jeden rozpaczliwy wysiłek i ciężar ciała spoczął na uginającej się miękko powierzchni. Teraz już tylko kilkanaście sekund odpoczynku...

Wspięcie się z oparcia na przednią, a obecnie górną część fotela było już zadaniem łatwiejszym, choć sprawiało nie mniej bólu niż poprzedni wysiłek. Stąd mogła jednak dosięgnąć pętli i uwolnić stopy.

Teraz dopiero odczuła w pełni straszliwe zmęczenie. Zsunęła się na dół, ale była tak osłabiona, że nie mogła utrzymać się na nogach. Serce kołatało gwałtownie. Szum w głowie przechodził chwilami w ostry ból.

Sięgnęła ręką do twarzy i wyczuła pod palcami lepłą ciecz. Dłoń była umazana krwią. Musiała być ranna w głowę. Nic dziwnego — przecież w czasie katastrofy rzucało nią jak piłką.

— Och, nie, nie! — znów rozległ się krzyk Müncha.

Krzyk potęgował się, przechodząc w ochryple rżenie.

To przywróciło jej świadomość sytuacji. Nie trudno było odnaleźć miejsce, skąd wydobywał się głos. W głębi kabiny, tam, gdzie uderzenie o skałę rozdarło ścianę statku, spośród stosu plastyku, odłamków jakichś aparatów, podartych czasopism i książek wystawały dwie poruszające się bezradnie nogi.

Kama chwyciła za stopy i próbowała wydobyć zasypanego.

Krzyki wzmożyły się jeszcze bardziej.

— Nie! Nie ruszaj! Nie! Głowa!!! Moja głowa!... — zdławiony głos wydobywał się jakby ze ściany.

Z pośpiechem zaczęła odrzucać spiętrzone przedmioty. Obraz był przerażający: z wąskiej szczeliny, między przeźroczystą ścianą a podłogą, wystawał tułów Modesta. Sama głowa znajdowała się po drugiej stronie szpary.

Ostre krawędzie płyt dotykały niemal szyi inkwizytora, grożąc w każdej chwili zwarciem się straszliwych nożyc.

Nie było ani chwili do stracenia.

Klin!... Skąd wziąć klin?! — rozpaczliwie szukała sposobu ratunku.

Wśród rumowisk walały się grube tomy.

To chyba jedyny ratunek!

Szybko, jak mogła najszybciej, poczęła wpychać je w szparę obok szyi Müncha, aby opóźnić zwieranie się płyt.



Lecz to był dopiero początek. Teraz trzeba było znaleźć coś, co posłużyłoby za dźwignię. Wśród przedmiotów rozrzuconych w pobliżu szczeliny znalazła ów nieszczęsny taboret, którym Modest zdemolował aparaturę. Noga taboretu mogła spełnić rolę dźwigni. Z trudem wsunęła metalowy pręt w szczelinę i opierając się całym ciałem usiłowała rozszerzyć otwór.

Znów ostry ból przeszył jej ramiona. Mocniej nacisnęła dźwignię. Serce jej łomotało gwałtownie, na czoło wystąpiły krople potu.

Ten wysiłek przyniósł jednak rezultat: szczelina poszerzała się milimetr po milimetrze.

Zdawała sobie sprawę, że dobywa już ostatnich sił. Jeszcze centymetr... Jeszcze tylko kilka milimetrów...

Modest już wypchnął książki... Już wysuwa głowę... Jeszcze czoło...

Ale Kama nie może już dłużej utrzymać ciężaru.

Jeśli teraz puści...

Najszerszy odstęp między płytami znajduje się o metr od Kamy. Münch przesuwa się gwałtownymi ruchami w tym kierunku, lecz ona już nie jest w stanie utrzymać dźwigni. Z przerażeniem stwierdza, że szczelina poczyna się znów zwierać.

Co robić? On nie zdąży! Co robić? Musi przecież coś zrobić! Musi!

Czy nie zdaje sobie sprawy z tego, co czyni?... Bo oto desperackim ruchem wsuwa stopę w szparę...

Czuje potworny ból... Wszystko wokół niej zdaje się zapadać w jakąś otchłań...

## XIX. Piekło i Niebo

Świadomość wracała powoli.

Pierwszym wrażeniem była nieznośna pustka w głowie i obcość własnego ciała. Tępy ból w stopie i ramionach począł przywoływać z pamięci jakieś koszmarnie sceny. Równocześnie jednak pojawiły się nowe wrażenia: ktoś trzymał jej rękę i delikatnie gładził dłoń.

Na pewno jest już w szpitalu.

Uniosła powieki. W półmroku ujrzała pochylony nad nią cień.

— Gdzie jestem? — wyszeptała z wysiłkiem.

Cień poruszył się, poprawiając okrywającą ją tkaninę.

— To ja...

Poznała głos Modesta.

Cofnęła gwałtownie rękę.

— Przebacz mi... — usłyszała nad sobą jego głos.

Ale ona w tej chwili nie myślała już o tym, co było. Świadomość niebezpieczeństwa odsunęła ostatnie przeżycia na dalszy plan.

Próbowała usiąść, lecz wyczerpanie i dotkliwy ból przekreśliły z góry ten zamiar.

Nie była w stanie podnieść się o własnych siłach.

— Czy jesteś ranny? — spytała z wysiłkiem.

— Nie, Kamo, nic mi nie jest.

— Czy chcesz mi pomóc?

— Ależ tak. Co mam robić?

— Musimy się stąd wydostać... jak najprędzej! Tu nie możemy pozostać!

— Dlaczego? Dlaczego nie można tu zostać? — wyszeptał z lękiem.

— Przeciek z generatora. Widziałam... To grozi napromieniowaniem... — tłumaczyła urywanie.

— Niewidzialne promienie. One zabijają...

— Gdzie? Gdzie uciekać?!

— Tu gdzieś musi być kłapa awaryjna. Jest ich kilka. Okrągła płyta... w czerwonym obramowaniu. W środku uchwyt... Trzeba obrócić... dwukrotnie.

— Wiem. Widziałem...

Począł posuwać się na czworakach, obmacując w mroku ścianę.

Po kilku minutach usłyszała przytłumiony zgrzyt i do wnętrza kabiny wdarł się zimny powiew.

Modest wrócił po chwili i ostrożnie wziął dziewczynę na rękę.

Ujrzała przed sobą szary zarys otworu.

Statek leżał na pochyłym zboczu kamienistego wzgórze. Wysoko nad nim wznosił się ogromny masyw górski, pokryty miejscami jasnymi płatami lodowca.

Wiatr, co prawda, ustał, niemniej chłód już po kilku minutach począł obojgu dawać się we znaki.

Przeszedłszy kilkadziesiąt metrów Modest ułożył Kamę w załomie między blokami skał.

Zdjął z siebie bluzę i okrył nią dziewczynę.

Niewiele to pomogło. Leżała skulona drżąc z zimna. Niestety, miała na sobie tylko cienką sukienkę, odnanaloną przez Modesta w kabinie po wypadku.

Próbował więc rozcierać zziębnięte ręce Kamy, lecz przynosiło to jej tylko nieznaczną ulgę.

Patrzył, jak zapadający mrok zaciera rysy twarzy dziewczyny i łyzy cisnęły mu się do oczu. Czuł, że coś się w nim załamało.

To, co było dla niego celem życia, teraz utraciło wszelki sens. Miał uczucie, jak gdyby po długim błądzeniu w ciemnym i pełnym strachów lesie znalazł się na jego skraju. Nie widział jeszcze żadnej drogi przed sobą, ale zdawał sobie sprawę, że nie ma już powrotu do tego, co było...

Myślał nieustannie o tym, co przeżył, i ze splątanego gąszczu problemów wylawiał stale zawsze te same pytania, na które próżno szukał odpowiedzi, tak ważnej, tak decydującej przecież o wszystkim.

Kim była Kama? Dlaczego, gdy leżał uchwycony za gardło przez diabelskie — jak wówczas sądził — kleszcze i czekał z paraliżującym wolę lękiem, kiedy otworzą się pod nim otchłanie — pośpieszyła mu z pomocą ta, od której na pewno nie mógł się tej pomocy spodziewać? Czy ona mogła być córką piekiel? Na pytanie to nasuwała się jedna neodparta odpowiedź: tak być nie mogło. Przecież patrzył na jej wysiłki, na walkę, jaką toczyła o życie, jego, człowieka, który ją skazał na tortury i śmierć...

Czy może była wysłanniczką niebios? Ta słaba, zakrwawiona, słaniająca się z wyczerpania dziewczyna? Dlaczego nie wezwała zastępów anielskich, które powinny za nią stanąć? Dlaczego naraziła się dla niego na kalectwo? Było w tym coś niepojętego, jakby wspaniałego i straszliwego zarazem...

A on sam czym był? Czy mieczem w ręku Boga? Może raczej... otumanionym przez Szatana, jego narzędziem?... Dlaczego więc nie znalazł się w mocy pana ciemności?

Na żadne z tych pytań nie znajdował odpowiedzi.

Noc już zapadła. Było coraz zimniej. Chłód wgryzał się boleśnie w drętwiejące ręce i stopy, obejmował całe ciało.

Chwilami zapominał o bólu. Większym udręczeniem były kłębiące się w głowie myśli — ów szarpiący nerwy dialog z samym sobą. Nie mógł i nie chciał przekreślić wszystkiego, co dotąd nadawało treść jego życiu, ale jednocześnie przeczuwał, że niewiele ostać się tu może. Nie było to bowiem już tylko chwilowe zwątpienie, lecz uświadamianie sobie coraz jaśniej, iż droga, którą dotąd szedł, prowadziła... do nikąd. Próbował modlić się, ale rychło zdał sobie sprawę, że treść powtarzanych mechanicznie słów nie dociera zupełnie do jego świadomości.

Dziewczyna poruszyła się z wysiłkiem.

— Oni już powinni tu być... Powinni nadlecieć! — usłyszał jej szept.

Uczuł ucisk w krtani.

— Kto? Kto?! — zapytał z lękiem i nadzieją zarazem.

— Powinni nas odnaleźć. Już powinni zacząć poszukiwania... Automaty nadały sygnał alarmowy... Na lotniskach odebrano... Na pewno odebrano...

— Ja zniszczyłem... — wyrzucił zdławionym głosem.

— Wiem. Ale... one jeszcze działały... Inaczej — byłoby po nas... Chyba jednak wysłały sygnał... Powinni nas odnaleźć. Jeśli nas odnajdą w ciągu dobrego... uratują. Mod! — krzyknęła.

— Światło! Światło! Zobacz! To na pewno oni! Ja nie mogę...

Zerwał się z ziemi, rozejrzał wokoło, lecz góry spowijał mrok rozjaśniony tylko słabym blaskiem Księżyca.

— Światło... odbicie... widzę... — powtarzała nerwowo.

— To tylko Księżyc.

— Zobacz... zobacz...

Odszedł kilka kroków i wspiął się na duży blok skalny. Przed nim majaczył w poświacie księżycowej strzaskany kadłub samolotu. Na lewo widoczny był ciemny, postrzępiony zarys urwiska.

Naraz, tuż nad skalną krawędzią, ujrzał błyskające miarowo czerwone światełko.

— Jest! Jest! Światło! — wykrzyknął radośnie.

Zsunął się pośpiesznie ze skały i pobiegł w dół, gdzie leżała Kama.

— Jest światło! Jest! Widziałem!

Chwycił gwałtownie jej rękę i ze zgrozą skonstatował, iż jest lodowato zimna. Przycisnął ją do piersi.

— Co mówisz? Co? — poruszyła się sennie.

— Jest światło! Widziałem!

— Tak... Wiedziałałam... że przyleć... Uratują nas... Nawet gdybyśmy zamarzli... przywrócą do życia... Do życia...

— Powiedz! Co mam robić?!

— Wiedziałałam, że przylecicie...

— Kamo, To ja! Modest! — zawołał z przerażeniem. — Powiedz co robić?

— Modest? Czego chcesz ode mnie? — wyszeptała z przestrawieniem. — Dlaczego mnie męczysz?

Ja wszystko powiedziałam... Całą prawdę...

— Co ty? Co tobie? — trzął się jak w febrze.

— Taka jest prawda. Musisz zrozumieć... Ja nie mogę... nic... Nic ci innego nie powiem... Nie powiem... Musisz zrozumieć... Nie chcesz mi wierzyć? Dlaczego? Ja cię nie okłamałam...

Zerwał się z ziemi i począł nawoływać jak mógł najgłośniejszym głosem. Potem długo wsłuchiwał się w ciszę, ale do uszu jego dobiegał tylko daleki szum wiatru w górach.

Znów wzywał pomocy i nasłuchiwał. Jeszcze raz i jeszcze raz...

Wrócił w końcu z powrotem do Kamy i dźwignąwszy ją z ziemi ruszył z tym ciężarem w kierunku urwiska.

Niebawem ujrzał światełko. Było ono jakby wyżej i jaśniejsze. Szedł dalej w jego kierunku, zsuwając się coraz niżej po kamieniach.

Sam nie wiedział, kiedy znalazł się na dole pod uskokiem. Czerwone światełko migotało teraz z góry, przesuając się szybko po niebie. Śledził jego ruch z bijącym sercem i radosną nadzieją tak długo, aż minęło zenit i poczęło przesuwać się na północny zachód.

Teraz już nie nadzieja, lecz niepokój wzrastał w nim z minuty na minutę. Gdy wreszcie czerwony punkt zniknął za szczytami gór, wtedy wiedział już: to nie była pomoc. To tylko jedno ze sztucznych ciał niebieskich okrążających Ziemię, jakie nieraz już pokazywała mu Kama...

Z rozpaczą przycisnął ucho do piersi dziewczyny. Wydawało mu się, że słyszy słabe uderzenia serca. Ale czy się nie myli? Czy słuch go nie zwodzi?

Znów począł rozcierać jej ciało. Ale pozostało zimne i nieruchome...

Wtedy pomyślał jeszcze raz o Bogu, któremu służył tak wiernie i ślepo... Zaczął się modlić jak mógł najzarliwiej, błagając niebiosy o ratunek. Nie dla siebie! Własny los był mu w tej chwili zupełnie obojętny. Myślał tylko o niej. Jakże bliska stała się mu w tych godzinach... A przecież o mało jej nie zabił...

Nie myślał w tej chwili czy miłość, jaką darzy Kamę, jest miłością występłą czy świętą. Czuł, że dziewczyna umiera i rozpaczliwie szukał ratunku. Może był w tej rozpacz i lęk przed utratą jedynej

pomocnej ręki w tym obcym i dziwnym świecie. Może był i strach przed własnym sumieniem, przed dręczącą świadomością wyrządzonej krzywdy, której nikt i nic nie potrafi naprawić...

Ale niebiosa pozostały głuche.

Czyżby Bóg odwrócił się od niego w tej najcięższej godzinie?... A może dotychczasowe życie naprawdę było pomyłką?... A jeśli krew, która za jego sprawą została wytoczona, jeśli spopielalo ciała skazywanych przez niego na męki — jego oskarżają? Oskarżają przed obliczem Pana?! Nie! Przecież on nie czynił tego sam z siebie. Przecież był tylko jednym z wielu, oddanym bez reszty słusznej sprawie... Ta sprawa musiała być słuszna, gdyż inaczej, kim byłby ten, który go oszukał?... Dlaczego zezwalał, aby śludzy jego źle czynili?...

Idąc tak w zapamiętaniu coraz dalej w głąb doliny nie modlił się już, nie prosił, lecz oskarżał i groził temu, który nie chciał wysłuchać jego prośby...

Na koniec straszna myśl, przed którą wzdrygała się cała jego natura, pojawiła się w jego głowie. Jeśli nie Bóg, to może Szatan pospieszy mu z pomocą?... Myśl ta drażyła coraz głębiej jego umysł, coraz natarczywiej domagała się próby.

I kiedy wreszcie w przystępie szaleńczej rozpaczycy począł wzywać piekło na ratunek — wiedział, że już nie ma odwrotu... Czuł, że zrywa ostatnie więzy z tym wszystkim, czemu przez lata całe był bezgranicznie wierny.

Na próżno jednak łudził się, że otrzyma odpowiedź...

Szedł coraz wolniej. Coraz bardziej ciążyło mu martwe już ciało Kamy. Nie odczuwał zimna, lecz tylko straszliwe zmęczenie i senność.

Potykał się coraz częściej. Padał, podnosił się i znów upadał... Wreszcie, gdy nie był w stanie nieść dalej ciała dziewczyny, osunął się na nie bezwładnie i tak pozostał.

Nie słyszał i nie widział nic: ani szumu silników lądującej maszyny powietrznej... ani zapalonej wysoko nad doliną sztucznej gwiazdy, rozpraszającej słonecznym blaskiem mroki nocy...